



ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

(White Eagle — l'Aigle Blanc)

SIERPIEŃ

1965

Nr 13/1160

Cena: 3/6, \$0.50, 2.50 F.

SYRENA



TWARZ LOTNIKA

Ppor. Klemens Felician Lechnicki (21. 6. 1918 — 30. 6. 1944) z 300 - Dywizjonu Bombowego.
Zginął wraz z całą załogą nad miejscowością Bouvilliers koło Paryża.

Na 25 rocznicę walk Polskich Sił Powietrznych w Bitwie o Wielką Brytanię.

Rysunek Stanisława Gliwy

F: L. 2156



BIURO PODRÓŻY



ANGLOPOL TRAVEL

tuż przy stacji SOUTH KENSINGTON
(róg Exhibition Road — na szlaku Daquise—Ognisko)

38, THURLOE PLACE
LONDON, S.W.7 — Tel.: KENSington 3223

WSZELKIE BILETY, SPROWADZANIE KREWNYCH, WIZY, KUPONY
BENZYNOWE, BONY HOTELOWE, WAKACJE, PRZEKAZY PIENIĘŻNE.

PRZEJAZDY SAMOCHODEM NA KONTYNENT.

SZYBKIE



PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI

TAZAB

22, ROLAND GARDENS, LONDON, S.W.7.

Tel. FRE 3175

W NOWYM JORKU: TAZAB, 100 East 10th St., N. York 3. NY.

WE FRANCJI:

PACZKI do POLSKI i ROSJI

LEKARSTWA!

LEKARSTWA!

ELKA S.A.R.L. 20 rue Legendre,
Paris 17-e.

OŚWIADCZENIE REDAKCJI PARYSKIEJ „KULTURY“

Na prośbę redaktora paryskiej „Kultury“ ogłaszamy oświadczenie jakie otrzymała telefonicznie od Stanisława Mackiewicza (Cata) z Warszawy:

Prawdą jest, że będąc wezwanym do Prokuratury Generalnej PRL, Mackiewicz stwierdził, że zamieszczał w „Kulturze“ artykuły pomiędzy październikiem 1964 a czerwcem 1965 podpisane nazwiskiem Gaston de Cerizay. Natomiast nie jest prawdą twierdzenie Generalnej Prokuratury jakoby te artykuły przesyłał w porozumieniu z redaktorem „Kultury“ Jerzym Giedroyciem i otrzymywał za nie honorarium w dolarach. Nie odpowiada to rzeczywistości i tego rodzaju zeznania Stanisław Mackiewicz w Prokuraturze Generalnej nie składał.

Jednocześnie Mackiewicz stwierdza, że artykuł „Adwokatura po roku“, który ukazał się w „Kulturze“ Nr 213/214 (lipiec i sierpień 1965) jako artykuł Gastona de Cerizay nie był przez niego napisany. W artykule tym zostało zaatakowanych szereg osób, których uczciwości i kompetencji Cat-Mackiewicz nie kwestionuje.

Redakcja „Kultury“ stwierdza ze swej strony, że artykuł „Adwokatura po roku“ przesłany został do „Kultury“ drogą pośrednią; artykuł ten był napisany na papierze normalnie używanym przez p. Stanisława Mackiewicza, a maszynopis był bardzo zbliżony do poprzednich maszynopisów.

Przy trudnościach porozumiewania się z autorami krajowymi redakcja „Kultury“ nie miała możliwości dokładniejszego zbadania autentyczności otrzymanego artykułu.

Przepraszając p. Stanisława Mackiewicza za mimowoli wyrządzoną mu krzywdę redakcja „Kultury“ stwierdza, że padła ofiarą prowokacji.

Można sądzić, że autorami prowokacji są organy bezpieczeństwa PRL, które chciały w ten sposób stworzyć „prowód“ do wystąpienia z oskarżeniem przeciwko Catowi-Mackiewiczowi.

Czesław Halski: PADEREWSKI —
Dzieje wielkiego Polaka i wielkiego
Europejczyka. Stron 100, ilustracji
8. Cena 10/6. Wydano staraniem
S.P.K. i Gryf Publications Ltd. Do
nabycia w Księgarni S. P. K. (20,
Queens Gate Terrace, S.W.7) i w
Gryfie (171, Battersea Church Rd.,
S.W.11) oraz w innych polskich
księgarniach.

Zdzisław Stahl: Wśród czołowych mocarstw Zachodu	1
Paweł Zaremba: Związki rodzinne i tradycja „domu“	4
Stanisław Sęp - Szarzyński: Nasi i Bitwa o W. Brytanię	7
Wacław Wybraniec: Polskie Siły Powietrzne w 2. Wojnie Światowej	9
Mieczysław Lisiewicz: Z dziejów Stow. Lotników Polskich	12
„Nie każdy pocisk zabija“ — Wywiad z Czesławem Głowczyńskim	14
Aleksander Gabszewicz: A-tak na skład benzyny	16
Teodozya Lisiewicz: Festiwal Teatru Szkół Sobotnich	17
Jan Ostrowski: Życie kulturalne Polskiego Londynu	18
Zbigniew Grabowski: Turystyka idealna i turystyka fatalna	21
Emeryk Czapski: Wspomnienie o Wiesławie Dąbrowskim	23
TEMAT: Czym jest szczęście? — Odpowiedzi Aliny Cybulskiej, Klary Evans, Michała Chmielowca i Stefani Kossowskiej	24
Jan Claude: Ogórki paryskie	27
Stefan Legeżyński: Książdz Piotr nad chmurami	29
Kuźma Wołk: Sprawozdanie z cyrku	30
Stefan Wóycicki: Orgia w operze	31
J. P. H.: Między plotką i anegdotą	32
Barbara Mękarska: Pod słodkimi kasztanami	33
Wojciech Stefański: Skradziony przodek	36
M. Cz.: „Piękne wczoraj“ I-ej Dywizji Grenadierów	38
Jan Adamski: Czy Polsce grozi nadmiar wyższego wykształcenia?	41
„Z życia polskiego w świecie“	42
Antoni Czuliowski: „Najsłarsze Ogniwo“	43
Józef Płoski: Wystawa powołań kapłańskich	44
Tadeusz Bornholtz: „Od Wiednia do Maciejowic“	46
Czesław Dobek: O „Kosmosie“ Gombrowicza	47
Atom: Uwagi przydrożne	48
Rawicz: Dobrze jest! Krzyżówka.	



B.D.I.C

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WSPÓŁCZESNYM

Nr 13/1160

SIERPIEN 1965

Rok XXV



Sierpień to miesiąc Święta Żołnierza, upamiętniającego największe od czasów Odsieczy Wiedeńskiej zwycięstwo polskie w roku 1920. Rok temu rozpoczęliśmy wydawanie „Orła Białego“ w jego nowej postaci pod znakiem pięćdziesięciolecia wymarszu Pierwszej Kadrowej i 20-tej rocznicy Powstania Warszawskiego. W tym roku numer sierpniowy poświęciliśmy w dużej części sławie i wysiłkowi Polskich Sił Powietrznych. Wiąże się to z obchodami 25. rocznicy Bitwy o Wielką Brytanię, którym wstrzemięźliwi zwykle Anglicy tyle nadali rozgłosu. Obok nich zamieszczamy wspomnienia z okresu załamania się Francji w r. 1940, na którego tle tak pięknie odznaczają się dzieje Pierwszej Polskiej Dywizji Grenadierów.

Musieliśmy odłożyć do września szkic dziejów 2. Dywizji Strzelców z tego samego okresu i opisy uroczystości rocznicowych 1. Dywizji Pancerniej.

Czy nie nazbyt dużo rocznic, nazbyt dużo wspomnień z dni chwały, która przecież nie zastąpi nam wolności? Takie pytanie pojawia się często wśród ludzi najlepszej woli, nie mówiąc już o tych, co chcieliby historię naszą zamazać i kazać zapomnieć o tym co w niej jest dla Polaków najdroższego.

Nie jest tych rocznic „za dużo“. Dla ludzi w starszym i średnim wieku są one do dziś pulsującą częścią ich życia; dla ludzi młodych to dokumenty i wiadomości o tym dlaczego pojęcie obowiązku żołnierskiego jest tak ogromnie ważne w psychice narodu polskiego.

Na emigracji jesteśmy społecznością żołnierską. Jest w tym określeniu coś więcej niż przypomnienie genezy naszego pobytu poza krajem. Jest przypomnienie niezakończonych walki o Polskę.

Z tego też względu poświęciliśmy wyjątkowo dużo uwagi tego-rocznym rocznicom wojskowym, co jak nam się zdaje, nie wywahało proporcji w stosunku do coraz rosnącego wachlarza tematów, którymi obsługujemy naszych czytelników.

Wśród czołowych mocarstw zachodu

PASJONUJĄCA brytyjską opinię, zmiana na stanowisku przywódcy konserwatywnej opozycji, nie wywołała żywszego zainteresowania międzynarodowego i nie ma powodu, abyśmy przejmowali się nią my, Polacy. Przede wszystkim, W. Brytania nie odgrywa już roli samodzielnej w polityce światowej i możliwości zmiany jej rządu, obecnego czy ewentualnego, nie zapowiadają poważniejszych różnic w sytuacji międzynarodowej.

Powtórę, między polityką zagraniczną dzisiejszego rządu Partii Pracy z

Wilsonem na czele, a ewentualnym gabinetem konserwatystów, którego prawdopodobieństwo zmiany przywódcy partii miała by powiększyć, nie ma zasadniczej różnicy. Jak poprzednio konserwatyści, socjaliści Partii Pracy oparli się w pierwszym rządzie na Stanach Zjednoczonych i starają się utrzymać możliwie najlepsze stosunki z Sowietami, także gdy Waszyngton Johnsona swój „czerwony drut“ połączenia z Moskwą zawiesił na kołku. Toteż, kiedy Harold Wilson zainicjował na konferencji premierów Wspólnoty Brytyjskiej

akcję pośrednictwa pokojowego, dotychczas wojny wietnamskiej, chociaż akcja ta była podyktowana względami wewnętrznymi zaspokojenia lewego skrzydła partii, konserwatyści pochwiliłi samą zasadę i skrytykowali tylko metodę.

Były przywódca opozycji, sir Alec Home, w swojej ostatniej mowie parlamentarnej przed rezygnacją, sformułował „dwie bezwzględne zasady brytyjskiej polityki zagranicznej, jako zasięganie zdania amerykańskiego w każdej sprawie i utrzymywanie kontaktu z Rosjanami“. Otóż rzekomy brak zastosowania powyższych zasad, miał być według Home'a, słabym punktem reklamowanej „misji pokojowej„ Commonwealth'u, a nie sam fakt jej zainicjowania. W rzeczywistości ujawnił on zarazem obłudę i bezsilie brytyjskiej dyplomacji. Obłudę, bo Londyn musi stać przy Waszyngtonie, a bezsilie, bo akcja nie nie przyniosła.

Na pozór można by sądzić, że konserwatyści w razie dojścia do władzy, o tyle zmienią kurs zagranicznej polityki Londynu, że zdecydują się na wprowadzenie W. Brytanii do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i zbliżą się do Francji. Opowiadał się za tym sir Alec Home i uchodzi za stanowczego zwolennika takiej, proeuropejskiej polityki zwłaszcza Edward Heath, jeden z najwplywowszych przedstawicieli młodszej ekipy kierowniczej torysów i nowy przywódca partii. Cóż, kiedy brytyjskie — i nie tylko brytyjskie — partie głoszą nieraz w opozycji hasła, których nie śni im się nawet realizować po objęciu rządów.

Okazało się to prawdą w szczególności odnośnie do brytyjskich konserwatywistów oraz ich stosunku do kontynentalnych związków międzypaństwowych. Przecież to Churchill, jako przywódca konserwatywnej opozycji, był po wojnie jednym z inicjatorów łączenia się zachodnio-europejskich państw w porozumienia, ale po dojściu do władzy ci sami konserwatyści o polityce tej zapomnieli. Zbyt późno — pod koniec gabinetu Macmillana — spróbowali wkroczyć na tę drogę, ale na własnych warunkach, nie do przyjęcia dla gotowej już Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Nie można by się dziwić nieufności stolic zach. europejskich do prokontynentalnych wypowiedzi konserwatywnych przywódców w opozycji, jakie teraz z ich strony padają, nawet gdy Heath stanął na ich czele.

WIELKA BRYTANIA I FRANCJA A STANY ZJEDNOCZONE

Nie można przychylności dla nowych zabiegów angielskich oczekiwać zwłaszcza ze strony Francji, póki politykę jej prowadzi de Gaulle, albo póki kierować nią będą jego następcy. Ideą de

Gaulle'a jest przywrócenie zachodniej Europie samodzielności na przekór systemowi super-mocarstw, Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej, systemowi którego symbolem stała się Jafta. W ramach tego systemu narody europejskie na wschodzie zamieniono po prostu na peryferie imperium sowieckiego, na którego rzecz utraciły one niepodległość. Zachodnia Europa po drugiej stronie „żelaznej kurtyny“ zachowała wolność i własny styl życia, ale — wyniszczona przez wojnę — zmuszona była uzależnić się w znacznym stopniu od pomocy gospodarczej i wojskowej protekcji amerykańskiej. Wyspiarska i związana „anglo-saską“ wspólnotą ze Stanami Zjednoczonymi, W. Brytania zachowała w tym powojennym układzie, którego była też w Jaftcie — choć drugoplanowym uczestnikiem — specjalny charakter faworyzowanego partnera Ameryki, co konserwatyści pieczołowicie pielęgowali.

Zależność brytyjska od Stanów Zjednoczonych posiada zresztą bardzo realne podstawy i żaden gabinet londyński, konserwatywny czy socjalistyczny, nie może o nich zapomnieć. Pozostałości imperium w postaci związków z krajami Wspólnoty Brytyjskiej, rozległe interesy Anglii na Środkowym Wschodzie, w Afryce i dalej na subkontynencie indyjskim, wreszcie w pld. wschodniej Azji i na Dalekim Wschodzie w Hong-Kongu, to wszystko nie da się dziś przez W. Brytanię obronić bez pewnego oparcia o potężne floty amerykańskie, krążące nieprzerwanie na morzu Śródziemnym (flota szósta) i u wschodnich wybrzeży azjatyckich nad Pacyfikiem (flota siódma). Trzymana przez W. Brytanię baza w Adenie i odcinek rozciągający się do Singapore, gdzie posiada ona największe siły, z górą 50 tysięcy ludzi i silną flotę dla obrony Malesji oraz dostępow do Australii i Nowej Zelandii, są wystarczające w stosunku do naporu eur-azjatyckiego, czerwonego imperializmu i jego rewolucyjnej dywersji, ale wyłącznie w oparciu o czuwającą protekcję zbrojną, lotniczo-morsko-lądową Stanów Zjednoczonych.

FRANCJA I JEJ DAŻENIE DO PARYTETU

Ani tak szeroko na kuli ziemskiej rozłożonych odpowiedzialności, ani konieczności opierania się o Stany Zjednoczone nie posiada Francja. Odbudowa wszy się gospodarczo po stratach wojennych i oparta o naturalne bogactwa swego narodowego obszaru, zamieniwszy dawne imperium kolonialne na Afrykańską Wspólnotę, mówiących po francusku państw „czarnego ładu“, Francja stała się od Ameryki gospodarczo i politycznie niezależna. Z kolei, po ob-

jęciu władzy przez de Gaulle'a, rząd francuski zaczął konsewentnie dążyć do odpowiedniego powiększenia swojej roli w Przymierzu Atlantycznym, gdzie do amerykańskich tajemnic atomowych i specjalnego traktowania powołana była tylko W. Brytania. Zawierające w tym duchu postulaty Paryża memorandum z jesieni 1958, złożone Waszyngtonowi, nie doczekało się jednak odpowiedzi i odtąd de Gaulle rozpoczął stopniowe rozluźnianie związków Francji z Traktatem Póln. Atlantycznym (NATO) oraz — nieopuszczony do amerykańskich tajemnic atomowych na równi z Anglią — zaczął produkować własną, francuską bombę.

Dążąc do parytetu w Przymierzu Atlantycznym, de Gaulle równocześnie podkreśla, co przeciwnicy jego lubią przemilczać, że jest on za utrzymaniem tego przymierza i jedynie domaga się reorganizacji jego podstaw. Na to, ze strony amerykańskiej Paryż spotyka się z taktyką odwlekania, z wygrywaniem przeciw Francji antagonizmów zach. niemieckich czy włoskich lub innych kontynentalnych, a poza tym przede wszystkim interesu W. Brytanii, która woli pozostać tylko sama drugim po Stanach Zjednoczonych mocarstwem Przymierza Atlantycznego. Niedopowiedzianym argumentem za tym odwlekaniem jest z pewnością, że śmierć czy odejście od rządów de Gaulle'a z powodu wieku, sprowadzi we Francji na nowo bezsilie rządów parlamentarnych, które pozwolą przestać się liczyć z jej rolą i postulatami na terenie międzynarodowym. „Ponad-narodowa“ „struktura“ Wspólnej Rynku czyli Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, która fowaryzowała by rolę najliczniejszych w niej Niemców oraz ułatwiała penetrację polityczną Stanów Zjednoczonych, tym bardziej zmniejszyla by szansę francuską dobitcia się międzynarodowego parytetu z mocarstwami anglo-saskimi.

Jeszcze jedną dziedziną, na której jesteśmy ostatnio świadkami tego dążenia Francji, są międzynarodowe finanse. Tam także zapanował po wojnie dolarowo-sterlingowy „goldstandard“, jako regulator światowych, zachodnich walut. Oparta o dostateczne zasoby złota, dalej narastające w miarę stabilizującej się i rozwijającej gospodarki narodowej, o korzystny bilans handlowy i płatniczy, Francja wystąpiła z koncepcją zastąpienia goldstandardu, jako dającego pierwszeństwo amerykańskiej i brytyjskiej walutom, bezpośrednio złotem. To podważyło by anglo-saski przywilej finansowy, a zabezpieczyło natomiast finanse międzynarodowe przed zarysowującymi się możliwościami popadnięcia, wraz z funtem sterlingiem a nawet dolarem, w kłopoty. Także to dążenie Francji, usprawiedliwione jej

własnymi interesami, ale uzasadnione również rzeczywistym osłabieniem się funta i dolara, przedstawia się często w strzegącej anglo-saskiej przewadze na światowym rynku finansowym prasie, jako chęć rozbijania, szkodenia temu rynkowi i międzynarodowej równowadze finansowej. W rzeczywistości są to zarzuty podobnie stronnicze, jak pretensje, że Francja pod rządami de Gaulle'a zmierza do równorzędności wojskowej i politycznej w Atlantyckim Przymierzu, zawierającym w okresie jej upadku i słabości.

RYWALIZACJA FRANCUSKO-ANGLOSASKA A ROSJA I NIEMCY

Rywalizacja francusko-anglosaska wyraża się także w zakresie, na którym musi wywoływać poważniejsze zaniepokojenie nas Polaków, czy innych narodów wschodnio-europejskich, podbitych przez Sowiety. Rywalizacja ta polega bowiem na staraniach o dobre stosunki, o tzw. „pokojową koegzystencję“ z Sowietami. Dyplomatyczne albo propagandowe kroki Francji w tym kierunku są co prawda często wyolbrzymiane przez propagandę amerykańską, z czego powinniśmy sobie zdawać sprawę. Stany Zjednoczone bowiem tę koegzystencję od czasu właśnie Jałty same zainaugurowały i na osi Waszyngton-Moskwa pokój świata chciały oprzeć. Kiedy zaś, mniej czy bardziej na serio zmierza w tym samym kierunku Francja, publicystyka amerykańska i liczne, waszyngtońskie agencje propagandowe nie wahają się przedstawiać tę politykę jako sprzeczną z zasadami wolnego świata. Niezależnie jednak od tej amerykańskiej, propagandowej przesady, rusofilskie akcenty w polityce francuskiej muszą budzić w nas podobne zastrzeżenia i niepokoje, jak jałtański „czerwony drut“ Białego Domu-Kremlu i stanowi to ciemny punkt ideologii czy tylko taktyki de Gaulle'a.

Linia prezydenta Francji oraz jego rola w obozie zachodnim posiada jednak poza tym raczej pomyślne dla spraw Europy wschodniej punkty i strony. Przede wszystkim, podważanie systemu jałtańskiego, jako opartego na amerykańsko-sowieckiej hegemonii, podporządkowującej sobie interesy europejskie, jest w każdym razie faktem pomyślnym, ponieważ narusza to fatalny dla nas, panujący od końca wojny II status quo na naszym kontynencie. A jakiegokolwiek hasła czy gesty Paryż by robił w kierunku Moskwy, panowanie jej nad połową Europy jest z pewnością trudniejsze do zniesienia dla europejskiej Francji, niż dla leżącej za oceanem Ameryki. Po wtóre, żywiej i bardziej bezpośrednio zainteresowana od mocarstw anglo-saskich w wyzwoleniu wschodniej Europy, jest ponadto Fran-

cja przeciwna oddawaniu w tym ewentualnym procesie czołowej roli i zbyt daleko idących korzyści Niemcom.

Podczas gdy Stany Zjednoczone i za nimi W. Brytania chciały by się oprzeć przeciw Rosji głównie na NRF, Francja przez opowiedzenie się za granicą Polski na Odrze i Nysie lużyckiej wyraźnie zakreśliła, dokąd sięgają — według niej — słuszne pretensje terytorialne Niemiec do zjednoczenia. Siła Francji stanowi więc dla nas nie tylko korzystną przeciwwagę anglosasko-sowieckiej, lecz również ewentualnej anglosasko-niemieckiej hegemonii. Siła ta i samodzielna polityka francuska może być także czynnikiem hamującym w stosunku do drzemiących tymczasem ale niewygasłych w tradycjach niemieckich ideom porozumienia z Rosją, które dla Polski stanowi zawsze najgroźniejszą konstelację międzynarodową.

ANTAGONIZM FRANCUSKO-AMERYKAŃSKI I POLITYKA GLOBALNA

Zarzuca się Francji pod rządami de Gaulle'a, że jej dobijanie się lepszemu stanowiska w przymierzu zachodnim narusza jedność świata wolnego w jego walce z blokiem komunistycznym. Jest coś w tym zarzucie, ale przede wszystkim ma on swoją odwrotną stronę i można również powiedzieć, że szkodzi też jednemu z opór Stanów Zjednoczonych przeciw uznaniu postulatów francuskich, mających podstawę we wzroście bez wątpienia od końca wojny sile tego narodu.

Nasuwa się salomonowy wyrok, że obie strony winny częściowo ustąpić i że jedność obozu zachodniego wymaga kompromisu między amerykańskim a francuskim stanowiskiem. Ten kompromis zdawał by się tym bardziej łatwy, że de Gaulle zawsze podkreślał w słowach i w czynach swoją solidarność ze Stanami Zjednoczonymi, wynikającą ze wspólnoty zachodniego świata i że przeciwny jest tylko hegemonii Ameryki, a nie współdziałaniu z nią w Przymierzu Atlantyckim czy na innych polach. Mniej skłonności do porozumienia objawiał dotąd rząd amerykański, zwłaszcza politycy o anty-europejskiej tradycji jałtańskiej.

Za rządów Johnsona duch ten zdaje się w Białym Domu zamierać, ale możliwe, że dalej górą jest wspomniana już taktyka oczekiwania na odejście de Gaulle'a i następnie wznowioną słabość polityczną Francji. Nikt jednak nie wie, kiedy obecny prezydent tego kraju zejdzie ze sceny politycznej i czy nie stanie się to dopiero w sytuacji, kiedy V Republika będzie już ustabil-

zowana i zdolna do wyłonienia nowego stałego rządu.

Im prędzej dojdzie do uzgodnienia francusko-amerykańskiego w obozie zachodnim, tym dla sprawy wolności świata lepiej. Tym lepiej będzie zwłaszcza dla naszych narodów środkowo-wschodniej Europy. Stany Zjednoczone czują się zagrożone przez komunistyczny imperializm głównie na Pacyfiku i od strony Azji, czyli są skłonne z reguły poświęcać raczej interesy wolności europejskiej na rzecz Rosji, niż azjatyckie i Dalekiego Wschodu na rzecz ekspansji, której przywództwo przypisują tam głównie czerwonym Chinom. Także W. Brytanię boli bardziej zagrożenie Malezji i dalej Australii czy N. Zelandii, niż niewola naszej części Europy.

Dobrym przykładem stosunku Ameryki, z jednej strony do problemu obrony krajów azjatyckich nad Pacyfikiem i z drugiej — do spraw europejskich, jest stanowczość z jaką rząd waszyngtoński walczy na terenie Wietnamu, składając równocześnie wytrwale pokojowe oferty Rosji. Ostatnia misja seniora jałtańczyków, ambasadora Averella Harrimana w Moskwie miała, oczywiście na celu okupienie się Sowietom jakimiś ustępstwami, możliwe także europejskimi, byle Moskwa ograniczyła do minimum swoją interwencję w Wietnamie. I jeśli, jak wydaje się, misja ta skończyła się niepowodzeniem, to ze strony amerykańskiej nie brakło „dobrej“ w tych rozmowach woli. Tymczasem, poważniejszy głos Francji w koncercie zachodnich mocarstw brał by zawsze pod uwagę interesy i wolność narodów Europy, której sprawy są każdemu rządowi francuskiemu bliskie.

Zdzisław Stahl

LISTY DO REDAKCJI

SŁOŃCE, NIE ZIEMIA

Drogi Redaktorze,

W cytacie z Dantego — w szkicu moim w ankiecie na temat szczęścia, numer lipcowy „Orla“ — zasła haniebna pomyłka. Dante mówi, że miłość „słońce porusza i gwiazdy“*) a nie „ziemię porusza i gwiazdy“, albowiem gdyby słowa przeze mnie zacytowane były trafne, Dante wyprzedziłby Kopernika. Przepraszam Pana i Czytelników za wprowadzenie ich w błąd i bijąc się w piersi powtarzam znane zawołanie: „Panowie pisarze, sprawdzajcie, sprawdzajcie!“

Zbigniew Grabowski

Przepraszamy za odłożenie druku innych listów do nru wrześniowego.

*) Oto słowa oryginału: „L'amor che move il sole e l'altre stelle“ (La Divina Commedia: Paradiso, Canto XXXIII).

W ZACHODNIO-europejskim kręgu kulturowym, do którego zalicza siebie naród polski, ewolucja społecznego i kulturalnego znaczenia rodziny odbywała się w sposób nieomal jednolity. Co prawda archeologowie poddają w wątpliwość prawidłowość zmian, w które do niedawna wierzone. Ich zdaniem nie tylko kwestia czasu — w jednym wypadku szósty wiek przed Chrystusem w drugim wypadku szósty wiek po Chrystusie — stanowi o różnicy między rodziną etruską i zachodnio słowiańską. Bez względu na stan rozwoju techniki i wyglądu kultury materialnej oba społeczeństwa i obie rodziny w ich ramach żyjące były do siebie niepodobne. Rozwiały się hipotezy o rzekomych identycznych początkach organizacji rodziny i o rzekomej prawidłowości procesów rozwojowych. Lecz bez zagadnienia, niewątpliwie pasjonujące, nie wiele rzucą światła na ewolucję rodziny w Europie na przestrzeni ostatniego tysiąclecia.

Z tego przede wszystkim względu, że w przeciwieństwie do biologicznej podstawy istnienia rodziny, jej cele i zadania, a co za tym idzie jej organizacja i kryteria osądu, nie są zjawiskiem przyrodniczym, zdeterminowanym i niezmiennym. Określa je obowiązująca w danej kulturze oprawa etyczna i filozoficzna. Jej pochodnymi są wszelkie funkcje spełniane przez rodzinę, ilekroć wykraczają poza prymitywny zakres utrzymania przy życiu zrodzonych w małżeństwie dzieci oraz zapewnienia rodzinie własnym wysiłkiem minimum bytowego. Owa oprawa, czy baza etyczna i filozoficzna, ulega zmianie w miarę postępu czasu i w miarę narastania zmian w bazie materialnej i społecznej. W Europie, zwłaszcza w kręgu podległym wpływom rozwojowym kultury chrześcijańskiej w jej wydaniu rzymskim, łacińskim, przemiany bazy materialnej i bazy filozoficznej były podobne. Powiedzmy lepiej: szły jednym łożyskiem, choć niewątpliwie nurtów było więcej niż jeden. Ich różnorodność wszakże nie zależała od rodziny. Przeciwnie struktura i funkcja społeczna rodziny zależną była od procesu rozwojowego myśli religijnej. Innymi słowy od planowanego wytyczania zadań, które rodzina miała wykonywać. Przez szereg wieków monopol tego planowania spoczywał w ręku Kościoła, naprzód uniwersalistycznego Kościoła katolic-

PAWEŁ ZAREMBA

ZWIĄZKI RODZINNE I TRADYCJA

kiego, później kilku czy kilkunastu Kościołów chrześcijańskich. Lecz monopol ten podważyła stosunkowo wcześniej działalność moralizatorsko-organizacyjna innych instytucji. Z nich najważniejszą było i jest państwo, niekiedy wspierane lub uzupełniane przez jakiś dominujący system ideologiczny. Stąd funkcja wychowania, nie mówiąc już o funkcji nauczania, przechodziła z rodziny na Kościół, na państwo, na partię. Niekiedy dzielono się tą funkcją, niekiedy starano się skupić w jednym ręku. Także inne zadania rodziny przesuwaly się stopniowo na instytucje społeczne z tym wynikiem, że w dzisiejszym europejskim społeczeństwie przemysłowym coraz trudniej jest mówić o rodzinie jako o jednostce gospodarczej. Niekiedy trudno nawet mówić o niej jako o jednostce kulturowej.

Lecz i dzisiaj jeszcze skala zawartości rodzinnej i zakres jej funkcji przedstawia prawdziwą mozaikę. W niektórych krajach rodzina ustąpiła już wiele ze swych dotychczasowych atrybutów, w innych broni ich jeszcze wcale skutecznie. Nie tylko zresztą w krajach. Także w granicach jednego państwa istnieje kilkanaście lub może więcej typów rodziny. Myślimy tu rzecz jasna nie o różnych typach rodziny w sensie prawnym, lecz w sensie psychicznym, a po części także gospodarczym. Warunki mieszkaniowe i warunki pracy wydają się najistotniejszą przyczyną tych różnic. Rodzina chłopska różni się od rodziny robotniczej, czy urzędniczej. Rodzina zamożna od rodziny biednej. Rodzina mieszkająca w nowoczesnym osiedlu od rodziny mieszkającej w małym, starym miasteczku. Różnice są nie tylko materialne: te omówić i zrozumieć łatwo. Trudniejsze do opisu i zrozumienia są różnice psychiczne, polegające na wartościowaniu dóbr niematerialnych, na stopniu wzajemnego przywiązania i współzależności nie wiele mającej wspólnego z wysokością zarobku i sposobem zarabkowania. Dodajmy od razu, że te różnice właśnie są ważniejsze, gdyż więcej wniosły i wnoszą do obrazu kultury narodowej i charakteru narodowego.

O rodzinie pisano wiele w historiografii. Socjologia zajmuje się nią namiętnie. Historia społeczna, nie tylko polska przecież, ogromną wagę poświęca badaniu związków rodzinnych. Jej nauki pomocnicze, jak genealogia czy heraldyka, rozpracowują starannie dzieje poszczególnych rodzin. Nie w celach schlebienia czyimś snobistycznym upodobaniom, choć Bogiem a prawdą to właśnie było początkiem tych nauk, lecz dla uplastycznienia obrazu kultury danego kraju czy narodu. Wśród Polaków do nauk tych podchodzi się ostrożnie, często z przekąsem. Z tego przede wszystkim względu, że jak dotychczas głównym przedmiotem ich badań są rodziny szlacheckie. Nic w tym dziwnego skoro się zważy jak wielką była przewaga szlachty w życiu historycznym Polski i, o tym także warto pamiętać, jak liczną była szlachta w Polsce w porównaniu z innymi krajami europejskimi. Ale obecnie dochodzenie dziejów rodzin przynosi się także i w Polsce na rodziny chłopskie, rzadziej na mieszczańskie, które są głównym przedmiotem zainteresowania w takiej na przykład Holandii, a po części także w Anglii. Wyniki tych badań podważają niejedną tradycję, przechowywaną pilnie z ojca na syna z obowiązkowymi upiększeniami przy każdej okazji. Nie na tym wszakże polega ich zasługa. Zasługą ich jest wysledzenie nieuchwytnych na pozór nurtów tradycji, które snując się legendą wśród prawdziwych lub rzekomych członków jednej rodziny, składały się razem na coś, co uczony angielski Charles Horton Cooley nazywał „podszewką historii“ i „podszewką kultury narodowej“.

Należy się także spodziewać, że postęp badań nad historią rodzin doprowadzi do powstania syntez na temat historii rodziny jako instytucji. Wydaje się, że potrzeba powstania takiej syntezy szczególnie jest wielka w odniesieniu do dziejów Polski i że ona właśnie wyjaśni z czasem wiele zagadek istoty i pojęcia charakteru narodowego. Syntezy takiej dotychczas nie ma. Niemniej pewne wnioski zarysowują się dość wyraź-

'DOMU'

ZE SPOSTRZEŻEŃ
O POLSKIM
CHARAKTERZE
NARODOWYM

nie, choćby tylko w postaci hipotetycznej, na podstawie znajomości faktów historycznych i społecznych. Spróbujmy niektóre z nich nakreślić.

Z dwóch podstawowych typów nowoczesnej rodziny europejskiej, w Polsce aż do czasów prawie nam współczesnych, dominował typ konsangwiczny nad typem koniugalnym. Co oznaczają te dwie łacińskie nazwy? Typ koniugalny ogranicza bliskość związku — solidarność społeczną grupy — do rodziców i potomstwa. Z tym, że związek między rodzicami i potomstwem rozluźnia się z kolei, w chwili gdy mija okres dzieciństwa lub wczesnej młodości. W tego typu rodzinie uczucia do rodziców małżeństwa, do rodzeństwa i do dalszych krewnych lub powinowatych układają się po liniach uprzywilejowanych znajomości. Są stosunkiem nieomal towarzyskim, a nie rodzinnym w rozumieniu „wziewów krwi“ i solidarności społecznej. Rodzina nowoczesna w społeczeństwach przemysłowych to właśnie rodzina „koniugalna“. W niej większość obowiązków i przywiązań przejęły inne niż rodzina instytucje. Choćaby państwo ze swymi niezliczonymi odgałęzieniami organizacyjnymi. Funkcja wychowawcza, gospodarza i tradycyjno-kulturowa sprowadzona jest do minimum. W sensie społecznym jest to właściwie spółka dwojga ludzi, której malenie wpływu religijnego, tam gdzie nastąpiło, odbiera nawet znamiona trwałości, choć oczywiście jest to raczej wyjątek niż reguła. Rodzina tego typu dominuje już od dość dawna w społeczeństwach anglosaskich, zaczyna dominować w społeczeństwach socjalistycznych, przynajmniej jako wzorzec. Jak widzimy sprawa ideologii politycznej czy społecznej nie wiele tu ma wpływu.

Natomiast w społeczeństwach takich jak francuskie lub włoskie przewagę ma do dziś typ niegdyś w Europie powszechny. To znaczy rodziny konsangwicznej. Wśród jej cech charakterystycznych warto wymienić najważniejsze. Rodzina wykazuje dążność utrzymania więzi z możliwie naj-

szerszym kręgiem krewnych i powinowatych. Małżeństwo jednego z jej członków jest rozszerzeniem rodziny, a nie oderwaniem się jednego z członków. Dziadkowie, dopóki żyją są punktem centralnym tak pojętej rodziny. Wnuki, rodzeństwo, dalecy nawet kuzyni czują się związani solidarnością, przeciwstawiają przynajmniej psychicznie wspólny front wobec wszystkich nie-krewniaków. Obowiązuje pewien swoisty kodeks moralności, mieszczący się rzecz jasna w ogólnych zasadach wyznawanych przez całe społeczeństwo, lecz nierządki stojące z nimi w sprzeczności. Wartości tradycyjne odgrywają ogromną rolę w życiu każdego z członków tej rodziny. Rodzina konsangwinietyczna jest ciągle częstą w społeczeństwach rolniczych. Lecz nie tylko w nich. Przed wytworzeniem się nowoczesnej klasy robotniczej była typowa dla ludności rzemieślniczej i dla małych ośrodków miejskich. Była częstą wśród burżuazji dziewiętnastowiecznej. I była przeważającym typem wśród Polaków. Jest wśród nich typem weale powszechnym, zwłaszcza po wsiach. Jej funkcjonowanie łączy się z innym zjawiskiem społecznym, z tak zwanym duchem sąsiedzkim, rzadkim w ośrodkach wielkomiejskich i przemysłowych. Lecz to inne zagadnienie.

Dla stosunków polskich, dla kultury polskiej, długotrwała przewaga typu rodziny konsangwinietycznej, ważna jest z dwóch względów. Znaczenie jednego wypaliło się już chyba i należy tylko do historii. Z tym, że w historii Polski odegrało ogromną rolę. Była nim sztuczna w rzeczywistości konstrukcja „rodu“, który na podstawie rzekomo wspólnego pochodzenia tworzył mozaikę powiązań w łonie społeczeństwa szlacheckiego, między rodzinami mieszkającymi na przykład na Podolu i na Pomorzu. Magiczne nieomal znaczenie herbu wzmocniło ją na szereg stuleci, pozwalając zmieścić w „rodzie“ polskim ludzi nie tylko obcego pochodzenia genetycznego, lecz także innej narodowości i wyznania, jak na przykład szlacheckie, czy uszlachcone rodziny Białorusinów i Litwinów, czy nawet wychrzczonych Żydów. Ono też, owe zjawisko solidarności rodzinnej, tak szeroko pojętej, pozwalało w epoce rozbiorów nic sobie nie robić w sensie społecznym i tradycyjnym, niekiedy także gospodarczym, z granic

zaborczych. P. Zakrzewski lub p. Kowalski z Wielkopolski znajdował dom i znane sobie stosunki u dalekich powinowatych w Galicji lub na Litwie.

Wiązało się z tym zjawisko drugie o wiele ważniejsze. Okres zaborów był okresem celowego niszczenia kultury polskiej, celowego obniżania poziomu kultury w ogóle. Aż po koniec wieku dziewiętnastego nie istniała oficjalna nauka i szkoła polska. Poza Galicją nie istniały uniwersytety, cenzura dławiała piśmiennictwo a upowszechnianiu wiedzy i kultury (wszelkiej nie tylko polskiej) stawiano tamy na każdym kroku. Tamy z pozoru bardzo skuteczne. Z pozoru, lub pod pewnymi tylko względami skuteczne. Niewątpliwie brak odpowiedniego szkolnictwa nie tylko utrwalił analfabetyzm w masach, lecz także powodował niedostatek ludzi nauki i fachowców różnego rodzaju. Podziwu jest godny fakt, że pomimo tych trudności, na uniwersytetach obcych wykształcali się naukowcy polscy a technicy polscy zdobywali sobie markę w rdzennej Rosji. Lecz istotniejszym dla długofalowego życia narodowego i narodowej kultury było skuteczne zastąpienie szkoły i swobodnego życia kulturalnego przez tak zwany „dom“. To znaczy przez działanie rodziny, o zwartych powiązaniach ogarniających wszystkie żyjące pokolenia. Rzecz jasna, że w tym układzie powstawało wiele legend i wiele upiększeń, nie mówiąc już o wielu uprzedzeniach. Ale skutek ogólny ująć można krótko w ten sposób, że polskość jako pojęcie kulturalne przetrwało i okrzepło w epoce bezpieczeństwa, głównie dzięki zwartości rodziny polskiej i mocy rodzinnej tradycji. Nie tylko w tak zwanym romantycznie „dworku“, czy domku rzemieślniczym, ale i w tak zwanej pogardliwie „chałupie“, gdzie nawet jeśli nic nie wiedziano o Koperniku czy Kościuszcze broniono przecież żarliwie języka polskiego.

Rodzina polska w wieku XIX przejęła wiele funkcji, które w krajach niepodległych przejmowało państwo. W pewnym sensie zastępowała i przeciwdziałała wpływom psychicznym państwa zaborczego. Nie obca władza, obcy sąd i obca kultura były kryterium społecznego „dobra“ i „zła“. Kryterium tym był „dom“, czyli rodzina.

Paweł Zaremba



LOTNICY POLSCY

Nasze lotnicze Stowarzyszenie obchodzi w tym roku dwie znamienne rocznice:

— 25-tą rocznicę udziału lotników polskich w bitwie powietrznej o Wielką Brytanię i

— 20-tą rocznicę swego istnienia.

Wydaje się, iż wolno mi powiedzieć, że chlubimy się bardzo ówczesnymi, walkami, a z kolei całością osiągnięć polskiego lotnictwa poprzez całą wojnę.

Nasze Stowarzyszenie ma obowiązek przypominać całemu światu o zasługach polskiego lotnictwa i dlatego w tym roku organizuje wiele akcji, uroczystości i imprez z tą rocznicą związanych.

Mówię o tym, by z tego miejsca apelować o jak najszerszy udział społeczeństwa polskiego w naszych uroczystościach, o poparcie nas, o propagowanie naszych akcji. Podkreślając osiągnięcia lotników, nie zapominamy nigdy o równie wielkich zmaganiach innych broni i w ogóle całego narodu polskiego.

Niedawno przemawiałem na akademii w Birmingham, zorganizowanej przez polskie społeczeństwo. Powiedziałem tam, że moce ducha polskiego są znaczne, bo są oparte na wierze Ojców naszych i że dlatego byliśmy wytrwali w walkach. Powiedziałem, że w zapasach wojennych braliśmy udział wszyscy — armia, marynarka wojenna, spadochroniarze, Armia Krajowa, marynarka handlowa, kobiety, nawet dzieci i my polscy lotnicy. Powiedziałem, że udział wszystkich zasługuje na uznanie. Powiedziałem wreszcie, że wszyscy do końca spełniliśmy swe obowiązki.

Mówiąc „do końca“ miałem na myśli lata wojny. Ale nie znaczy to, byśmy mieli sobie wiele wyrzucać, o ile chodzi

o pracę powojenną, a więc na odcinku społecznym. Każda z polskich organizacji, czy nasze kombatanckie czy inne rozpoczęły pracę po wojnie w trudnych warunkach, a przecież osiągnięcia są wielkie.

Cieszymy się z osiągnięć Zjednoczenia Polskiego, Stowarzyszenia Polskich Kombatanatów, Stowarzyszenia Marynarki Wojennej i wszystkich innych, a jestem pewien, że Koledzy cieszą się z

osiągnięć naszego Stowarzyszenia, które obchodzi 20-tą rocznicę swego istnienia, gdyż powstało ono w Noc Świętojańską 1945 roku.

Jesteśmy wdzięczni polskim organizacjom społecznym za ceną współpracy, czego dowodem jest zaproszenie na nasze uroczystości przedstawicieli organizacji z którymi najbliższej współpracujemy. Jesteśmy wdzięczni też polskiej prasie za poświęcanie wiele miejsca na naszemu Stowarzyszeniu. Nasze organizacje społeczne wraz ze Zjednoczeniem Polskim reprezentują poważne wartości, — siłę materialną i moralną. Pracujemy w zgodzie, mamy więc wiele możliwości na przyszłość.

Jestem żołnierzem, polityka jest mi obca, ale wiem jedno: wszystkie siły nasze winny być wprężone dla dobra Polski.

Zbliża się Tysiąclecie.

Cieszymy się z wielkich przygotowań. I nasze Stowarzyszenie pracuje też dla godnego uczczenia Tysiąclecia. Jako lotnicy chcemy zakupić szybowiec pod nazwą „Millennium Poloniae“, jako Polacy starszego pokolenia chcemy pomóc i pomagamy w budowie stacji harcerskiej. Wyteżajmy więc nadal nasze siły, a wtedy będziemy mogli z ręką na sercu powiedzieć: Jeszcze Polska nie zginęła póki my żyjemy!

A wóczas: I Bóg będzie z nami — I Honor będzie zachowany — I Ojczyzna będzie bliżej serc naszych.

Aleksander Gabszewicz

ŚWIĘTO ŻOŁNIERZA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

odbędzie się

25 września br. w ROYAL ALBERT HALL
w Londynie,

w 25-tą rocznicę pamiętnej bitwy powietrznej, w której lotnicy polscy rozsławili imię żołnierza polskiego.

Uroczystość obejmie oddanie hołdu Sztandarowi Wileńskiemu Polskich Sił Powietrznych i wystawienie widowiska, pt.

„SKRZYDŁA CHWAŁY“

pióra Ref-Rena, w reżyserii S. Zięciakiewicza.

Bliższe szczegóły poda Stowarzyszenie Lotników Polskich (14, Collingham Gardens, London, S.W. 5)

NASI I BITWA O WIELKĄ BRYTANIĘ

Napisał

Stanisław Sęp-Szarzyński

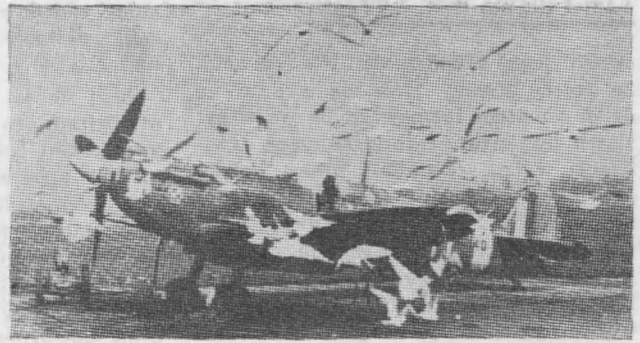
W DNIU 26 września r. 1940 J.K.M. Jerzy VI odwiedził polski dywizjon myśliwski 303, stojący wówczas na lotnisku Northolt pod Londynem. Pod koniec królewskiej wizyty — były to dni Battle of Britain dla Londynu gorące — poderwano dywizjon do boju. Dostojny gość, życząc lotnikom dobrze polowania, polecił powiadomić siebie o jego wyniku i odjechał. Wynik podano wkrótce: 11 zestrzeleń pewnych plus 1 prawdopodobne, straty własne — 0. „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej“, słusznie podając ten epizod ku wiecznej rzeczy pamiętce, bodaj się mylą co do wyniku. Według „Skrzydeł“ nr. 128/370, wynik był wtedy nieco inny, a mianowicie: 7 Heinkli 111, 2 Dornieri 215, 4 Messerschmidty 109, zestrzelone na pewno, jedno zestrzelenie prawdopodobne. Razem więc 13 + 1, nie zaś 11 + 1. Nie będziemy się tu jednak sprzeczać o drobiazgi, bowiem rekord dywizjonu 303 przypada na inny dzień, mianowicie na dzień 7 września tegoż roku. Wtedy zestrzelono na pewno 14 samolotów nieprzyjacielskich. Natomiast podając co dywizjon zestrzelił w owym dniu królewskiej wizyty, zwróćmy uwagę na to, że wśród tych zestrzeleń były cztery myśliwce.

Wśród myśliwców niemieckich w tym czasie nie brakło zaprawionych w kampanii polskiej i francuskiej, choć poprawdzie zaczynało już brakować, przestrzelanych z niemałym udziałem polskim, „niezwycięzonych“ weteranów z wojny hiszpańskiej. To spostrzeżenie, że wśród zestrzelonych były 4 myśliwce, zaś polscy myśliwcy nie ponieśli żadnych strat, jest wiele mówiące. Powiada nam ono, że choć życzenie dobrze polowania było w danym razie całkiem na miejscu, przecież nie chodziło o polowanie łatwe. Ze strony koniecznych doń zalet myśliwego, niekiedy przypominało ono raczej polowanie na lwy oszczepem, niż strzelanie do kaczek.

W południowym Sudanie cieszy się dziś niemałą sławą czarny myśliwiec, który z powodzeniem poluje na lwy oszczepem i twierdzi, że to całkiem łatwe. Być może, ale na pewno tylko dla bardzo niewielu to może być łatwe. Je-

„Spojrzenie z lotu
ptaka“ na Spitfire'a

317 Dywizjonu
Myśliwskiego



śli chodzi o lotniczych myśliwców z drugiej wojny światowej, takich jak w tym polskim 303 było na świecie z pewnością bardzo niewielu. Ish dywizjon w Battle of Britain miał nielada szczęście jeśli chodzi o teren łowiecki. Przydzieleni do 11 Grupy Myśliwskiej mieli do czynienia z wyprawami idącymi na Londyn tak ze wschodu jak i południa. 11 Grupa Myśliwska zbierała więc najliczniejsze trofea, ale i ponosiła straty największe. Ogólne straty myśliwców R. A. F. pod koniec bitwy doszły do bliskiej katastrofy cyfry 481. Zaczęło brakować uzupełnień, stosunek sił obrony i ataku zmieniał się wybitnie na korzyść Luftwaffe, czego Niemcy na szczęście nie wiedzieli. Wiedzieli natomiast o własnych stratach sięgających 1733 samolotów i o przeciąganiu się bitwy ponad spodziewanie. Wycofali się z bitwy, będąc na progu zwycięstwa.

Polski Dywizjon 303 był wprawdzie tylko jednym z 42, zaś później 60 dywizjonów myśliwskich obrony, ale jakim! Zestrzelił podczas Battle of Britain na pewno 110 samolotów nieprzyjaciela, przy własnej stracie 8 pilotów.

Zakładając, że w Battle of Britain dywizjon 303 miał dużo szczęścia,

należałoby jego wyjątkowość sprawdzić w innych warunkach walki. To sprawdzenie nastąpiło podczas wiosennych działań w r. 1941, nad Francją. Tam, w warunkach o ile trudniejszych, dywizjon znów pobił rekord w czasie swojego działania, mianowicie 39 samolotów zestrzelonych na pewno w ciągu dni 38. W rocznicę istnienia dywizjonu, zestrzelenia pewne doszły już do cyfry 165, choć niestety wzrosły i straty, dochodząc do 20 poległych.

Oczywiście taki dywizjon, jak ten nasz 303 musiał zyskać sławę światową i to od razu, w ciągu pierwszych tygodni swoich bojów. Bowiem przebieg Battle of Britain był z napięciem śledzony przez cały świat. Jakże mogło być inaczej, skoro w tej bitwie ważyła się odpowiedź na pytanie czy cywilizacja ludzi wolnych nie ulegnie zagładzie. Tak ową bitwę oceniano na całym świecie bardzo wielu, zdając sobie sprawę, że zapanowanie hitleryzmu w Europie, będzie prowadzić do tryumfu tyranii na całym świecie. Oczywiście dziś, „post factum“, łatwo sobie myśleć inaczej, wtedy jednak poczucie wielkiego dramatu dziejów ogarnęło cały świat, choć oczywiście towarzyszyły mu różne ży-



Polski pilot czeka na uzupełnienie paliwa przez mechaników

czenia jego zakończenia. Nie dziwota, że polscy lotnicy stali się z dnia na dzień tematem rozmów chyba we wszystkich językach, gdzie tylko sięga cywilizacja w postaci radia i prasy. Polska stawała się znana tym, którzy o niej nie wiedzieli nic, prawie nic. Zyskiwała w świecie oblicze narodu godnego już nie tylko współczucia, ale i podziwu. Dla Polaków, ta sława polskich myśliwców, była nie tylko tytułem do słusznej dumy, ale i żądaniem, ale i ukazaniem żołnierskiego dla nas wzoru. Dotyczyło to w całej pełni naszych rodaków pozostałych w kraju. Dzięki radiu, każde dziecko w Polsce wiedziało o czynach polskich lotników, zgoła niepodobnych, zgoła bajecznych, a przecież właśnie się dziejących i prawdziwych. Ci z 303 cieszyli się ze swoich zwycięstw i nie bez zrozumiałej dumy chodzili w blasku zasłużonej sławy, ale nie zdawali sobie sprawy z tego, że nie tylko oto stali się ulubieńcami i dumą Polski, ale i w znacznej mierze sprawcami odzyskania jej wiary w siły narodu i rozpowszechnienia polskiego heroizmu ponad wszelkie historyczne przykłady.

Mówiąc o Battle of Britain i polskim udziale w tej bitwie, nie należy zapominać o innych jej uczestnikach, którzy nie mieli szczęścia walczyć w dywizjonie 303. Dotyczy to dywizjonu 302 i około 50 polskich pilotów rozproszonych po dywizjonach R. A. F. Zestrzelili oni na pewno 93 i 1/2 samolotów nieprzyjacielskich. Łącznie liczba polskich myśliwców walczących wówczas, wynosiła około 100, co stanowiło 1/8 myśliwców obrony. Zestrzelili oni łącznie 203 1/2 samolotów niemieckich. Niepomniernie mniejsze znaczenie dla przebiegu Battle of Britain miało podjęcie bombardowań portów inwazyjnych przez polskie dywizjony 300 i 301, bo jak się okazało miało, Battle of Britain, rozegrała się w powietrzu.

Według autorów polskich, jak np. autorów „Polskich Sił Zbrojnych w drugiej Wojnie Światowej“, udział myśliwców polskich miał dla Battle of Britain znaczenie rozstrzygające. Unikając stronniczości patriotycznej, lecz nie unikając analizy cyfrowej, powinno się dojść do takiego wniosku — jak najbardziej prawdą jest to, że niewiele brakowało do klęski, że to niewiele co zbrakło do klęski wnieśli myśliwcy polscy. Oczywiście w opracowaniach brytyjskich ta prawda bywa tuszowana przez nie liczenie Polakom polskich myśliwców w dywizjonach R. A. F., zaś bywa i tak, że wkład polski jest ledwie dostrzegany. Nie gorszymy się zbytnio, że tak się dzieje — ludzie są ludźmi, skoro z sojuszniczą Polską tak się stało jak się stało, jakże może ktoś o pol-

skim wkładzie w zwycięstwo mówić całą prawdę, bez popełnienia dużego nietaktu.

Jeśli chodzi o zwycięstwo w Battle of Britain, to trzeba przyznać, że to zwycięstwo było nie tylko dziełem 800 pilotów myśliwskich, ale i dziełem brytyjskiego społeczeństwa. Jego postawa była imponująca. Niebo, nad przedtem spokojną, bezpieczną Anglią, rozjęczało się głosem silników, przewalał się po nim grzmot granatów, trzaskały serie broni maszynowej. Co gorsza waliły się z tego nieba bomby i waliły. I oto, rzecby można, że z gruzów zbombardowanych domów, zjawilo się męstwo i ogarniało naród nawykły przez wieki do zażywanie spokoju w swoim kraju. Ład i duch ofiarności były powszechne. Prawie nie bywało paniki, prawie nie bywało domagań zaprzestania walki. Gdzieś się podział tak powszechny przed wojną pacyfizm angielski, zniknął. Kto nie był wtedy w Anglii, nie zna Anglii, choćby się w Anglii urodził. Znaczenie jaką miała dla wyników Battle of Britain postawa społeczeństwa, nie pozwala tej bitwy widzieć tylko jako powtórzenie się środkami nowoczesnymi tych dawnych walk niewielu rycerzy, które decydowały o losach narodów. W danym razie zwyciężał wprawdzie oręż w rękach bardzo niewielu, lecz zwyciężało serce wiele. Stać nas byśmy to przyznali, choć mało kogo stać dziś na to w świecie — bo nie tylko w Anglii — by przyznać że polski wkład w Battle of Britain, był tym wdowim groszem, a raczej nie groszem, lecz sakiewką dobrze wypełnioną, która na szali zwycięstwa wiele zaważyła. Nie zaważyła ona później na szali, gdy się ważyła sprawa niepodległości Polski, ale ta smutna prawda nie powinna nam przysłaniać i tej, że społeczeństwo brytyjskie do dziś dnia nie zapomniało o polskich lotnikach, do dziś dnia karta bojowa w lotnictwie polskim budzi wdzięczne uczucia, szacunek, życzliwość.

Lotnicy polscy z pewnością zasłużyli sobie na tą wdzięczność, ale powiedzmy to jasno, zasłużyli mimowolnie. Lotnicy Polscy walcząc w ramach R. A. F., walczyli za Polskę i za nic więcej, tak jak lotnicy brytyjczyści walczyli za swój kraj i za nic więcej. Taka prawie bez wyjątku była prawda myśli i serc. Jednak obok tej prawdy ludzkiej, jest jeszcze inna

prawda ludzka, prawda współzależności spraw ludzkich, w danym razie, jasno widoczna. Zwycięstwo Niemiec np. w Battle of Britain byłoby klęską nie tylko brytyjską, ale i klęską całego wolnego świata, zaś prowadziłoby do zniszczenia narodu polskiego. W bitwie tej, Polacy, walcząc za Polskę, chcąc nie chcąc walczyli za Anglię i za wolny świat, Brytyjczycy, chcąc nie chcąc, walcząc za swój kraj, walczyli za świat wolny i za ocalenie narodu polskiego od zagłady. Tej prawdy nie zmienia to, jaką obecnie Polska jest, skoro alternatywą było unicestwienie. To również należy przyznać w imię całej prawdy.

Przyjmując, że Battle of Britain miała znaczenie decydujące dla wyniku drugiej wojny światowej, zaś polski udział w tej bitwie miał decydujące znaczenie dla jej wyniku, można powiedzieć, że gdzie jak gdzie, ale w danym razie krew polska nie została daremnie dla Polski przelana. W tej bitwie poległo 35 pilotów polskich, jak widzimy nie ilością ofiar należy określać chwałę bojów.

To ostatnie stwierdzenie jest bardzo ważne, dla znalezienia właściwej odpowiedzi na psychozę antyheroiczną, która nastąpiła po krwawych czasach, jakże często daremnych, polskiego heroizmu. Jest ona zjawiskiem zupełnie zrozumiałym — podobnie było we Francji po pierwszej wojnie światowej. Jednak nie dobrze się dzieje, gdy rany narodowe ropieją zbyt długo, gdy się je pozostawia na pastwę bakterii i rozkładu, lub zgoła jątrzy. Takim jątrzeniem bywa gloryfikacja krwawych klęsk, miast gloryfikacji heroizmu skutecznego, dobrego dla życia narodu.

Jak to naprawdę z tym u nas jest? Oto dwa przykłady, wprawdzie drobne, ale przecież wiele mówiące: Skalski, pierwszy na liście polskich asów Battle of Britain, wrócił do kraju. Pytałem kilku rodaków z kraju, czy coś o nim wiedzą. Nikt z nich nie wiedział, kto on zasz. No, można powiedzieć, w Polsce Ludowej, wiadomo jak, nie dziwota. Czy wiele inaczej jest ze sławą między nami tych polskich asów z Battle of Britain? Niezbyt daleko od miejsca, gdzie piszę te słowa, mieszka Polak, właściciel wzrostowej farmy, cieszący się sławą znakomitego rolnika. Oczywiście zna jego nazwisko każdy z okolicznych Polaków, ale jakże się zdumiewali, gdy któremu z nich wspomniałem, że ów as rolniczy, był jednym z polskich asów Battle of Britain.

Rzecz prosta o Battle of Britain każdy tu z Polaków wie, wie że Polacy się wtedy odznaczyli, ale niewiele więcej. Bowiem Battle of Britain jest dla ogółu Polaków bitwą mało znaną, jej polscy uczestnicy są żołnierzami przeważnie nieznanymi. Trudno się dziwić,

**CZYTAJ
POLSKĄ
KSIĄŻKĘ**

że w Polsce tryumfuje cuchnące słowo „bohaterszczyzna“, że podziw dla heroizmu zastąpiła pogarda heroizmu, skoro szeroko znanym Polakom jest tylko polski heroizm nad wyraz krwawy i bezskuteczny.

We wrześniu tego roku Stowarzyszenie Lotników Polskich przy współudziale Stowarzyszenia Polskich Kombatanów, urządza obchód dwudziestopięcioletnia Battle of Britain. Będzie on sposobnością do ukazania znaczenia tej bitwy, nie tylko dla Anglii, nie tylko dla cywilizacji wolnego człowieka, ale i jak najbardziej dla Polski.

Da Bóg, że kiedyś w Polsce będzie można ukazywać prawdy historyczne, obecnie przeinaczane lub przemilczane. Do nich należy i prawda o Battle of Britain, o jej znaczeniu dla ocalenia narodu polskiego.

Nadejdzie też czas odrodzenia polskiej miłości heroizmu, nie tylko dlatego, że ta miłość jest piękna, ale i dlatego, że bez tej miłości naród polski wolnym być nie może. Wtedy, choć dziś nieznanymi żołnierzami są ci nasi z Battle of Britain, staną się dumą i ukochem polskich serc.

Stanisław Sep-Szarzyński

WACŁAW WYBRANIEC

POLSKIE SIŁY POWIETRZNE W DRUGIEJ WOJNIE ŚWIATOWEJ

Niemcy uderzyli na Polskę o świcie dnia 1 września 1939 roku. Byli przekonani, że nasi sprzymierzeńcy zachodni, Francja i Wielka Brytania, nie wystąpią czynnie. Dlatego to naczelne dowództwo niemieckich sił zbrojnych zdecydowało pozostawić na zachodniej swej granicy jedynie nieliczne wojska osłowne. 80 procent niemieckich wojsk lądowych uderzyło jednocześnie na Polskę z zachodu, północy i południa. Do ataku na nasz kraj użyto 90 procent samolotów bojowych pierwszej linii oraz prawie że wszystkie większe jednostki pancerne.

Siły lotnicze obydwu walczących stron przedstawiały się jak następuje:

POLSKA

- 15 eskadr myśliwskich (P.11 i P.7),
 - 9 eskadr bombowych („Karacie“ i „Łosie“)
 - 7 eskadr rozpoznawczych („Karacie“)
 - 12 eskadr obserwacyjnych i towarzyszących („Czaple“ i R. XIII)
- Razem — 420 samolotów.

Zwycięstwa polskie w powietrzu w Kampanii Wrześniowej

- 126 zestrzelonych na pewno
- 10 zestrzelonych prawdopodobnie
- 14 uszkodzonych

Straty własne

Lotnictwo myśliwskie i towarzyszące: 50 pilotów i 114 samolotów.

Lotnictwo bombowe: 90 załóg i samolotów.

NIEMCY

- 1180 bombowców średnich typu: He 111-P, Do 17-M, Ju 86-G.
- 336 nurkujących bombowców typu: Ju 87-A i Ju 87-B.

- 40 bombowców nurkujących typu Hs 123-B.
 - 408 „niszczycieli“, będących samolotami typu: Me 110-C oraz 109-D.
 - 703 myśliwców typu Me 109-E.
 - 68 myśliwców typu Ar 68
 - 379 samolotów rozpoznawczych, głównie typu Do 17-P.
 - 342 samolotów towarzyszących do współpracy z wojskiem lądowym, typu Hs 126-B, He 45 i He 56.
 - 552 samoloty transportowe i szkolne,
 - 240 samolotów lotnictwa morskiego.
 - 55 różnych innych samolotów.
- Razem: 4.303 samoloty pierwszej linii (wg raportu naczelnego kwatermistrza Luftwaffe w dniu 1.9.1939).

Jednym z warunków szybkiego pokonania Polski było zniszczenie jej lotnictwa wojskowego zanim samoloty polskie wystartują do walki oraz zniszczenie ośrodków przemysłowych. Stąd też decyzja wojny brutalnej, bez wypowiedzenia i bez jakichkolwiek skrępowań w stosunku do umów o sposobie prowadzenia wojny, jakie Niemcy podpisały. Co więcej, pamiętając o swych „zwycięstwach“ w wojnie domowej w Hiszpanii liczyli Niemcy słusznie i na to, że niemałe korzyści przyniesie im brutalne bombardowanie ludności cywilnej oraz tych wszystkich skupień dalszego czynnego oporu. Nie bez słuszności liczyli również i na to, że terror lotniczy stosowany wobec cywilnej ludności i bombardowanie bezbronných miast i wsi, osłabi wolę walki wśród sprzymierzeńców Polski.

O świcie 1 września 1939, gdy Niemcy zaatakowały Polskę, jednostki lotnictwa polskiego były już od kilku dni na lotniskach polowych. Do walki z wielokrotnie liczniejszym wrogiem, wyposażonym w znacznie lepsze i nowocześniejsze samoloty poderwali się natych-

miast polscy myśliwcy. Jednocześnie polskie samoloty bombowe, nie zważając na ciężkie straty, wystartowały do bombardowania niemieckich kolumn wojskowych, a przede wszystkim szybko posuwających się niemieckich kolumn pancernych.

Niestety, już po kilku dniach dziesiątkowane eskadry nie mogły walczyć skutecznie, nie posiadając sprzętu wymiennego, zaopatrzenia, materiałów pędnych i tkwiąc na lotniskach zoranych bombami i bombardowanych kilkakrotnie w ciągu dnia. Zniszczone fabryki lotnicze nie były w stanie produkować. Zniszczone tory kolejowe i mosty uniemożliwiły dostarczenie tak bardzo potrzebnego sprzętu.

Lotnictwo polskie uległo przemocy. Nie osłabił jednak duch i nie osłabiła chęć do dalszej walki z wrogiem. Przez Rumunię i Węgry przedzierali się lotnicy polscy do Francji.

KAMPANIA WE FRANCJI — 1940

Pierwsze, większe grupy lotników polskich zdołały przedrzeć się do Francji już w październiku 1939, drogą lądową przez Włochy lub morską przez Morze Śródziemne. Największe natężenie: listopad i grudzień 1939.

W dniu 14 maja 1940 organizacja lotnictwa polskiego we Francji przedstawiała się następująco:

- 145 Esk. Myśl. (przeważnie dawny 1 p. Lot.) — gotowi do walki
- 2 Esk. Myśl. (połowa we franc. esk. myśliwskiej,
- 3 Esk. Myśl. (przeważnie piloci z b. „Dyw. Fińskiego“) — w szkoleniu,
- 4 Esk. Myśl. (w szkoleniu)
- 1 Esk. Rozpoznawcza (gotowa do walki, ale bez samolotów)
- 2 Esk. Rozpoznawcze w szkoleniu na ziemi.

Esk. bombowa stworzona 24 maja. Nie weszła do walki.

Jednostki zapasowe i szkoleniowe oraz setki ludzi bez przydziału.

ZACIĄG DO R. A. F.

W drugiej połowie maja 1940, sformowano we Francji 22 polskie klucze myśliwskie, z czego 12 odeszło na wzmożenie francuskich eskadr myśl., a pozostałe rozrzucono po Francji dla obrony ośrodków przemysłowych.

Zwycięstwa w powietrzu

- 50 samolotów n-pla zestrzelonych na pewno,
- 3 samoloty n-pla zastrzelone prawdopodobnie,
- 6 uszkodzonych.

Straty własne: 13 pilotów.

Razem: 140 pilotów polskich brało udział w walce powietrznej bądź to w jednostkach polskich bądź francuskich.

Ewakuacja: 19. 6. 1940 gen. Sikorski nadał przez radio rozkaz żołnierzom polskim, aby jak najszybciej zdążyli do portów francuskich nad Atlantykiem lub nad Morzem Śródziemnym.

W rezultacie część lotników polskich została ewakuowana do portów angielskich, część zaś popłynęła do Oranu i innych portów północnej Afryki.

P. S. P. W WIELKIEJ BRYTANII

Zanim pierwsze wielkie tranporty przywoziły do brzegów Anglii ewakuujące się Lotnictwo Polskie, w W. Brytanii znajdowało się już przeszło 1000 lotników polskich, którzy ochotniczo zgłosili się do służby w lotnictwie brytyjskim t. j. w Royal Air Forces. Pierwszy transport: grudzień 1939.

Pod koniec marca, pierwsi polscy lotnicy odkomenderowani zostali do brytyjskich ośrodków szkolenia bojowego (Hucknall).

Ofensywa niemiecka we Francji.

W maju z uwagi na zwycięstwa niemieckie we Francji i straty brytyjskie, pierwszych kilkudziesięciu pilotów polskich zostaje odkomenderowanych na przeszkolenie bojowe w dywizjonach R. A. F.

Sytuacja po klęsce Francji.

Przygotowania do odparcia inwazji.

- 1.7.1940 rozpoczyna się organizacja 300 Dyw. Bomb. Ziemi Mazowieckiej — jedyne polskiego dywizjonu, który do końca wojny działał, jako dywizjon bombowy.
- 13.7.1940. organizuje się 302 „Poznański” Dyw. Myśliwski.
- 19.7.1940. por. pil. Ostowicz, pierwszy z polskich lotników zestrzelił nad W. Brytanią samolot niemiecki.
- 22.7.1940. organizuje się 301 Dyw. Bomb. który w cztery lata później zdobędzie zaszczytną nazwę „Obróńców Warszawy” niosąc pomoc powstańcom bohaterskiej stolicy.
- 2.8.1940. organizuje się 303 Dyw. Myśl. im. T. Kościuszki, którego sława przeniknie wkrótce do wszystkich bojowych jednostek brytyjskiego lotnictwa myśliwskiego. Dywizjon ten jest spadkobiercą w prostej linii słynnej 7-ej Eskadry Kościuszkowskiej, z lat 1919/20 ochotników amerykańskich, późniejszej III Esk. Myśl. T. Kościuszki 1-go pułku lotn.

BITWA O WIELKĄ BRYTANIĘ

8 sierpnia 1940 uważać należy za początek największych zmagania w powietrzu, jakie zna dotychczas zna historia.

Stawką jest wolność lub klęska W. Brytanii i całej Europy. Gdyby lotnictwo niemieckie odniosło wówczas zwycięstwo, jest rzeczą absolutnie pewną, że Niemcy pokusiłyby się o inwazję W. Brytanii na pełną skalę. Wszystko wówczas wskazywało na to, że po pokonaniu lotnictwa brytyjskiego i sprzymierzonego z nim lotnictwa polskiego, powodzenie takiej inwazji było zapewnione.

W tydzień po rozpoczęciu się gigantycznych zmagania w powietrzu, które przeszły do historii pod nazwą „Bitwy o Wielką Brytanię” — wchodzi do akcji polski 302 Dyw. Myśliwski. Jednocześnie od pewnego już czasu walczą polscy piloci myśliwscy przydzieleni do dywizjonów brytyjskich. W pierwszej fazie Bitwy o W. Brytanię (8.8.—18.8.) w której Niemcy bombardowali przede wszystkim porty i miejscowości położone na południowym brzegu Anglii, lotnicy polscy zestrzelili na pewno 29 samolotów n-pla, 2 prawdopodobnie, a 9 uszkodzili. Stanowi to 4 procent zwycięstw w stosunku do zwycięstw pilotów R. A. F.

W drugiej fazie Bitwy o W. Brytanię stosunek ten podniósł się do 10 procent, a liczba samolotów niemieckich zestrzelonych przez lotników polskich wynosiła 56.

Warto przy tym zaznaczyć, że 302 Dyw. Myśl. zestrzelił pierwszy samolot niemiecki w czasie lotu patrolowego, w dniu 20 sierpnia. Dywizjon 303 zdystansował go jednak pod tym względem, ponieważ w 10 dni później jeden z oficerów dywizjonu zestrzelił samolot niemiecki w czasie lotu szkoleniowego, pozorującego atak na formację bombowców. Widać z tego, że piloci 303 Dyw. nie lubią walki „na niby”. Że tak było świadczy o tym najlepiej to, że następnego dnia 6 pilotów tego dywizjonu zestrzeliło 5 samolotów niemieckich Me 109.

Tymczasem organizują się dywizjony: 304 Bomb. „Ziemi Śląskiej”, 305 Bomb. „Ziemi Wielkopolskiej”, 306 Myśliwski „Toruń”, 307 Nocny Dyw. Myśl. „Lwowskich Puchaczy” i 308 Myśl. Kra-kowski.

W trzeciej fazie Bitwy o W. Brytanię (6.9. — 5.10), którą przede wszystkim charakteryzowały dzienne naloty na Londyn, polscy piloci myśliwscy 302 i 303 Dyw. oraz Polacy walczący w dywizjonach brytyjskich zestrzelili na pewno 108 samolotów n-pla, co stanowiło 14½ proc. zwycięstw powietrznych osiągniętych przez pilotów R. A. F.

W czwartej i ostatniej fazie Bitwy o W. Brytanię, która straciła znacznie na gwałtowności, polscy piloci myśliwscy zestrzelili 10 samolotów n-pla na pewno.

Zestawienie zwycięstw polskich w Bitwie o Wielką Brytanię

- 302 Dywizjon Myśliwski
16 samolotów zestrzelonych na pewno
- 303 Dywizjon Myśliwski
110 samolotów zestrzelonych na pewno.
Piloci polscy w dywizjonach R. A. F.
77 samolotów zestrzelonych na pewno.
Razem: 203 samol. n-pla zestrzelono na pewno. Straty własne 26 pilotów.

Brak miejsca nie pozwala mi na cytowanie chociażby drobnej części pochwał, jakie te dwa dywizjony polskie otrzymały od najwyższych dostojników brytyjskich i polskich.

Wszystkie one potwierdzają to, co niedawno o lotnictwie polskim z owych dni powiedział ówczesny brytyjski Minister Lotnictwa, Sir Archibald Sinclair:

„Brak wyszkolonych pilotów uniemożliwiłoby nam uzupełnienie dywizjonów potrzebnych do pokonania niemieckiego lotnictwa i tym samym do uzyskania zwycięstwa w Bitwie o Wielką Brytanię bez udziału dzielnych lotników polskich, którzy wypełnili lukę walcząc mężnie u boku ich brytyjskich towarzyszy broni.”

Myliliby się jednak ten, kto by sądził, że tylko lotnictwo myśliwskie brało udział w Bitwie o W. Brytanię. Nie małą w niej rolę odegrało brytyjskie lotnictwo bombowe, wspierane przez dwa dywizjony polskie, 300 i 301.

Pierwszy lot operacyjny w którym te dywizjony wzięły udział odbył się w dniu 14 września 1940. Celem do bombardowania były barki skoncentrowane w porcie francuskim Boulogne. Barki te miały być użyte w inwazji na Wielką Brytanię. Wszystkie samoloty polskie powróciły do bazy i zachęczone tym dowództwo brytyjskie lotnictwa bombowego wysłała polskie dywizjony na tego rodzaju operacje, kiedy tylko pozwoli na to pogoda. Polacy bombardują głównie porty w Boulogne, Calais i Ostendzie.

Ale zanim jeszcze rok 1940 się skończył, 301 i 302 Dyw. Bomb. dostają nowe samoloty na grubszą robotę. W pierwszych dniach grudnia przychodzą dwusilnikowe „Wellingtony”, a na 3 dni przed Bożym Narodzeniem obydwie dywizjony zostawiają po bombardowaniu port w Antwerpem zapalony jak choinkę.

Razem, przez niecałe trzy miesiące nasze dwa dywizjony bombowe wykonały 97 lotów operacyjnych i zrzucały na porty inwazyjne Francji, Belgii i Holandii — 62 tony bomb i min.

W pierwszych dniach grudnia wchodzi również do akcji 307 Nocny Dyw. Myśl. „Lwowskich Puchaczy”.

Przed tym jednak jeszcze lotnicy polscy, na czele z „ojcem lotnictwa polskiego” gen. pil. L. Rayskim, rozpoczynają ciężkie i niewdzięczne loty ponad

пустyniami Afryki, transportując różnego rodzaju samoloty ze Złotego Wybrzeża na Bliski Wschód.

Rok 1941: to rok bardzo ożywionej działalności lotnictwa polskiego. Był to następnie rok w którym lotnictwo brytyjskie wywalczyło przewagę w powietrzu.

21.1.41 — 303 Dyw. Myśl. wykonuje pierwszy lot ofensywny na północną Francję.

W tym samym miesiącu organizują się nowe polskie dywizjony myśliwskie: 315 „Dęblński“, 316 „Warszawski“ i 317 „Wileński“. W ten sposób polskie lotnictwo myśliwskie liczy już 8 dywizjonów, co stanowi 1/8 całego lotnictwa myśliwskiego R. A. F.

Powstaje następnie pierwsza, całkowicie polska szkoła pilotażu oraz rozbudowuje się powstała w roku ubiegłym polska szkoła wyszkolenia technicznego.

23 marca 1941 ma wielkie znaczenie w historii lotnictwa polskiego. W tym dniu bowiem dwa polskie dywizjony bombowe — 300 i 301 — zbombardowały Berlin. Drugie bombardowanie Berlina przez załogi polskie odbyło się w dniu 17 kwietnia tegoż roku. Wszystkie samoloty polskie powróciły do baz. W tydzień później weszły do akcji dwa nowe polskie dywizjony bombowe: 304 i 305. Tej nocy obydwie dywizjony zbombardowały zbiorniki paliwa w Rotterdamie.

15 lipca tegoż roku Nacz. Wódz gen. Sikorski wręczył ówczesnemu D-cy P. S. P. sztandar wykonany konspiracyjnie przez Polki miasta Wilna.

Statystyka

Lotnictwo myśliwskie zestrzeliło w tym roku 202 samoloty nieprzyjacielskie na pewno i 52 prawdopodobnie. Ilość lotów bojowych 12.982. Sam 308 Dyw. „Krakowski“ zestrzelił na pewno 52 samoloty n-pla.

Lotnictwo bombowe wykonało 1357 lotów operacyjnych i zrzuciło 1793 tony bomb i min na porty i miasta niemieckie lub okupowane przez Niemcy.

Rok 1942: Polskie Lotnictwo myśliwskie rozszerza swą działalność na północną Afrykę. W lutym tego roku wydzielony zespół polski wykonuje pierwszy lot bojowy na froncie w Libii.

Dywizjony myśliwskie stacjonowane w W. Brytanii dokonują skutecznych nalotów na lotniska niemieckie w północnej Francji, żeglugę przybrzeżną n-pla, konwojują własne okręty, osłaniają wyprawy bombowe oraz patrolują.

Największą akcją polskiego lotnictwa myśliwskiego tego roku było osłanianie wyprawy na Dieppe. W działaniach tych wzięły udział dywizjony 302, 303, 306, 308 i 317. Zestrzelono wówczas 15 samolotów n-pla na pewno

i 5 prawdopodobnie. Straty własne 2 pil.

Polskie lotnictwo bombowe bombardowało w tym roku wszystkie ważniejsze miasta i porty niemieckie, a przede wszystkim: Berlin, Kiel, Kolonię, Bremen, Hamburg, Frankfurt, Osnabrück, Stuttgart, Essen, Rostokę, Düsseldorf, Kassel, Duisburg i Mainz. Poza tym Polacy bombardowali północne Włochy (Turyn, Mediolan). Ostatniego dnia tego roku 500 samolot niemiecki został zestrzelony przez lotnika polskiego za okres pobytu w W. Brytanii.

Był to jednak rok największych strat polskich. — 497 członków personelu latającego (przeważnie załogi bombowe). Straty zadane n-plowi: 90 samolotów na pewno, 36 prawdopodobnie.

Największa ilość zwycięstw: 303 Dyw. Myśl. 21 na pewno, 10 prawdopodobnie.

Rok 1943: W pierwszych dniach tego roku lotnicy polscy latają w brytyjskich liniach lotniczych oraz w Transatlantycznej Grupie Transportowej w Kanadzie.

W marcu rozpoczyna pierwsze loty operacyjne polski zespół myśliwski przydzielony do 145 Dyw. brytyjskiego. Do dnia 12 maja tego roku zespół ten zestrzelił 25 samolotów n-pla na pewno i 3 prawdopodobnie. W marcu również organizuje się 318 Dyw. Myśl. „Gdański“ przeznaczony do współpracy z 2 Korpusem Polskim.

W tym samym miesiącu 301 Dyw. Bomb. zostaje włączony do 138 Dyw. bryt. do zadań specjalnych. Dywizjon ten odbywa loty do Polski, Jugosławii, Albanii, Grecji i Francji. Zrzuca spadochroniarzy, broń, amunicję, sprzęt radiowy, wysadza i zabiera przywódców ruchów podziemnych. Lotnictwo bombowe bombarduje miasta i porty w Niemczech, Francji, Belgii, Holandii i Włoszech. Poza tym atakuje żeglugę i minuje wody terytorialne n-pla.

19.8.43. 316 Dyw. Myśl. odnosi niecodzienne zwycięstwo w rejonie Amiens (Francja) — 5 samolotów n-pla zestrzelonych na pewno, 1 prawdopodobnie.

Straty własne 1 samolot.

W tym samym miesiącu 318 Dyw. Myśl. Rozpoznawczy odchodzi na Bliski Wschód.

11.9.43. — 307 Nocny Dyw. Myśl. zestrzeliwuje w dziennym spotkaniu nad zatoką Biskajską 5 samolotów na pewno, 2 prawdopodobnie. Bez strat własnych.

Na skutek przygotowania do inwazji kontynentu następuje przeorganizowanie polskich dywizjonów myśliwskich. Utworzono Zgrupowanie Myśliwskie.

Statystyka:

Dywizjony Myśliwskie zestrzeliły 113 samolotów n-pla na pewno, 42 prawdopodobnie. Największą ilość zwycięstw osiągnął polski zespół myśl. w Pn. Afryce: 25 na pewno, 3 prawdopodobnie.

304 Dywizjon — Obrona Wybrzeża.

W tym roku 304 Dyw. Bomb. został przekształcony na 304 Dyw. Obrony Wybrzeża do walki z łodziami podwodnymi.

Dywizjony bombowe: 1895 lotów operacyjnych, zrzucano: 1602 tony bomb i min.

Rok 1944. Śmiałego nalotu dokonuje w dzień 307 Nocny Dyw. Myśl. atakując bazę niemieckich wodnopłatowców w Stavanger (Norwegia). 2 samoloty n-pla zniszczone na pewno, 2 prawdopodobnie.

305 Dyw. Bomb. otrzymuje najszybsze wówczas samoloty bombowe „Mosquito“, a 300 Dyw. Bomb. największe wówczas samoloty bombowe, czterosilnikowe „Lancaster“.

W maju tego roku 318 Dyw. Myśl. rozpoczyna akcję bojową we Włoszech, współpracując z 2 Korpusem Polskim. W tym samym miesiącu polskie lotnictwo myśliwskie wykonało w związku z przygotowywaną inwazją kontynentu 1557 zadań bojowych.

INWAZJA

W skład brytyjskiego lotnictwa inwazyjnego weszły polskie dywizjony myśliwskie. 302, 308 i 317 oraz 305 Lekki



Defilada ochotniczek Polskiej Lotniczej Służby Kobiet

Dywizjon Bomb. Polskie Dyw. Myśl. 306, 315 i 316 walczą przede wszystkim z bombami latającymi w obronie Londynu oraz podobnie jak pozostałe polskie dywizjony myśl. 303, 307 i 309 wykonują zadania na korzyść inwazji Kontynentu. W pierwsze dni inwazji polscy piloci myśliwscy wykonali 525 lotów bojowych i zestrzelili 16 samolotów n-pla na pewno i 2 prawdopodobnie. Lotnictwo bombowe bombarduje wyrzutnie bomb latających, miasta i porty w Niemczech, Belgii, Holandii i Francji oraz koncentracje wojsk niemieckich.

POWSTANIE WARSZAWSKIE

Udział wziął polski 301 Dyw. do Zadań Specjalnych. Dywizjon ten wykonał na korzyść Powstania Warszawskiego 97 zadań bojowych na Warszawę i okolicę. Straty własne wyniosły 15 załóg, czyli 15 procent wykonywanych zadań. Innymi słowy wynosi to 150 proc. stanu etatowego załóg.

17 sierpnia 1944 — 302 i 317 Dywizjony zatapiają w jednym locie 6 jednoosobowych niemieckich łodzi podwodnych u wybrzeża Normandii.

Na drugi dzień 315 Dyw. Myśl. (12 samolotów) odnosi wspaniałe zwycięstwo w rejonie Beauvais (Francja) zestrzeliwując w spotkaniu z 60 samolot. n-pla („F. W.“) — 16 samolotów na pewno i 1 prawdopodobnie, tracąc 1 samolot własny.

18.10.1944 — 6 samolotów 316 Dyw. Myśl. zestrzeliwuje koło Półwyspu Jutlandzkiego 6 samolotów n-pla, bez strat własnych. Były to wszystkie samoloty n-pla spotkane w tym locie.



Tymczasem polskie samoloty bombowe bombardują Wilhelmshaven, Kolonię, Saarbrücken, Essen, Stuttgart, Le Havre, L'Orient, Szczecin, Kiel, Dortmund i wiele innych miejscowości oraz żeglugę, drogi komunikacyjne i koncentracje n-pla.

Dywizjon Ochr. Wybrzeża prowadzi walkę z żeglugą n-pla, walczy z łodziami podwodnymi i patroluje Atlantyk oraz zatokę Biskajską.

Dywizjon ten dokonał 14 ataków na niemieckie łodzie podwodne zatapiając 1 i uszkadzając 6.

Rok 1945: rozpoczął się dla lotnictwa polskiego dobrze i źle. W dzień Nowego Roku dywizjony myśliwskie 131 Skrzydła stacjonowane wówczas w Belgii zostały zaatakowane przez ok. 40 samolotów niemieckich. Dywizjony myśliwskie 308 i 317 zestrzeliły wówczas 18 samolotów n-pla napewno i 1 prawdopodobnie. Własne straty wyniosły 2 pilotów i 3 mechaników z personelu ziemnego, gdyż Niemcy zaatakowali lotnisko polskie w Gandawie.

2 kwietnia 304 Dyw. Obrony Wybrzeża zatapia na Atlantyku jeszcze jedną niemiecką łódź podwodną. Tego samego miesiąca 300 Dyw. Bomb. bierze odwet za wszystkie krzywdy doznane przez nas od Hitlera bombardując jego siedzibę w Berchtesgaden.

Wyprawę tę ubezpieczają dywizjony myśliwskie: 306, 309, 315, które wówczas wykonywały swój najdłuższy lot trwający prawie sześć godzin.

Polskie lotnictwo bombowe okłada do ostatka bombami walącą się w gruzy Rzeszę, podczas gdy lotnictwo myśliwskie przegania z powietrza resztki samolotów potężnej niegdyś Luftwaffe. Nie znajdując przeciwnika w powietrzu niszczą go na ziemi i na wodzie. Na 3 dni przed zakończeniem wojny por. Szczerbiński zatopił 500 tonowy statek nieprzyjacielski. Niestety, po wybuchu statku pilot zginął.

Jeszcze po wojnie lotnictwo polskie działa intensywnie. 300 Dyw. Bomb. zapatruje przez pewien czas w żywność Holandię. 301 Dyw. oraz część załóg dywizjonów 300, 304 i 305 latała w brytyjskich jednostkach transportowych.

MIECZYŚLAW LISIEWICZ

Zarys dziejów Stow. Lotników Polskich

*Bo jeśli będzie szaro, aż do samej ziemi,
Tak jak to czasem bywa, gdy wzrok mgłą przewierca
Próżno szukając blasku, spragniony promieni —
My i tak dolecimy... Na busole serca...*

(kpt. pil. Paweł Moskwa „Powrót“)

Rok 1944/45 był rokiem wielkich nadziei dla wszystkich Sprzymierzonych.

Równocześnie doszły do Londynu alarmujące wieści z głębi Polski i Litwy: aresztowanie rządu podziemnego, rozbijanie oddziałów Armii Krajowej, wywożenie oficerów w niewiadomym kierunku. Żołnierz polski nie mógł zrozumieć: o co chodzi? Dla orientujących się lepiej w sytuacji jasnym się stało, że w obliczu polityki sowieckiej wygrana przez Sprzymierzeńców wojna jest równoznaczna z klęską Polski i Polaków.

W porównaniu z innymi broniami w lotnictwie było najspokojniej, choćby i dlatego, że większość bojowych jednostek była na kontynencie. Jednak każdy pytał siebie: co przyszłość przynieść może? Do Polski wracać nie można. Wojna się kończy. Anglia armii Polskiej wiecznie trzymać nie będzie. Z drugiej strony takiej masy jak armia Polska wraz z lotnictwem przemocą do Polski odesłać nie można. Więc co dalej?

W takich warunkach wyszedł, z inicjatywy kilku oficerów, sławny „KO-

Chronologiczny opis działalności Polskich Sił Powietrznych nie jest i nie może być dokładnym odzwierciedleniem ogromnego wkładu Polskich Sił Powietrznych w ostateczne zwycięstwo osiągnięte przez narody sprzymierzone nad Niemcami w drugiej wojnie światowej. Dokładny opis walk oraz wysiłków, a wreszcie ostateczną ocenę zwycięstw polskiego lotniczego oręża należy pozostawić przyszłemu dziejopisarzom, którzy z należytej perspektywy czasu będą mogli beznamytnie ocenić wydarzenia i ludzi. Dziś natomiast można z całą pewnością powiedzieć, że ocena ta pozwole każdemu bezstronnemu badaczowi tych dziejów stwierdzić, a parafrazując znane powiedzenie starożytnych Rzymian zapisać, iż „lotnicy polscy dobrze zasłużyli się swej ojczyźnie.“

Wacław Wybraniec

UWAGA: Przy opracowaniu powyższego artykułu autor opierał się głównie na następujących pracach: 1) „Destiny can wait“ — Polish Air Force in Second World War, wyd. Heinemann, Londyn 1949, 2) „Polskie Siły Powietrzne 1940—1945, Stow. Lotników Polskich, 1947.

— pomoc kolegom w organizowaniu się na obczyźnie,

— kultywowanie pamięci poległych i zmarłych oraz niesienie pomocy pozostałym po nich rodzinom będącym w potrzebie,

— upamiętnianie walk, trudów i sławy Polskiego Lotnictwa,

— dalsze kontynuowanie polskiej tradycji lotniczej,

— kontynuowanie działalności lotniczej.

Były to cele, w ówczesnej sytuacji, więcej niż ambitne. Stawiano je sobie w chwili, kiedy niewiadomym było co jutro przyniesie.

Jednak wszystko najwidoczniej poczęło się pod szczęśliwą gwiazdą. Owa stworzona przez lotnika polskiego organizacja, wówczas Samopomocą, dziś Stowarzyszeniem Lotników Polskich zwana — wszystkie te cele w ciągu dwóch lat dziesiątków swego istnienia zrealizowała i dalej je realizuje.

Pierwszym krokiem do realizacji postawionych sobie zadań było ujęcie w ręce całego ruchu osiedleńczego, czy też emigracyjnego demobilizowanych. Zorganizowano szereg kursów, wydano dziesiątki broszur informacyjnych, zarówno o warunkach pracy na wyspach brytyjskich jak i warunkach emigracyjnych poza Wielką Brytanią. Naukę języka angielskiego wziął w swe ręce RAF, a Stowarzyszenie rozmaite inne kursy języków obcych, głównie hiszpańskiego, wobec sporej liczby tych, którzy mieli zamiar osiedlić się w krajach Ameryki Południowej. Nawiązano kontakty z tymi kolegami, którzy byli już na miejscu. Wykorzystano przychylną pomoc bratniej organizacji brytyjskiej, a więc British Air Force Association, instytucji o dużych możliwościach i funduszach i oparto się na jej doświadczeniu. Tu szczególnie podkreślić należy, że od początku istnienia Stowarzyszenia Lotników Polskich British AFA zawsze spieszył z pomocą Stowarzyszeniu, gdzie tylko było potrzeba.

Z jej pomocą sprawy zaczęły układać się pomyślnie. Jeszcze nim skończył się Korpus Przystosowania, organizacja lotnicza okrzepła do tego stopnia, że mogła zakupić dom w pięknej dzielnicy Londynu, dom wraz z salami klubowymi, miejscem na restaurację i cukiernię oraz na mały hotel. Tam urzędowały władze organizacji oraz zaangażowani specjaliści doradcy w sprawach zatrudnień, w kwestiach prawnych czy finansowych. Tu udzielano pożyczek pozwalających na zakładanie własnych przedsiębiorstw, tu można było się spotkać z kolegami, tu z biegiem czasu przyjeżdżał każdy, kto chciał się znaleźć między swymi, w atmosferze polskiej.

Lecz dni powszednie i ich potrzeby

bynajmniej nie zasłoniły postawionych przez Stowarzyszenie celów ideowych.

Przede wszystkim, dla utrzymania stałej łączności ze wszystkimi ośrodkami pozalondyńskimi, Stowarzyszenie przejęło pod swą opiekę periodyk „Skrzydła“, rozpoczęty jeszcze w początkach pobytu polskich lotników w Anglii. Z biegiem czasu pismo skupiło na swych łamach najlepsze pióra emigracyjne. Stowarzyszenie wzięło udział w budowie Pomnika Lotnika Polskiego w Northolt, wraz z Księgą Lotnictwa Polskiego, wydaną po angielsku, uznaną za jeden z klasyków Drugiej Wojny Światowej pt. „Destiny Can Wait“. Wreszcie wzięło pod swą opiekę cmentarz Lotniczy w Newark. Już w tym czasie organizacja poza centrem londyńskim miała kilkanaście rozsianych po całej Anglii i Szkocji kół prowincjonalnych oraz utrzymywała kontakt z założonymi kołami w Stanach Zjednoczonych i Ameryce Południowej. Z czasem doszły do tego koła (zwane później „Skrzydłami“) w Australii i Kanadzie.

Tradycyjnie co roku we wrześniu, w rocznicę sławnej bitwy o Wielką Brytanię, bitwę o wolność Europy, która stała się filarem sławy Lotnika Polskiego na świat cały, odbywają się uroczystości ku czci poległych i zaginionych,

Na ten dzień z zewsząd zjeżdżają do Londynu koledzy. Z całej Anglii i Szkocji, z Europy czy innych kontynentów. Po nabożeństwie udają się pod pomnik Lotnika w Northolt, by tam uczcić pamięć kolegów, którzy zginęli czy zmarli. W tym dniu płoną znicze na cmentarzu w Newark, gdzie wśród lotników poległych leży i ich Naczelny Wódz, który zginął też śmiercią lotnika.

Pamięć o zmarłych jest rzeczą ważną, jednak nie powinna przesłaniać pamięci o żywych. Gdyby kto chciał ująć w formie książki sprawy, szczególnie z dziedziny opieki społecznej załatwiane przez Stowarzyszenie, prawdopodobnie byłby to bardzo gruby tom, może nawet kilka tomów. Drobnym pisane drukiem dzieje pełne tragedii i katastrof lecz i triumfów. Iluż nieszczęściom zdołano zapobiec! Czy to chronić sieroty i wdowy od straty majątku czy opiekując się niezdolnymi do pracy, czy roztaczając opiekę nad tymi, którzy zdołali z Polski się wyostać wraz z rodzinami. Nie ma takiej sprawy, którą by Stowarzyszenie nie mogło załatwić. Stowarzyszenie zajmuje się w razie potrzeby dosłownie wszystkim: od chrztu dziecka po wszystkie czynności zakładu pogrzebowego, gdy rodzina tym zająć się nie może. Przejmuje wszelkie formalności spadkowe, w razie potrzeby — opiekę nad nieletnimi sierotami.

Stowarzyszenie sięga i poza wytyczone przez siebie cele. Mając na oku przy-

szłość opiekuje się tymi instytucjami, które mają na celu utrzymywanie polskich tradycji, czy polskości przyszłych pokoleń. Np. opiekuje się jedną z najbardziej czynnych na tym polu szkołą sobotnią im. H. Sienkiewicza, pomaga i opiekuje się zespołem tanecznym „Tatry“. Pupilem Stowarzyszenia jest Chór Akademicki im. K. Szymanowskiego. Uznając iż polskość jest nierozłącznie związana z Kościołem, Stowarzyszenie stworzyło osobny fundusz zwany „Funduszem Powołań“, który wspomaga tych z rodzin lotniczych, którzy pragną poświęcić się stanowi kapłańskiemu.

Najtrudniejszym do zrealizowania z postawionych sobie celów było dla Stowarzyszenia Lotników zadanie kontynuowania działalności lotniczej. Te sprawy wymagają ogromnych kapitałów. Niemniej te sprawy zaczęło Stowarzyszenie realizować bardzo wcześniej, jeszcze za czasów Korpusu Przystosowania. W tym celu poświęciło część swych funduszy na zakup sprzętu szybowcowego. Pierwsze „Koło Szybowcowe“ powstaje jeszcze w Dulholme Lodge, z miejsca afiliowane do Brytyjskiego Związku Szybowcowego. Od 1952 Sekcja Szybowcowa posiada już własny szybowiec wyczynowy. Sekcja jest oczkiem w głowie Stowarzyszenia. Ma na swym koncie szereg poważnych wyczynów i jest bardzo poważanym ośrodkiem szybowcowym przez brytyjskich kolegów. Niedawno, jako gospodarz, sekcja mogła gościć młodych pilotów szybowcowych z kraju podczas zakończonych z wielkim dla Polaków triumfem zawodów o mistrzostwa świata.

Równoległe do szybowcowej rozwijała się i sekcja modelarska. W roku 1957 na dorocznej brytyjskiej wystawie modeli zdobyła wszystkie najważniejsze nagrody i co roku odnosi jakieś sukcesy. W tej chwili rozpoczęły się pertraktacje o przyjęcie wykonanych przez sekcję modeli polskich samolotów przedwojennych do Brytyjskiego Muzeum Lotniczego.

Na polu towarzyskim Klub Stowarzyszenia jest jednym z najbardziej żywotnych ośrodków nie tylko dla lotników, lecz życia towarzyskiego całej londyńskiej emigracji. To samo można rzec o domach Lotnika w Leicester, Blackpool czy Nottingham. Jest to także związane z tradycją gościnności w kasynach pułków lotniczych, owych centrów życia lotniczego, gdzie nawiązywało się przyjaźnie trwające czasem całe życie, gdzie każdy przylatujący gość witany był owacyjnie, gdzie mógł jeść, pić i spać, a gdy odlatywał znajdował swą maszynę oporzadzoną, z bakami pełnymi benzyny, by mógł lecieć dalej... do innego lotniczego domu, gdzie go czekali z otwartymi rękami.

Mieczysław Lisiewicz

Rozmowa nasza odbyła się w domu Stowarzyszenia Lotników Polskich w Londynie. Na którymś tam piętrze. Szczupła postać znanego lotnika, mjr pilota Czesława Głowczyńskiego — zaurzzonego w fotelu z jednej strony biurka, ja siedzę z drugiej strony biurka — zadają pytania i pilnie notują. Zaraz na wstępie mój rozmówca twierdzi, że takich lotników jak on było wielu i że byli też i lepsi.

Wiemy wszyscy, że co innego walczyć z wrogiem na ziemi lub nawet na wodzie, a zupełnie co innego szukać wroga w chmurach czy wysoko nad chmurami; w samolocie śmigającym z szybkością setek kilometrów na godzinę; w locie dziennym czy nocnym, w dobrej pogodzie czy też w ulewie; w pozycji poziomej czy w nurkowaniu „na łeb“ do ziemi, czy nawet do góry nogami... Może dla lotnika to rzecz zwyczajna, sprawa treningu i oblatania, ale dla nas, przyzwyczajonych chodzić wyłącznie po ziemi...

Ponieważ od ostatniej wojny minęło już tyle lat, a mjr. Głowczyński latał od pierwszego dnia wybuchu wojny, więc pytanie pierwsze musiało brzmieć:

— Oczywiście kończył pan major szkołę lotniczą jeszcze w Polsce niepodległej?

— Naturalnie w Dęblinie. Potem w stopniu podporucznika znalazłem się w 6 pułku lotniczym we Lwowie i z dywizjonem myśliwskim ruszyłem na wojnę we wrześniu 1939 r. Jak wiemy ta tragiczna wojna polsko-niemiecka nie trwała długo, a dla nas lotników jeszcze krócej, gdyż brakło sprzętu technicznego. Było nas niewiele, na przestarzałych, wolnych samolotach PZL 11, z bardzo słabym uzbrojeniem i bez zaopatrzenia w zapasowe maszyny i części. Mielśmy tylko dobre wykszolenie i dobrego ducha bojowego. Przewaga niemiecka była kolosalna — w sprzeczności i w ilości, ale nie duchem pilotów. Nasz dywizjon będąc na głównym kierunkuuderzenia niemieckiego na Polskę, na froncie Armii „Łódź“ znalazł się w niesamowitym kotle. W ciągu pierwszych kilku dni ja sam miałem 17 walk, zakończonych zestrzeleniem 3-ch i pół samolotów niemieckich.

Wiemy oczywiście, że najmocniej w pamięci utrwala się pierwsze spotkanie z nieprzyjacielem i ta pierwsza walka. Czeka się przecież na nie od dawna, od początku szkolenia. I bywa ono zwykle inne, aniżeli zakładało się na ćwiczeniach. Widzi się pierwszy raz z bliska wroga śmiertelnego i jego strzały, skierowane do siebie.

— ... więc jak to było?

— Pod wieczór 1 września leciałem sam w pobliżu Łodzi. Dowódca wzywał przez radio do lądowania. Zapadał po-



Major-pilot Czesław Głowczyński

woli zmrok. Nagle zauważyłem, że pomiędzy chmurami leci sobie jakiś samolot w moim kierunku. Nie miałem żadnej wątpliwości, że to jeden z moich kolegów w pojedynkę wraca na lotnisko. Pomyślałem, że trzeba go trochę nastraszyć, dołączyć i razem wrócimy do domu. Pilot nie mógł mnie widzieć, bo idąc na spotkanie „łeb w łeb“ ja trzymałem się trochę niżej. Tuż przy nim z fasonem wywinąłem „Immelmanna“ (figura akrobacji lotniczej) i dopiero zawieszony w górnej pozycji na plecach zobaczyłem czarne krzyże. Co więcej — sypnęła się z niego do mnie smuga ognia karabinów maszynowych strzelca pokładowego. Był to Henschel 126. W pierwszej chwili nie mogłem zrobić absolutnie nic, gdyż byłem w idiotycznej pozycji, kiedy samolot jest zupełnie bezwładny i bezbronny. To moje zbliżenie się było zaprzeczeniem wszelkich zasad taktyki lotniczej.

Niemiec grzał do mnie bez przerwy, strzelając z najbliższej odległości. Ja w swej pozycji byłem, jak tarcza na ścianie. Pociski przelatowały tak blisko, że czułem koło twarzy zapach prochu. Widzieliśmy siebie twarz w twarz. Zaskoczenie dla mnie było tak niezmiernie że byłem nim po prostu jakby sparaliżowany do tego stopnia, że kiedy nareszcie miałem Niemca tuż przed sobą, w środku mego celownika — nie byłem w stanie nacisnąć spustu moich karabinów. Wreszcie nacisnąłem. Oddałem pierwszą serię. Niemiec przestał

Nie każdy pocisk

strzelać, zwiśł, a potem upadł do kabiny. Jego sprężone karabiny zaczęły się luźno hustać w łożyskach wieżyczki strzeleckiej. Po drugiej mojej serii Niemiec zaczął dymić i poszedł w dół. Zgiął w chmurach. Po kilku minutach wyładowałem na naszym lotnisku polowym — odrętwiały i zdziwiony, że żyję, że mnie absolutnie nic nigdzie nie boli. Może tylko to piekielnie zaschnięte gardło.

Niemiec wystrzelił do mnie conajmniej kilkaset pocisków, z których zaledwie kilka przebiło mój samolot. Mnie żaden! Proszę sobie wyobrazić, panie Redaktorze, że to dodało mi już nie animuszu, ale po prostu — bezczelności w powietrzu. Przekonałem się, że potrafię strzelać i to nieźle i że niekoniernie każda kula do mnie wystrzelona musi trafić.

(Wtedy miałem 23 lata, więc nie myślałem o tym, że wprawdzie może żadna kula nie trafić, ale może też równie dobrze trafić ta pierwsza — z następnej serii, już przy jutrzejszym spotkaniu na niebie, z kim innym).

— Były chyba później i gorsze sytuacje?

— Nigdy nie wiadomo, co jest bardziej, a co mniej niebezpieczne. Lecz jeśli się ma odrobinę szczęścia... Choćby przeprawa z następnego dnia, 2-go września... Nie chcę opisywać całej długiej walki (poświęcił jej sporo uwagi Adam Kurowski w książce „Lotnictwo polskie w 1939 r.“). Nie wiem, czy nie ustanowiliśmy wtedy rekordu długo-trwałości walki myśliwskiej, no i zaciętości. Stoczyliśmy ją nad naszym własnym lotniskiem, rozbijając wyprawę idącą na bombardowanie Łodzi. Wyprawa 12 bombowców „Junkers 86“ z osłoną 12-tu pościgowych „Messerschmidów 110“ i dalsza formacja „Dornierów 17“. Aby zrównoważyć ich piekielną siłę ognia powinno było nas być kilkudziesięciu. A nas wystarczyło sześciu. Więcej maszyn na lotnisku nie było. Potem dołączyła 7-ma, uszkodzona.

Z miejsca wytworzyło się na niebie piekielne trój-wymiarowe kotłowisko. Bombowce starały się z tego wyjść dalej na Łódź, ale musiały porzucić swoje ładunki bomb w puste pola i rozlecieć się w kierunku Niemiec. Natomiast ognisty cyrk z myśliwcami trwał jeszcze pół godziny. Kilku nas lądowało po nowy zapas amunicji, którą nasi wspólni mechanicy uzupełniali piętunem. Poszliśmy w górę. Wynik: wyprawa rozbita, dwa Me-110 zestrzelone (jeden mój), z czterema lotnikami w kostnicy. Ilu z pozostałych nie dociągnęło za front — tego nie wiemy. Po naszej

zabija, jeśli szczęście dopisze

stronie: 1 maszyna spalona, por. Jan Dzwonek poparzony w szpitalu, no i masa roboty dla naszych mechaników do napraw uszkodzeń. Mechanicy — z których kilku obecnie w Londynie dobrze jeszcze pamięta te chwile — wtedy patrzyli na walkę zafascynowani, nie chowając się nawet przed siejącymi się na wszystkie strony pociskami. Po lądowaniu wyciągali nas z maszyny, bo nie mieliśmy sił wyjść sami. Bolały wszystkie mięśnie i wszystkie kości, a najbardziej głowa i szczęki.

Nie wiem, ile razy w ciągu tej walki szczęście musiało mnie ostonić. Że je miałem — oto następujący dowód: Niemiecka seria z boku podziurawiła kadłub mojej maszyny tuż za moimi plecami, jeden pocisk zadrasnął mi „kominiarkę“ na głowie, a drugi trafił w małą dźwignię tuż przy lewym kolanie, zgiął mi ją na nogę, a sam odbił się w innym kierunku. Sądząc z kierunku przestrzelin, gdyby nie ta głupia mała rączka, miałbym obie nogi przedziurawione na wylot.

— A jak było pod niebem francuskim, bo i tam pan latał?

(Zanim padła odpowiedź, mjr. Głowczyński zapalił już chyba trzeciego papierosa).

— We Francji miałem kilka walk w polskim dywizjonie, tzw. fińskim, pod dowództwem ppłk. Kępińskiego. Lataliśmy na pięknych małych, lecz tandetnych Caudronach CR 714 „Cyclone“. Raz w czerwcu nad Sekwaną pod Rouen napatoczyliśmy się na wielką wyprawę z pół setki Messerschmidtów 109, a z tyłu, jak się okazało, szły Dornieri i Heinkle bombowe. Dowódca wiedział przez radio z ziemi o bombowcach, ale moje radio nie działało, więc nie wiedziałem, co on chce robić. Nas było za mało w stosunku do myśliwców, ale mieliśmy wspaniałą pozycję spod słońca, nie widziani przez nich i z przewagą wysokości, tak że w tym momencie mieliśmy szanse ich rozbić. Moment później, gdyby nas zauważyli, my znaleźlibyśmy się w wielkich opałach. Na migi pokazałem, że idę do ataku. Poszedłem, licząc, że ktoś za mną pójdzie. Poszedł tylko mój „boczny“, ppor. Jerzy Czerniak. W pierwszym ataku zestrzeliliśmy każdy po jednym Me-109, ale po chwili byliśmy w takim ogniu, tak otoczeni przez Niemców, że tylko z największym trudem zdołaliśmy uciec z życiem. Z kopącym się samolotem i potrzaskanymi instrumentami przeciągnąłem na stronę francuską. Ale przynajmniej odciągnęliśmy czoło wyprawy niemieckiej daleko. Mój samolot miał 51 przestrzelin. To był jego ostatni lot.

Do dziś nie rozumiem, jak ja z tej opresji wyszedłem — bez żadnego zadrażnienia. Nawet szkło mnie nie skaleczyło.

— Chyba tak nie mogło być zawsze. Ostatecznie i szczęście żołnierskie może zawieść.

— I to jak jeszcze. Zawiodło mnie — ale niezupełnie — w Anglii. W sierpniu 1940 r. w poznańskim dywizjonie myśliwskim Nr. 302, doszkalaliśmy się



Przed startem z lotniska francuskiego

na nowym sprzęcie angielskim, wśród szalejącej „Bitwy o Wielką Brytanię“ w powietrzu. Na jednym patrolu, połączonym z ćwiczeniami bojowymi, lecąc między chmurami — poczułem nagle straszliwy wstrząs, jakby maszyna miała się rozlecieć. Taki wstrząs daje celna seria nieprzyjacielska, ale skąd? Straciłem z miejsca świadomość co się dzieje, bo oliwa z motoru zalała mi oczy i okulary. Po chwili już palił się mundur, buty, spadochron, na którym siedziałem. Nie było żadnych szans na wyskoczenie z takim spadochronem, a ból na twarzy, rękach i nogach — potworny. Instynkt ostrzegł mnie w porę, że zaczynam tracić przytomność. Zdałem sobie sprawę, że nawet gdybym dobrze wylądował na jakimś polu, to sam z płonącej maszyny nie wydobędę się, ani nikt mnie nie wyciągnie z niej. Pomyślałem, że jedynie maszyna sama może mnie wyrzucić, jeśli będę miał

siłę wyrzucić ją po lądowaniu hamulcami. Smażącymi się rękami otworzyłem i zabezpieczyłem kabinę przed zatrzaśnięciem, poodpinałem wszystkie pasy i kable, które mogłyby mnie wiązać z maszyną. Odrzuciłem maskę tlenową i — wbrew regulaminowi w takich wypadkach — wypuściłem podwozie. Jak twierdzili świadkowie wylądowałem na polu doskonale — choć ja już nie pamiętam nic od chwili tuż przed dotknięciem kołami ziemi. Straciłem przytomność“.

Pilot nie mógł już wyrzucić świadomie swej maszyny hamulcami, jak planował. Toczyła się po polu, jak płonąca kometa, aż wreszcie wpadła na płot i — jak się wśród lotników mówi — stanęła „na łbie“. Lotnik został wyrzucony na skrzydło, z którego ściągnął go przypadkiem przejeżdżający piekarz, z pomocą chłopców szkolnych.

— I to pan również nazywa szczęściem?

— A jak to nazwać? Jeśli nawet w czasie odciągania mnie od palącego się „Hurricane’a“ odzyskałem na chwilę przytomność i to w samą porę, aby uchronić wszystkich przed niebezpieczeństwem. Zobaczyłem, że palą się skrzydła i skrzynki amunicyjne. Na migi kazałem się wszystkim położyć. Za chwilę wybuchła benzyna, tlen i amunicja ośmiu karabinów maszynowych, skierowanych na nas. Gdy wszystko uciхло, piekarz Mac Dermott popędził swym vanem ze mną do najbliższego szpitala.

— I tak zaczęła się dla pana szpitalna dola?

— Byłem przez kilka dni nieprzytomny. Lekarze postanowili amputować lewą nogę z zakażeniem, aby ratować mi życie. Nagle tuż przed operacją zjawił się z dywizjonu kpt. Tadeusz Chłopik, który dowiedziawszy się, na co się zanoszą, zawołał, że nie zgadza się na żadną operację. Widocznie przekonał lekarzy, gdyż operację wstrzymano. Ale naczelny lekarz założył się z siostrą, że nie przeżyję nawet dwóch dni. Siostra twierdziła, że będę żył... i jak pan Redaktor widzi, wygrała zakład — mówi z uśmiechem mjr. Głowczyński.

Natomiast Tadeusz Chłopik w kilka dni później zginął w walce powietrznej.

Po rocznym pobycie w różnych szpitalach mjr. Głowczyński ochoczo wrócił do latania, ale jego zdrowie było mocno nadwyreżone i skutki zostały widoczne. Jak twierdzi obawa przed ogniem wytworzyła kompleks, który pozostał jeszcze długo.

Potem został powołany na adiutanta Naczelnego Wodza — gen. Sikorskiego. Miał lecieć z nim na tę ostatnią podróż.

która skończyła się katastrofą w Gibraltarze. W ostatniej chwili przed odlotem zastąpił go por. marynarki Ponikowski, który zginął razem z Naczelnym Wodzem.

Po następnej służbie adiutanczej przy gen. Sosnkowskim, mjr. Głowczyński został przydzielony po inwazji do Amerykanów w północnej Francji. Przechodząc staż operacyjny w sztabie 9 Armii Lotniczej USA, odbywał równocześnie praktyczne loty bojowe w 390-tej Grupie myśliwsko-bombowej. Zadania bombardowania nurkowo-szturmowego na potężnych samolotach P-47 „Thunderbolt“ dodały zupełnie nową kartę do jego przeżyć wojennych. Jego ostatni lot na bombardowanie nurkowe mostu strategicznego pod Düsseldorfem skończył się zerwaniem ściegna w kregosłupie. Wojna skończyła się niedługo potem.

Oczywiście nie zdołałem opisać nawet połowy przygód z całej kariery lotniczej mego rozmówcy. Mimo szpitali miał w sumie w kampanii polskiej i na Zachodzie osiem osobistych zestrzeleń nieprzyjaciela i dziewięć wspólnie z innym pilotem. Że ta kariera musiała być nieprzeciętna, świadczą następujące odznaczenia: Virtuti Militari, 3-krotnie Krzyż Walecznych, francuski Croix de Guerre z Palmą, 3-krotnie Medal Lotniczy, Medal Lotnictwa Amerykańskiego oraz kilka „drobniejszych“ — jak to określa mjr. Głowczyński — odznaczeń angielskich i francuskich.

— Ależ pan szczęściarz — stwierdzam na zakończenie, bo cóż więcej można powiedzieć?

* * *

To były „lata nadziei“. Górne i chmurne, z akompaniamentem strzał, ryku motoru i świstu stalowych skrzydeł.

A po wojnie — jakże inny los. Kłopoty życia cywilnego. Jakaś własna fabryczka przetworów owocowych dla chorych diabetyków, w hrabstwie Surrey. Pierwsza tego rodzaju wytwórnia w Anglii. Później kłopoty dyrektorskie w prowadzeniu firmy mechanicznej w Slough. Mieszkanie w Windsor, rodzina — i dwie piękne córeczki...

Jakże to inne „przygody“ — w porównaniu z okresem wojennym!

Oczywiście związek z dawnymi kolegami-lotnikami jest nadal najżywszy. Najlepszy dowód, że rozmawiałem tutaj nie tylko ze znanym lotnikiem z czasów wojny, ale także z wiceprezensem Stowarzyszenia Lotników Polskich. Ze znakomitym lotnikiem i z wielkim szczęściarzem, którego nawet w nieszczęściu — szczęście nie opuściło.

Rozmowę przeprowadził
Paweł Hęciak

ALEKSANDER GABSZEWICZ

ATAK NA SKŁAD BENZYNY POD PARYŻEM

Opowiadanie
lotnicze

niej wybuch i tylko mieszanina ognia, dymu i rozbitych części samolotu wiruje i powoli pozostaje w tyle za formacją.

Kątem oka widzę setki wybuchów na ziemi. Bomby doszły do celu. Ziemia się pali, a z nią składy benzyny. Od tego momentu Reichswehra zubożała o 2 miliony galonów benzyny.

Wybuchy artylerii ścigają nas. Odprowadzamy formację bombowców, która jest w szyku jak na defiladzie. Widać tylko lukę w czołowej trójce. Naraz artyleria zaprzestała strzelać. Wszyscy czujemy odprężenie i... znowu niebo jest niebieskie. Rozglądam się. Formacje dywizjonów polskich są na swoich miejscach. Przeszliśmy przez piekło bombardowania, mimo, że jesteśmy myśliwcami.

Za pięć minut ma nastąpić spotkanie z angielskim skrzydłem myśliwskim, które obejmie od nas obowiązek eskortowania bombowców do domu, a my weźmiemy kurs na Northolt. Już widać trzy zgrupowania „ciurków“ podchodzących od zachodniej strony. 303 ostrzega „samoloty godzina 9-ta“. Nic nie wiadomo — może „szkopy“. 303 wysuwa się do przodu. Za chwilę słychać głos w radio: „To nasi“.

Następuje jak gdyby zmiana warty. Oni wchodzą w nasze pozycje, a my odlatujemy na północno-wschód. Daję rozkaz przez radio: „Formacja bojowa“. Biorę kurs na północ. Już widać brzeg morski, jeszcze kanał i Anglia.

Nagle widzę od wschodniej strony czarne muszki na niebie. Mówię przez radio — „Samoloty godzina 2-ga. Nabieramy wysokości“. Cały czas patrząc na czarne punkciki, wznosimy się gwałtownie. Oceniam sytuację. To mogą być nieprzyjacielskie samoloty. Lot ich spokojny świadczy, że nas jeszcze nie widzą. My już jesteśmy na ich wysokości. Zaczynam robić łagodny skręt w ich stronę. Jeszcze minuta i powinienem być im w ogonie.

Tak, to — Foke Wulfy. Radio gwałtownie ożyło. Wszyscy chcą mówić,

PROWADZIŁEM Skrzydło Polskie złożone z trzech dywizjonów myśliwskich. Kompletna cisza radiowa — tylko trzaski atmosferyczne w słuchawkach.

Lecimy przy samej ziemi, by gwałtownie zacząć się wznosić dopiero po przekroczeniu brzegu angielskiego. To było zaskoczenie radarowe. Staraliśmy się podejść do Francji jak najniżej, by radar niemiecki nie wykrył nas i nie alarmował nieprzyjacielskie lotniska o naszym zbliżaniu się. Zadaniem naszym była eskorta bombowców w locie na składy benzyny pod Paryżem. Jest piękny poranek. Niebieskie, bezchmurne niebo. Tylko widać mgiełki nad samą ziemią. Nabieramy wysokości. Już jesteśmy na 23.000 stóp. Widzimy brzeg Francji i poruszające się samoloty na horyzoncie — to formacja bombowców! Nie upłynęło pięć minut i łączymy się z bombowcami przy przekroczeniu brzegów francuskich. Dywizjon 317, który prowadzi formację, zajmuje pozycję po prawej stronie formacji bombowców. Dywizjon 303, po lewej, a 302 lokuje się w ogonie i wyżej bombowców. Ciągła cisza radiowa. Na kursie, w dole widać większe zamglenia — to Paryż.

Powietrze przejrzyste — widać po ciągi zaznaczone białym dymem z lokomotywy. Zaczynamy rozglądać się niecierpliwie. Przecież „szkopy“ powinny już być. Cisza. Naraz, dziesiątki wybuchów tuż przed bombowcami. — To artyleria przeciwlotnicza.

Bombowce zaczynają robić skręt w prawo i kierują się na północ od Paryża, gdzie jest ich cel do bombardowania. I tu dopiero dziesiątki wybuchów zamienia się w setki, ale są raczej nisko i po lewej stronie.

Bombowce zakończyły skręt i lecą na kursie do bombardowania. Znowu fala wybuchów — za wysoko i po lewej stronie formacji bombowców, ale bardzo blisko 303 dywizjonu w osłonie. Dywizjon zmienia kurs by zmylić orientację we wstrzeliwaniu się niemieckiej artylerii przeciwlotniczej.

Nadchodzi krytyczny moment — za minutę będziemy nad celem. Niebo czarne od wybuchów. Bombowce i my lecimy w chmurze wybuchów. Widać, że coś się odrywa ze spodu bombowców — bomby zostały zrzucone.

Cała formacja gwałtownie zmienia kurs po przejściu nad celem.

Naraz jeden bombowiec z czołowej trójki złamał się. Dosłownie złamał się w połowie, a w dwie sekundy póź-

że to „szkopy“. W skrócie widzę, że polskie skrzydło jest we wspaniałej formacji do ataku. Daję prawie pełen gaz i krzyczę w radio: —

„Bij, kto w Boga wierzy“.

W tym momencie formacja około 15-tu Foke Wulfów zauważyła nas i powstał popłoch. Boczne klucze skręciły odśrodkowo w dół i zdawało się, że dwa Foke Wulfy zderzyły się, ale już nurkując. Nie było czasu ich obserwować — była inna robota przed nami.

Dziwne, że czołowy klucz niemiecki wciąż szedł w prostej linii i dopiero jak doszliśmy na odległość około 300 jardów zaczęły dawać znaki zdenerwowania.

Już było za późno — strzelaliśmy. Zapomniałem, że jestem dowódcą formacji. Tylko jeden cel mam przed sobą — zestrzelić.

Dałem lekką poprawkę po lewej stronie kadłuba F.W., bo był już w skrócie w lewo.

Obie dłonie ścisnąłem na drążku sterowym i kciukiem prawej ręki przycisnąłem guzik działek i karabinów maszynowych. Spitfire — zadrzał.

— Strzelałem. W ułamku sekundy widziałem na kadłubie i ogonie F.W. zapalające się płomyki, które momentalnie gasły. Coś się zaczęło wysypywać z kadłuba i raptownie czarny dym całkowicie zastąpił nieprzyjacielski samolot. Wyrwałem Spitfire do góry — zaczęło ciemnieć mi w oczach. Oddałem drążek sterowy i znowu mogę rozpoznać horyzont i niebieskie niebo.

Foke Wulfów już nie było — same Spitfire'y.

Zbieraliśmy się w drodze do domu i już przez radio można było ocenić, że nie ponieśliśmy strat. Lądowaliśmy w Northolcie około 9-tej rano.

Rezultat walki: trzy F.W. zestrzelone na pewno i dwa prawdopodobnie.

Tego samego dnia wieczorem odbyliśmy jeszcze jeden lot bojowy — niestety bez walki — a szkoda.

Aleksander Gabszewicz



SZYBKO I TANIO!

Biuletyny, ulotki reklamowe,
druki jedno- i wielobarwne
w y k o n u j ą

ZAKŁADY GRAFICZNE

GRYF PRINTERS (H.C.) LTD.

171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11.
Tel. BAT 0879

TEODOZYJA LISIEWICZ

Festiwal teatrów szkół sobotnich

Na emigracji więcej mamy prac dodatnich, aniżeli chybionych, lecz prac — zaznaczam — nie osiągnąć. Osiągnięciem nie może być coś, co tylko przeniosło się z własnego terenu na teren uchodźczy. Osiągnięcie zaś, to zrealizowanie planu zupełnie nowego. Dlatego najbardziej pozytywnymi osiągnięciami naszej emigracji są szkoły sobotnie i „Syrena“ — teatr dla dzieci i młodzieży

Gdyby każde dziecko polskie chodziło do szkoły sobotniej, przyszłość części naszego narodu, która osiadła za granicą, nie byłaby zagadnieniem niepokojącym, chociaż — jak się okazuje — pod tym względem sprawa przedstawia się o wiele lepiej, aniżeli się sądzi. Odsetek, który uczy się w szkołach sobotnich, nie jest stracony dla Polski. Nawet, gdyby któreś z dzieci w dorosłych latach weszło całkowicie w obce środowisko, nie zapomni tego, co mu dała polska szkoła. Bo nie tak nie utrwała się w pamięci, jak sprawy widziane w dzieciństwie i przeżyte dzieciną wrażliwością.

Szkoły sobotnie są więc osiągnięciem dodatnim, lecz przedstawienia szkolne organizowane z inicjatywy teatru „Syrena“ są osiągnięciem dodatnim ponad wszelkie oczekiwanie. Okazuje się, że teatr to najlepsza droga, ażeby wskrzęsić w dzieciach świadomość narodową i ambicję pochodzenia. Teatr, prowadzony po tej linii po jakiej prowadzą go polskie szkoły, to impreza niezmiernie ważnej. To pełna kasa walorów moralnych. Najlepszym dowodem ostatni Festiwal Teatrów Szkół Sobotnich, jaki odbył się 3 i 4 lipca w sali Rudolf Steiner Theatre.

Anglicy posiadają dar nauczania w zespole. Nauczanie polega na systemie pokazowym. Metoda prosta i skuteczna. W wojsku np., jakkolwiek uczniami nie są dzieci, szereg przepisów przekazuje się drogą pokazową, utrwalonego przy tym w pamięci dużą dozę humoru. Żadne wkuwanie paragrafów nie dadzą równie dobrego wyniku. Tę samą metodę obrały te ośrodki polskiej emigracji, które troszczą się o zachowanie dla naszego kraju młodzieży wychowującej się na obcej ziemi.

Po tegorocznym Festiwalu nie trzeba już załamywać rąk: „co nam przyjdzie z młodych, skoro nie rozumieją, że są Polakami“. Być może, że z wielu — a będzie tylko winą ich rodziców, którzy nie starają się o polskie wychowanie dzieci — nie nam nie przyjdzie, lecz młodzież, którą gromadzą polskie szkoły i która bierze udział w przedstawieniach — to Polacy.

Nie powinno też martwić, że przewaga uczniów ma już obcy akcent. Na to nie ma rady. Tu się urodzili, chodzą do szkoły angielskiej, przez pięć dni w tygodniu obracają się w angielskim świecie, więc siłą faktu w ich strunach głosowych dźwięczy już pewna inność. Mimo to uchwycili rdzeń polskiej mowy i polskiej myśli. Myśli — może raz na tydzień, lecz to wystarczy, ażeby coraz łatwiej przerzucać się w zupełnie polski klimat i utrzymywać się w nim z roku na rok coraz chętniej. Zwłaszcza, że przygotowania do każdego występu trwają długo, a każdy występ bawiąc — uczy. Trudno o lepszą metodę.

Podczas Festiwalu szczególną uwagę zwróciły dwa zespoły: szkoła z Wimbledon Park i szkoła ojczyzna SPK z Manchester. Co nie znaczy, żeby na drugim miejscu stawiać osiągnięcia tak doskonałych szkół, jak im. Żeromskiego, Chodkiewicza, Bolesława Chrobrego. Wszystkie stoją na równym poziomie, tak pod względem języka, wykonania, jak i reżyserii i kostiumów (daru rodziców), rzeczywiście budzących podziw oryginalnością, artyzmem i bogactwem. Np. kostiumów w inscenizacji wiersza Bohdanowiczowej „Wisła“, nie powstydzili by się sam Disney. Wymieniam przede wszystkim dwie tamte szkoły, ponieważ dają najlepszy przekrój zasięgu szkół sobotnich, jeżeli chodzi o wiek uczniów. Przy tym, w przedstawieniu z Wimbledon Park, p. Ewa Klecek dała się poznać szerszej publiczności jako utalentowana pisarka w tak trudnej dziedzinie scenicznej, jak twórczość dla dzieci. Jej „Zaczarowany las“, fantazja w 3 aktach, to bajka napisana bardzo zgrabnie. I tu, prócz młodzieży, wystąpiło również przedszkole. Nie można ujrzyć na scenie bardziej pociągających i urzekających wykonawców, jak takich, którzy liczą sobie dopiero cztery lata. W pokazie z Manchester brało znow udział gimnazjum, od 1-ej klasy aż po kurs licealny absolwentów i abiturientów. Ta rozpiętość wieku dowodzi, że przy staraniach starszego pokolenia, zwłaszcza nauczycieli młodym nie grozi wynarodowienie. Wysiłek zespołu kierowniczego jest ogromny. Wynika z poczucia obowiązku wobec swojego kraju, z zapału i opiera się na doskonałej współpracy z komitetami rodzicielskimi. Dobrze, że wśród emigracji jest sporo rodziców, którzy dają sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką jest wychowanie dziecka w obcym otoczeniu, kiedy trzeba mu dać podstawy do przyszłej egzystencji i równocześnie nauczyć: mieszkać tutaj i pracujesz, lecz pamiętaj, że tam należysz.

Wszyscy wykonawcy, bez względu na wiek, wczuwali się w swoje role czysto polskie. Widać było, że odtwarzane przez nich postacie, tak różne od angielskich, do których przywykli, były im bliskie i zrozumiałe. W fragmencie z „Balladyny“, wykonanym przez IV klasę gimnazjum, czuło się jak opanowali język, dość trudny dla kogoś, komu polska mowa nie jest chlebem codziennym; czy też — jak w inscenizacji mickiewiczowskiego „Gołono... Strzyżono“, uchwycili istotę humoru nawskroś polskiego. A gdyby Fredro urządził swoją „Zręczność i Przekorę“ w wykonaniu najstarszej młodzieży emigracyjnej, oklaskiwałyby ją chyba jeszcze goręcej od wszystkich.

W każdej części programu należy wyrazić podziw dla reżyserii. Oszczędność gestu, czyste wykonanie, umiar w intonacji głosów — wzorowa robota.

Szczególnie kładę nacisk na klasyczny repertuar szkoły manchesterkiej, ponieważ — według płytkiej opinii pewnych odłamów emigracji, która nie dostrzega naszych stron dodatnich — należało by sądzić, że starsza młodzież w ogóle nie mówi już po polsku. Mówi — i to jak!

Dlatego raz jeszcze powtarzam: pozytywnym osiągnięciem uchodźstwa, dzięki pomocy SPK, są szkoły sobotnie, gdy znów stworzenie „Syreny“, teatru dla dzieci i młodzieży jest osiągnięciem zasadniczym, ściśle wiążącym się ze szkołami. Tak jak szkoły sobotnie są źródłem polskiego słowa, polskiej myśli i idei niepodległości, tak teatr „Syrena“ jest ośrodkiem dla wyrazu tych trzech elementów.

Teodozja Lisiewicz

POPIERAJ POLSKIE FIRMY

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmoczoną wydajnością w pracy!

Wyciąg z życiodajnych gruczołów zwierzęcych

KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire B. KALEFLUID
FRANCJA
66, BLD. EXELMANS. PARIS 16-e.

WRĘCZENIE NAGRÓD. W dwa miesiące po ogłoszeniu tegorocznych nagród literackich nastąpiło ich wręczenie laureatom na zebraniu towarzyskim w „Ognisku Polskim“, które przybrało okazalsze rozmiary i uroczystszy charakter, niż przewidywali jego organizatorzy. Zebrało się ponad pół setki przedstawicieli polskiego życia kulturalnego wszelkiego autoramentu, i obok laureatów amb. E. Raczyńskiego, Mieczysława Lisiewicza i Edwarda Chudzyńskiego oraz mistrza ceremonii Tymona Terleckiego, jako prezesa Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, obecni byli reprezentanci fundatorów: mjr. F. Miszczyk i p. Helena Sikorska, oraz gość honorowy, Kazimierz Wierzyński z małżonką, przybyły przed kilku dniami z Rzymu na półroczny pobyt w Londynie.

Prezes Związku T. Terlecki dał plastyczne sylwetki pisarskie laureatów, podnosząc tradycje kulturalne i pisarskie rodu, z którego wywodzi się autor „Rogalina i jego mieszkańców“; wielostronność życia i pisarstwa autora „Tropu nad Jeziorem“ (opowieści naroczańskie) i jego zasługi dla teatru dla młodzieży; wreszcie twórczość związaną z podziemiem autora sztuk „Ul. Podwałe 7“ i „Wodewil Warszawski“. Wręczenie nagrody każdemu laureatowi było sposobnością do gorącej o wacji urządzonej przez obecnych.

Następnie mówca poświęcił nieco uwagi fundatorom poszczególnych nagród, zaczynając od mec. Mieczysława Chmielewskiego, który nie tylko uzupełnił od kilku lat fundację na główną nagrodę im. Herminii Naglerowej, ale zapowiedział swój zamiar dalszego ufundowania tej nagrody w roku 1966. Mówca podkreślił dotychczasowe zasługi w zakresie fundowania nagród Domu Polskiego im. gen. W. Sikorskiego w Glasgow, witając jego przedstawicielkę p. H. Sikorską i dziękując jej w imieniu zebranych za wszystko dobre co zrobiła i robi dla polskiej emigracji niepodległościowej. Jak również dziękował Kołu A.K. w Detroit na ręce prezesa F. Miszczyka za fundowaną od przeszło 10 lat nagrodę za twórczość związaną z ruchem podziemnym. Wreszcie wspominał o pracach członków jury.

P. H. Sikorska w imieniu Domu Polskiego w Glasgow mówiła o wdzięczności czytelników dla autorów za ukojenie, jakie znajdują w polskiej książce. Mjr. F. Miszczyk zaś o tym, że pisarz był zawsze żołnierzem lub z żołnierzem, i o tym jak cennym jest każde słowo na temat walki podziemnej. W ogólnej harmonii zakończone zostało to pełne treści zebranie.

BIULETYN ORGANIZACYJNY. Nie minęły dwa miesiące, a spełniony został też postulat Walnego Zebrania

ŻYCIE KULTURALNE POLSKIEGO LONDYNU

Związku Pisarzy wydawania własnego Biuletynu Organizacyjnego. Pierwszy numer lipcowy redagowany w imieniu Zarządu przez C. Dobka zawiera wiele interesujących informacji, które powinny dotrzeć nie tylko do członków, ale i do całego społeczeństwa za pośrednictwem prasy. Związek liczy 120 członków, z czego 68 przebywa w Anglii, reszta jest rozproszona po całym świecie. Obok strąt w szeregach pisarstwa polskiego: Floriana Czarnyszewicza, Józefa Relidzińskiego i Sergiusza Piaseckiego, szeregi Związku ulegają zwiększeniu przez przystąpienie doń w omawianym okresie Z. Jabłońskiego (Monachium), Z. Kotkowskiego (Londyn), M. Pankowskiego (Bruksela), E. Romiszewskiego (Monachium), J. Walewskiego (Londyn) i o. J. Warszawskiego (Rzym). Tak odmładzają się szeregi pisarzy, których trzech seniorów W. Grubiński, W. Günther i M. Kukiel, obchodzi w tym roku swe 80-lecie. (Zbiega się to z analogicznym jubileuszem dwóch uczonych; również pisarzy, choć nie zrzeszonych: prof. C. Jędrzejewiczowej rektora P.U.n.O. i prof. W. Wielhorskiego, byłego przewodniczącego wydziału humanistycznego P.T.N. na Obczyźnie).

Z biuletynu dowiadujemy się m.in. dalej, że druk II tomu „Literatury Polskiej na Obczyźnie“ jest na ukończeniu. Liczy 750 stron (tj. z pierwszym prawie 1400 stron), w czym jest ok. 90 stron skorowidza do obu tomów, zawierającego 7.000 nazwisk. Nadto pod red. W. Günthera przygotowywany jest nowy tom serii pt. „Sienkiewicz Żywy“. Znamienna jest szczególna uwaga poświęcona Polskiemu Ośrodkowi Społeczno-Kulturalnemu i współpracy z nim Związku Pisarzy.

Z dalszych imprez „Kontynentów“ zastrzeżone na wspomnienie wieczór czterech poetów: Krystyny Bednarczykowej, Andrzeja Buszy, Jana Darowskiego i Marty Reszczyńskiej-Stypińskiej. Wiadomo, iż był to szczególny sukces recytacyjny Teresy Nowakowskiej, która wygłaszała utwory K. Bednarczykowej i J. Darowskiego. Adam Czerniawski

omawiał twórczość Buszy i Darowskiego. Przewodniczył Z. Grabowski.

HISTORIA I RELIGIA. W ostatnich czasach tematyka historyczna coraz częściej łączy się z religijną. Tym mniej to dziwne, gdy prelegentami są profesorowie Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, przebywający w Londynie. Ostatnio zbiegło się kilka takich przykładów. Wizyty te zapoczątkował prof. Z. Sułowski, który miał jeden odczyt w Instytucie im. Gen. Sikorskiego na wspólnym zebraniu naukowym Polskiego Tow. Naukowego i Polskiego Tow. Historycznego, pod przewodnictwem gen. M. Kukieła na temat „Rozwój zaludnienia w Polsce nowożytnej“ a drugi staraniem S.N.P.S. i Tow. Przyjaciół KUL w siedzibie Instytutu „Retudy“, nt. „Obecne prace naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego“.

W pierwszym odczycie prelegent nie ograniczył się do wieków XVI—XVIII, ale cofnął się do prehistorii.

Stosując rozliczne metody szacunkowe wskazał, iż początkowo zaludnienie wynosiło 4 do 5 ludzi na km. kw. I potem wzrasta w różnym tempie zależnie od wydarzeń historycznych. Prelegent omówił przy tym dotychczasowe badania w tym zakresie, powołując się na różnych autorów. Szczególnym źródłem, w pewnym okresie, były daniny świętopietrza. Oprócz okresów klęsk elementarnych, jak zarazy itp. szczególnie wielkie straty poniosła ludność polska w czasie „Potopu“.

Niestety wyjazd kronikarza i brak ech w prasie codziennej nie pozwala na odtworzenie treści drugiego odczytu. To samo odnosi się do dwóch następnych odczytów, urządzonych w cyklu Spotkań Soborowych przez P.K.S.U. „Veritas“ w Instytucie im. Gen. Sikorskiego przez prof. Stefana Swieżawskiego z KUL, nt. „II Sobór Watykański i współczesna myśl filozoficzna“ i przez Tow. Przyj. KUL w „Ognisku Polskim“, nt. „Aggiornamento Papieża Jana XXIII“. Prelegent reprezentujący najsolidniejsze tradycje polskiej myśli filozoficznej, jako uczeń Twardowskiego, Ajdukiewicza i Ingardena, tomista ze szkoły Gilsona, ma nie tylko bardzo mocną pozycję naukową w Polsce, ale ponadto zaufanie Kościoła Katolickiego, dzięki czemu został mianowany jednym z nielicznych audytorów świeckich na Soborze.

Aktualnym zagadnieniem kościelnym poświęcony był odczyt red. J. Tokarskiego, pt. „Kościoł i kościoły“ urządzony także przez PKSU „Veritas“ w ramach wspomnianych Spotkań. W ramach wspólnych zebrań PTN, PTH i Tow. Przyj. KUL w Instytucie im. Gen. Sikorskiego wygłoszony został referat dr Ryszarda Bendera, również z KUL, nt. „Józefa Kalinowskiego, ojca Rafała w powstaniu styczniowym“. Prelegent

przedstawił sylwetkę b. oficera rosyjskiego, wybitnego przywódcy powstańczego, zesłańca na Syberię a potem zakonnika, w którym łączył się wielki patriotyzm polski z głęboką religijnością. Przykładność jego życia utorała mu drogę do beatyfikacji, której ostatni etap przed ogłoszeniem zakończony został w r. 1956. Był to jeszcze jeden przyczynek szczegółowo opracowany do obchodu setnej rocznicy Powstania Styczniowego. Przewodniczył prof. B. Helczyński.

O zasięgu panującej atmosfery towarzyszącej zainteresowaniom religijnym świadczą jeszcze dwa fakty z ostatnich czasów: 1) Ognisko Pedagogiczne przy Kole Londyn Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego za Granicą zorganizowało, kurs katechetyczny dla nauczycieli religii. Pierwsze dwa wykłady miał ks. prał. K. Sołowiej, potem wykładowcą był ks. Józef Cudziński, T.J., wychowanek Chyrowa. Kierowniczką Ogniska jest p. Marią Dzwachiszewicz, nauczycielka z Piotrkowa Trybunalskiego i Tomaszowa Mazowieckiego; 2) Udział polski w londyńskiej wystawie poświęconej powołaniem. Było nim stoisko o. Jana Burdyszka, O.F.M. (Con.), ucznia o. M. Kolbego, poświęcone Krucjacie Marii Niepokalanej. Krucjata ta ma już 50 tys. „Krzyżowców“ i własny drukowany dwumiesięcznik „Crusader of Mary Immaculate“ o nakładzie 27.000 egzemplarzy.

TOWARZYSTWA NAUKOWE. Dając pierwszeństwo gościom na początku wspomnieć należy o wizycie w Londynie przedstawiciela Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku płk Adama Koca, który w londyńskim bratnim Instytucie na zebraniu towarzyskim omówił dzieje i prace Instytutu nowojorskiego od jego powstania w 1943 roku. Szczególny nacisk położył na współpracę między Instytutami, do której szerokie pole otwierają bogate archiwa zebrane w Nowym Jorku.

Jednocześnie nadeszły wiadomości o pracach Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku. Ilość jego członków w ciągu ubiegłego 3-letnia wzrosła dwójnasób do liczby 282 osób. Ciekawe, iż ostatniemu zebraniu dorocznemu przewodniczyło prezydium złożone z samych członków, mających za sobą staż na katedrach uniwersytetów amerykańskich. Instytut może się poszczycić udziałem w wydawnictwach książkowych i periodycznych i posiada oddział w Kanadzie dobrze rozwijający się, który ma ogłosić wkrótce listę 213 uczonych polskiego pochodzenia pracujących w Kanadzie. Niestety ostatnio nadeszła smutna wiadomość o śmierci zasłużonego dyrektora Instytutu b. ministra pełnomocnego Jana Wszelakiego, który

przed wojną był m.in. sekretarzem ambasady w Londynie.

W ślad za już ogłoszonymi wiadomościami o ruchu naukowym w Australii zaczynają nadjeżdżać do Londynu i przybysze reprezentujący tamtejszy świat naukowy. Do nich należy dr Antoni Przybylski, astronom pracujący w obserwatorium na Mount Stromlo przy uniwersytecie w Canberra. Ukończył właśnie roczną podróż naukową, która wiodła przez Niemcy, obserwatoria w Polsce, w Anglii, po odwiedzeniu Belgii, Francji, Szwajcarii. Z Anglii udał się on do Stanów Zjednoczonych A.P. Na miejscu w Australii i Nowej Zelandii pracują nadto geolog inż. M. C. Konecki, dr S. K. Skwarko, również geolog na uniwersytecie Wellington, technolog chemiczny dr L. Hartman, inż.-arch. Z. Czech, gleboznawca dr L. Goldschlag, ornitolog dr K. Wodzicki, i znany demograf dr J. Zubrzycki, autor monografii pt. „Polish Immigrants in Britain“ (Emigranci polscy w W. Brytanii).

Na Walnym Zebraniu Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie, dokonano wyboru nowego Zarządu w następującym składzie: prezes — ponownie prof. B. Helczyński, wiceprezesi — prof. M. Kukiel i prof. J. Rostowski, sekretarz generalny — J. Bujnowski (na miejsce dr J. Kanarka), redaktor „Rocznika“ — kmdr B. Wroński, administrator wydawnictw — dr M. Danilewiczowa, członkowie Zarządu — prof. prof. J. Gawenda, A. Łaskiewicz i T. Tchórzewski, dokooptowani — prof. R. L. Wajda i dr A. Folkierski.

Przewodniczącym wydziału humanistycznego został prof. J. Gawenda (na miejsce prof. B. Helczyńskiego), sekretarzem nadal pozostał prof. W. Strzałkowski, przewodniczącym wydziału przyrodniczego — prof. J. Rzóśka, sekretarzem — dr A. Folkierski. Do Komisji Rewizyjnej weszli dr W. Stec-Roupertowa, prof. T. Sulimirski (poprzednio dr J. Rotblat) i prof. J. Żarnecki.

O ogólnej działalności Towarzystwa była mowa w związku z notatką o ostatnim tomie „Rocznika PTN“ na rok 1953/54. Od tego czasu odbył się cykl odczytów urządzony przez przewodniczącego wydziału przyrodniczego. Natomiast widoki na rychłe wydanie w druku drugiego tomu bibliografii obcojęzycznych prac polskich uczonych na emigracji podobno ostatnio rozwiały się z powodu nie otrzymania przyrzeczonej pomocy finansowej. Jednym z najczynniejszych członków Towarzystwa na terenie międzynarodowym jest prof. dr Alfred Łaskiewicz, który w maju brał udział w zjeździe niemieckich otolaryngologów w Hamburgu, na którym wygłosił referat o schorzeniach nosa

związanych z pracą zawodową. Jeden z niemiecko-języcznych miesięczników fachowych poświęcił specjalny numer uczczeniu 75-lecia urodzin prof. Laśkiewicza, zawierającym pełną bibliografię prac jubilatą, liczącą ok. 200 pozycji oraz rozprawę jego przyjaciół i kolegów po fachu.

Skoro mowa o ekspansji polskiego świata naukowego na zewnątrz polskiej społeczności warto wspomnieć i o działalności przedstawicieli techniki. Placówką angielską szczególnie obficie obstawioną przez polskich inżynierów jest Battersea College of Technology. Dziekanem wydziału inżynierii lądowej jest prof. dr Zygmunt Makowski, przewodniczącym Komitetu Naukowego (Research Committee) jest prof. inż. R. L. Wajda, a wśród dalszych wykładowców znajdują się pp. inż. J. Kołosowski i inż. J. W. Wielogórski, a wśród doktorantów pp. A. J. Chabowski i U. Kańska.

ZGONY. Odkładając omówienie ruchu teatralnego, muzycznego i plastycznego do następnej kroniki pozostaje wspomnieć o stratach, jakie poniosło polskie życie kulturalne w ostatnich miesiącach. W Londynie zmarł artysta rzeźbiarz Mieczysław Lubelski (1886—1965), od dłuższego czasu nie biorący już czynnego udziału w życiu emigracyjnym. W Swindon zmarł dr Włodzimierz Koskowski (1965) profesor i dziekan Uniwersytetu J. K. we Lwowie, w Sztokholmie inż. Kazimierz Rogowski (1899—1965), w Londynie dr Władysław Deryng (1903—1965) i płk Aleksander Idzik (1965), autor świeżo wydanej monografii „Czwarty pułk piechoty 1806—1966”.

J. Ostrowski

INSTYTUT POLSKI I MUZEUM IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO

Zgodnie z wymaganiami zatwierdzonego przez władze brytyjskie Statutu Instytutu Polskiego i Muzeum im. Generała Sikorskiego w Londynie, walne Zgromadzenie Polskiego Ośrodka Naukowego i Rada Instytutu Historycznego imienia Generała Sikorskiego, powzięły w ostatnich tygodniach odpowiednie uchwały natury organizacyjnej, niezbędne dla uruchomienia nowej instytucji. Na pierwszym posiedzeniu Rady Instytutu, która została wybrana przez jednoczące się ośrodki naukowe, organy kierownicze ukonstytuowały się w sposób następujący:

Prezisi Honorowi: p. generałowa Helena Sikorska i Lord Elgin.

Członkowie Honorowi: dr Cz. Chowaniec, biskup G. Craven, Mr. Henry Eggers, prof. S. Glaser, J. Godlewski, prof. O. Halecki, Lord Ismay, ks. prof. W. Meyszowicz, Sir Harold Mitchell, Mr. Malcolm Muggeridge, dyr. J. Nowak, Lord Perth, Sir George Randall, min. T. Romer, Sir David Ross, książe A. Sapieha, Sir George Slessor, płk. S. Szurlej, Lord Thurso, prof. W. Wielhorski, prof. Z. Zaleski.

Rada Instytutu — Prezydium: Lord Barnby — przewodniczący, amb. E. Raczynski, gen. dr M. Kukiel i Lord St. Oswald — wiceprzewodniczący, płk. dr S. Zamoyski — skarbnik, inż. S. Leśniowski — hon. sekretarz.

Członkowie: gen. W. Anders, Lord Astor, dr W. Czerwiński, W. Domaniewski, Z. Gołębiowski, Mr. R. H. Hill, Z. Janik, gen. T. Bór-Komorowski, gen. S. Kopański, Sir Ivison Macadam, Sir Clifford Norton, gen. H. Piątkowski, dr K. Poznański, książe S. Radziwiłł, prof. T. Sulimirski, S. Szydłowski, dyr. T. Tobolski, kmdr. B. Wroński.

Zarząd Instytutu Prezydium: gen. dr M. Kukiel — prezes, amb. E. Raczynski

— wiceprezes, płk. dr S. Zamoyski — hon. skarbnik, inż. S. Leśniowski — hon. sekretarz.

Członkowie: gen. T. Bór-Komorowski, dr K. Poznański, książe S. Radziwiłł, dyr. T. Tobolski, kmdr. B. Wroński.

Nowa nazwa obowiązuje od 3 czerwca 1965 roku. Zarząd Instytutu przystąpił natychmiast po załatwieniu tych formalności do opracowania wspólnego budżetu i rachunkowości, jak również do ujednoczenia administracji, jako pierwszych niezbędnych kroków do całkowitego, organicznego zespolenia obu połączonych instytucji. Kierownictwo nad wydawnictwami Instytutu objęła Komisja Wydawnicza Zarządu w składzie: prof. dr T. Komarnicki, gen. dr M. Kukiel, kmdr. B. Wroński i kierownik Archiwum.

Będące na ukończeniu: tom II Diariusza Szembeka (Polski Ośrodek Naukowy), „Documents on Polish-Soviet Relations“ tom II (Instytut Historyczny imienia Generała Sikorskiego), „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej“ (j.w.) oraz bieżący rocznik „Bellony“ (j.w.) będą ostatnimi wydawnictwami, które wyjdą jeszcze pod firmą tych instytucji, które podjęły nad nimi prace, po czym wszelkie publikacje wychodzić będą pod firmą nowego Instytutu.

Stosownie do Statutu ilość czynnych członków Instytutu wynosi 80, co pozwoliło na rozszerzenie kręgu tych, którzy będą współodpowiedzialni za rozwój tego, obok Biblioteki w Paryżu, najpoważniejszego ośrodka wolnej kultury polskiej na Zachodzie, skupiającego bogate archiwa polityczne z okresu wojennego i przedwojennego, dwie biblioteki i muzeum tak drogich Polakom pamiątek narodowych, a zwłaszcza czynu zbrojnego w okresie drugiej wojny światowej. Setki członków-przyjaciół i organizacji stowarzyszonych zapewniają mu stałe oparcie w patriotycznej emigracji polskiej.

WYSTAWA OBRAZÓW ALINY ROCHOWICZ

W rozgardiaszu licytacji talentów i miernot paryskiego świata artystycznego — wystawa obrazów Aliny Rochowicz w salonach Domu Kombatantów w Paryżu przy ulicy 20, rue Legendre jest zjawiskiem kameralnym zakwitającego talentu.

Użyłem terminu muzycznego „kameralny“ dlatego, że malarstwo ma więcej styczności z muzyką, aniżeli niejednemu widzowi mogło by się zdawać.

Alina Rochowicz dochodzi do malarstwa przez pejzaż, kwiaty, studia aktów i postaci ludzkiej. Nierówność traktowanego tematu świadczy o nie-

pokoju poszukiwań własnej wizji malarzkiej.

Mały pejzaż namalowany w Polsce jest niewątpliwym dowodem muzykalności malarzki. Nieba pejzażów są symptomatycznie zagraniami. Kwiaty „odkwiecone“ są dojrzewającymi próbami trudnego malarstwa olejnego. Farba staje się materia, kwiaty są punktem wyjścia do namalowania obrazu.

Droga po której idzie Alina Rochowicz jest niezależna, a spontaniczność jej malarstwa na tle obłądnych „izmów“ wymagających osobnej literatury, stawia nas w obliczu dobrego malarza.

Jan Watra

NOWE WYDANIE

głośniejszą książkę

STEFANA KORBOŃSKIEGO

„W IMIENIU
RZECZYPOSPOLITEJ“

w oprawie płóciennej

Cena: £3.3.0, \$9.00, 40.00 F.

„GRYF“ — 171, Battersea Church Road,
London, S.W. 11.

SZWAJCARIA święci w tym roku tzw. stulecie Alp. Datę tę wybrano dlatego, że właśnie w roku 1865, dnia 13 lipca wyruszył angielski turysta Edward Whymper na zdobycie Matterhornu, dumnej góry wystrzelającej ponad miejscowością Zermatt w kantonie Wallis czy Valais. Ten rok uznano za przełomowy dla alpinistyki: otwiera on „złotą erę“ alpinizmu, okres zdobywania wielkich szczytów Szwajcarii. Coraz to ambitniejsze wyprawy wyruszają w Alpy szwajcarskie, coraz to trudniejsze ściany zdobywane są w lecie a potem w zimie przez alpinistów z licznych krajów Europy. Na czele tych zdobywców kroczą niewątpliwie Anglicy, którzy tak bardzo wzbogacili galerię ludzi wielkiej przygody. Potem Anglia poprowadzi inny wyciąg wielkiej przygody — mianowicie zdobywanie szczytów himalajskich.

**SZWAJCARSKI PRZEMYSŁ
GOŚCINNOŚCI**

Szwajcaria stała się jeszcze przed szturmem Whympera na Matterhorn znanym europejskim ośrodkiem turystycznym. Turystyka międzynarodowa w Szwajcarii korzystała już od końca 18-go wieku z coraz to lepiej i bujniej rozwijającego się hotelarstwa, z coraz lepiej urządzonych gospód, coraz większej dbałości o losy podróznego czy wędrowcy. Dzisiaj hotelarstwo szwajcarskie nie ma sobie równego w świecie — szwajcarskie szkoły hotelarskie mają ustaloną renomę, praktyka w hotelu szwajcarskim ceniona jest wszędzie. Pracownicy szwajcarskich hoteli, restauracji, cukierń itd. wyjeżdżają zagranicę — głównie do Anglii i USA — ażeby zdobyć znajomość języków obcych, co się im potem przydaje wielce w ich własnej ojczyźnie. Nie ma dzisiaj lepiej wyszkolonej służby jak szwajcarska i lepiej prowadzonych hoteli. I to nie tylko w extra — klasie międzynarodowej, w rozmaitych Palace Hotelach — z których Palace Hotel w St. Moritz uważany jest za najlepszy hotel świata, jeżeli chodzi właśnie o tzw. service — Kulmach, Suvretta House i tych wszystkich hoteli mających cztery czy trzy gwiazdki. Chodzi o to, że wszystkie szwajcarskie hotele i pensjonaty, wszystkie zajazdy i gospody są postawione na doskonałej stopie, że można się wszędzie w Szwajcarii zatrzymać, że wszędzie — i o każdej porze dnia i nocy — można zjeść, można dostać czysty pokój i łóżko.

Mógłbym cytować tutaj dziesiątkami przykładów tej doskonale pomyślanej gościnności szwajcarskiej, która polega na tym, że klient i gość ma zawsze rację i że zawsze zasługuje na dobre obsłużenie. A więc nie tylko w księgarni czy papeterii odprowadzają

ZBIGNIEW GRABOWSKI

**TURYSTYKA IDEALNA I
TURYSTYKA FATALNA**

ciebie do drzwi jeżeli kupisz kartkę za 10 czy 20 centimów, ale dadzą ci jeść jeżeli się zjawisz w głuchoj nocy w hotelu, który może być już tak dobrze jak zamknięty. Pamiętam, jak przyjechaliśmy w r. 1948 do Pontresiny mocno spóźnieni, albowiem zasypane śnieżne na linii sprawiły, że pociąg miał coś 2 lub 3 godziny spóźnienia. Zapytaliśmy się w gospodzie koło dworca czy jest jakiś otwarty hotel, gdzieby można spędzić noc przed wyszukaniem sobie rano pensjonatu? Wskazano nam hotel, który był już zamknięty albowiem było już po sezonie. Kiedy jednak zobaczono trójkę gości powiedziano, że owszem, znajdują się pokoje, poczem o północy dano nam wspaniałą kolację złożoną z wędliny i owoców — chociaż wyprowadziliśmy się zaraz jutro rano z gościnnego hotelu. Podobnie w Klosters Dorf, gdzie polecono mnie do sporego hotelu, a gdzie nie było miejsca, wynaleziono mi zaraz pokój w domu chłopca obok i zaproszono do hotelu na posiłki. Mieszkałem w Szwajcarii w hotelach wszelkiej kategorii i wszędzie — podobnie jak w pensjonatach skromnych i wytwornych — spotkałem ten sam poziom doskonałej obsługi, dbałości o gości, zrozumienia własnego interesu. Przed wojną zjechałem do Mürren na zawody narciarskie zwane Kandaharem (odbywają się one raz w Mürren raz w St. Anton w Austrii): wioska była przepelniona, zjawiliśmy się we dwójkę bez zapowiedzenia, była już czarna noc lutowa. Zdającą z plecakiem i nartami na ramieniu stanęliśmy przed cukierenką: jakaś miła Konditorei świeciła się jeszcze. Weszliśmy tam aby coś zjeść: gospodyni ofiarowała nam zaraz smaczkowity omlet z konfiturami i powiedziała, że owszem, da nam i pokój, który okazał się czysty, ciepły i wygodny. Całość kosztowała grosze a dodajmy od razu, że dzisiaj — dzięki temu, że w Szwajcarii można mieszkać w każdym pensjonacie, w każdej chałupie chłopskiej — jest to kraj o wiele tańszy aniżeli się to mówi. Szwajcaria była droga przed wojną: dzisiaj na tle dużej zwyżki cen w innych krajach, drożyzny we Francji, stale rosnących cen w Anglii, Szwajcaria stała się krajem raczej niedrogim a fakt, że ceny wzrastają tam — podobnie jak w NRF — o 1 czy 2 procent rocznie, sprawia, że Szwajcaria jest dzisiaj niemal na poziomie Austrii a na pewno jest tańsza aniżeli Włochy.

Zapytajmy się jak to się stało, że ten ubogi kraj, kraj chłopski stworzył tego rodzaju turystykę, która przynosi na pewno duże dochody krajowi — chociaż błędne jest mniemanie cudzoziemców, że Szwajcaria żyje z turystyki? żyje z przemysłu i to nie tylko z zegarków). Turystyka szwajcarska przynosi na pewno sporo, ale nie tyle co Włochom, gdzie co roku ponad 20 milionów cudzoziemców odwiedza kraj, ani Hiszpanii, gdzie ok. 15 milionów obcych zjawia się dzisiaj rok w rok.

Przede wszystkim — brak wiz, jeżeli chodzi o wolne kraje, brak trudności, jeżeli chodzi o wjazd. Dalej doskonała komunikacja drogowa, świetne szosy, chociaż Szwajcaria ma niewiele autostrad w stylu NRF czy Włoch — ale jest też za małym na to krajem. Za to poziom całej sieci drogowej jest wysoki. Koleje szwajcarskie są czyste, szybkie, częste — wszędzie można się dostać koleją, połączenia są mądrze planowane. To samo odnosi się do ruchu żeglugał po jeziorach. Statki są czyste, je się na nich doskonale; podobnie, jeżeli chodzi o autobusy, szczególnie autobusy pocztowe (Postkraftwagen), zajeżdżają one wszędzie, do najwyżej położonych wioszek, jak St. Luc w Valais czy inne wioski górskie. Dworce kolejowe są wzorowe: poczynając od poczekalni a skończywszy na restauracjach dworcowych. Szwajcaria jest zatem idealnie łatwym do orientacji krajem. Obcy nie zgubi się tam nigdy. Ułatwienia na wszystkie strony: walutę zmieniać można na dworcach, w kasach kolejowych czy w hotelach — bez straty na kursie.

**„MITY“ TURYSTYKI
POLSKIEJ**

Gdy się mówi i pisze o tej turystyce idealnej przychodzi nam na myśl turystyka bliższa naszemu sercu i — interesowi, a zatem polska, która dalej jeszcze jest turystyką fatalną. Jest ona dzisiaj o wiele gorsza aniżeli turystyka doby przedwojennej, kiedy było mniej komeraży, jeżeli chodzi o wizy dla obcych, jeżeli chodzi o kurs waluty, nawet jeżeli chodzi o poziom hoteli w wielkich miastach.

Niedawno na łamach warszawskiej „Kultury“ czytałem dyskusję o polskiej turystyce, z której dyskutanci chcieli zerwać zasłony „mitów“ i zakłamania. Niestety, dyskusja ta unikała szczyrych wypowiedzi. Gdyby bo-

wiem chciano naprawę poprawy turystycznej, gdyby naprawdę chciano ulepszyć skandaliczną sytuację obecną, to trzeba by do wszystko postawić inaczej.

Trzebaby bowiem przypomnieć, że po wojnie Hiszpania miała obostrzenia podobne do tych, które istnieją w Polsce. Jeszcze w r. 1948 i później w Hiszpanii trzeba było meldować się na milicji (I) trzeba było oddawać zaraz przy przyjeździe do hotelu swój paszport oraz tzw. triptico, gdzie notowano meldunki. W pociągach przesuwali się raz po raz ludzie z Seguridad; waluta miała kilka kursów. I oto od wielu już lat Hiszpania zniosła to wszystko: wiz już nie trzeba, jeżeli chodzi o cały Zachód, waluta została ustabilizowana i nie ma żadnych różnic między kursem oficjalnym a czarnym czyli estrapelo, — czyli że zniknął czarny rynek walutowy — hotele są coraz lepsze, drogi się poprawiają, koleje stale ulepszają. Hiszpania jest krajem, który ściąga coraz więcej turystów, a korzyści jakie kraj odnosi są olbrzymie.

EPOKOWE ODKRYCIE WARSZAWSKIEJ „KULTURY“

„Kultura“ warszawska czyni epokowe odkrycia, że turystyka międzynarodowa staje się źródłem dochodu, że obok turystyki wewnętrznej, która jest deficytowa (bo trzeba wczasy finansować) jest także turystyka „odpłatna“ — cóż za straszne słowo — a zatem taka, która przynosi jeszcze waluty, dochody: (Czy nie lepiej powiedzieć: opłacalna?) Ale to wszystko co tygodnik stołeczny na ten temat mówi jest albo mętne albo nie sięga do sedna rzeczy. Zapytajmy się siebie przede wszystkim, czy Polska obecna ma warunki na stanie się krajem turystyki obcej, a nie tylko wyjazdów Polaków z Anglii czy Francji czy innych krajów w Europie i poza Europą? Odpowiedź brzmi: tak — ale trzeba te tereny odpowiednio uprzystępnąć, przybliżyć, uczynić atrakcyjnymi.

Polska dzisiejsza ma do pokazania, jeżeli chodzi o rzeczy zabytkowe, nie tylko Kraków i Toruń ale także Gdańsk — który został odnowiony w sposób nieco sztuczny i teatralny, ale może z czasem pokryje się patyną — ma do pokazania atrakcję główną może, a zatem dawne Prusy Wschodnie, gdzie są zarówno historyczne grody jak i lasy i jeziora, dokąd zjeżdżaliby myśliwi, kajakarze, wioślarze i żeglarze z całej

(I) Jak słysząc władze zniosły obecnie przymus meldowania się natychmiast na milicji. Obowiązek meldowania stosuje się tylko do tych turystów, którzy mają zamiar pozostać w Polsce dłużej niż miesiąc.

Europy, gdyby te rzeczy były odpowiednio podane. Ma Tatry, które stanowią większą atrakcję w lecie może, niż w zimie — z uwagi na to, że zima jest kapryśna, pokład śniegu nie zawsze pewny, kolejka linowa właściwie jedna — na Kasprowy. Ma wreszcie miasta i kąpieliska dawnego Śląska niemieckiego, rozmaite Duszniki, znane jeszcze w epoce Chopina i Kudowę Zdrój, doskonale „bady“, które były dawniej atrakcją i Niemiec i całej Europy środkowej. Są miasta historyczne, zabytki — tylko trzebaby je podać. Jest wreszcie Puszcza Białowieńska.

NIEODZOWNE WARUNKI

Możnaby zatem w Polsce wytyczyć szlak turystyczny typu zabytkowego, któryby zabierał obcych autobusami czy kolejami — jak i szlak czysto rozrywkowy: czy dla narciarzy czy dla alpinistów, czy dla ludzi pragnących wypoczynku nad morzem (sporo cudzoziemców jeździ na plaże Danii, które nie są lepsze od plaż naszego Bałtyku). Możliwość wskrzesić przedwojenną inicjatywę „nart-bridża“ i podobnych pociągów „rozrywkowych“, któreby zabierały cudzoziemców z wielkich miast, jak Warszawa czy Wrocław do miejscowości w Karkonoszach czy w Tatrach i Karpatach. Ale aby to stać się mogło trzeba dokonać takich oto zabiegów:

1) Trudności wizowe, wszelkie zabiegi wokół tych wiz, czekania na wize, sznykany wizowe muszą być zniesione. Polska powinna dążyć do zniesienia wiz, albo też wydawać je szybko, sprawnie, od ręki. Jeżeli zrobiła to Hiszpania, którą oskarża się ciągle o rządy dyktatorskie, to może to zrobić chyba „demokratyczna“ Polska.

2) Powinno się ustalić relację złotego, która byłaby sprawiedliwa — złotego turystycznego, któryby stał gdzieś pomiędzy kursem oficjalnym (ok. 60 zł. za £) a kursem PKO (a zatem ok. 200 zł. za £). Czy byłaby to relacja 120 do £ czy 150, czy nawet 200, nie potrafimy rozsądzić. Powszechnie uważa się, że kurs urzędowy jest śmiesznie wysoki, a natomiast kurs PKO wygórowany, jeżeli chodzi o siłę kupna złotego. Ponieważ nie zanoszą się na to, ażeby Polska — podobnie jak inne kraje bloku sowieckiego — mogła sobie pozwolić na jeden kurs, jak to się stało z pesetą w Hiszpanii, to trzeba przynajmniej:

a) stworzyć złotego turystycznego,
b) usunąć wszelkie przymusy kupowania bonów turystycznych po wyznaczonym kursie, co sprawia, że wyjazd do Polski staje się kosztowny, że ceny hoteli urastają do najwyższych w Europie. Tego rodzaju sztuczki z wymuszaniem walut obcych powinny być

zarzucone, jako fatalne dla turystyki. Nikt nie ma ochoty płacić za hotel w Polsce więcej niż za hotel w Szwajcarii.

3) Położyć akcent na budowę dróg na wielkich szlakach turystycznych. Obsługa samochodowa, a zatem garaże, stacje benzynowe, etc. muszą być czynne: musi też powstać atmosfera, w których samochód z zagranicy nie staje się przedmiotem nadmiernej ciekawości gapiów i szybkich akcji nieznanymi sprawców, którzy zabierają i kradną co się da z obcego wozu,

4) Podjąć budowę hoteli i pensjonatów, zajazdów i moteli, nie klasy luksusowej, — jak w Poznaniu hotel Merkury — ale średniej, dobrej klasy. To jest dzisiaj ostoją turystyki. Szwajcaria, która ma dosyć luksusowych hoteli w Genewie, w Montreux czy innych miejscowościach nie buduje już żadnych wielkich hoteli-luksusów, ale koncentruje się dzisiaj na hotelach i zakładach średnich. Podobnie i Włochy. Dzisiejszy turysta, to turysta masowy, który nie wydaje pieniędzy łatwo. Taki turysta liczy się z groszem, ma swój budżet i nie da się nabierać. Era bogatego turysty angielskiego sprzed wojny, który płacił milcząc i nie robił nigdy scen, jak i era bogatego turysty amerykańskiego, który dał się obłuskiwać jak się dało i chciało, — już minęła. I ten turysta z USA zmądrzał i nie widzi powodu dlaczego ma przepłacać i być naciągany.

CHODZI O MINIMUM SPRAWNOŚCI

Polska powinna zatem skupić się na budowie średnich, a solidnych hoteli i pensjonatów oraz moteli, któreby odpowiadały potrzebom przeciętnego turysty, nie mogącego pozwolić sobie na luksusy. Turysta zmotoryzowany nie będzie wyprawiał się do Polski dopóki nie będzie wiadomo, że drogi w tym kraju są uczciwe, że stacje obsługi są na poziomie i że samochody nie są narażone na okradanie i obłupienie. Ale koleje polskie są dobre — to, czego im potrzeba, to może lepszych wagonów restauracyjnych: na pewno trzeba im lepszych i lepiej zagospodarowanych dworców, zwłaszcza w Warszawie i Krakowie. Autobusy są o wiele lepsze, aniżeli przed wojną, jeżeli chodzi o bogactwo sieci, niekiedy typy maszyn są już przestarzałe, wygoda wątpliwa. Ale w tych dwóch punktach — koleje i autobusy turystyczne — Polska stoi na dobrym poziomie.

Restauracje natomiast są dzisiaj na gorszym poziomie aniżeli przed wojną, system układania menu z podawaniem węg i niemal kaloryj jest absurdem, obsługa w restauracjach jest grubo gorsza aniżeli przed wojną. Nawet te zachwalane restauracje Warszawy i

Krakowa wydają się niekiedy bardzo prowincjonalne i zalatują garkuchnią (2). Najbardziej jednak pilną potrzebą jest usprawnienie służby i obsługi. Odnosi się to także do obsługi pokojów hotelowych, stanu dzwonek, stanu wind, etc. Całe „oporzędzenie“ hoteli jest nieraz albo złe, albo wręcz katastrofalne.

Wielkie stacje turystyki wewnętrznej jak Zakopane są zaniedbane: trzeba by poczynić liczne wkłady, ażeby te stacje turystyki mogły się zrównać ze stacjami Austrii. Polscy eksperci od turystyki powinni pojechać sobie do zimowisk i letnisk austriackich, włoskich i szwajcarskich i podumać co można by zrobić na własnym terenie. Powinno się także powysyłać szefów hoteli i innych kierowników na kursy zagraniczne, głównie do Szwajcarii. Wtedy może przekonali by się oni, co można zrobić z warsztatu nawet średniej kategorii.

CO SIĘ LICZY NA MIĘDZYNARODOWYM RYNKU TURYSTYCZNYM?

Przemówić do takich klientów, jak myśliwi — którzy jadą do Szkocji, Norwegii, Finlandii — czy do wędkarzy i rybołówców, którzy jadą do Irlandii czy Szkocji — czy do kajakarzy i żeglarzy, nie było by tak trudno, gdyby się im przedstawiło uczciwe warunki i konkurencyjne ceny. Ziemię Warmii i Mazur musiały by zostać odpowiednio zagospodarowane w motele, gospody, hotele: a wtedy na pewno ilość turystów obcych szybko by wzrosła. Ale ceny muszą być odpowiednio kalkulowane. Dzisiaj na rynku turystyki międzynarodowego liczy się wszystko i to bardzo skrupulatnie. Włosi stracili w ostatnich latach dlatego, że ich ceny były nadmiernie wygórowane. Turyści ruszyli zatem ławą do Hiszpanii, do Jugosławii, do Grecji. Hiszpania i Grecja wygrywają taniocią. Austria straciła ostatnio także wiele dlatego, że turyści obcy doszli do wniosku, że kraj ten nadmiernie „ceni“ i że wydaje mu się, że jest już Szwajcarią. Ale Austria nie doszła jeszcze do poziomu wygody, czystości i znakomitości hotelarstwa szwajcarskiego. Turyści zagraniczni w lot się w tym zorientowali i odpływ jakiego doznała Austria na pewno dał jej sporo do myślenia. Podobnie jak Włochom, którzy w ostatnich dwóch sezonach już zatrzymali pochód cen i nakazali ich stabilizację. Wiedzieli bowiem, że inaczej stracą nowe miliony turystów na rzecz tańszej Hiszpanii.

Polska może stać się krajem tury-

styki międzynarodowej, chociaż nie będzie nigdy krajem turystyki obcej, jak Włochy, Francja, Hiszpania czy Szwajcaria. Mogłaby jednak podbudować swoje szanse przez cykl festiwali teatru i muzyki w Warszawie czy Krakowie czy na Ziemiach Odzyskanych. Byłyby tam na pewno dobre potemu warunki, a teatr polski nigdy nie cieszył się w świecie lepszą opinią, niż dzisiaj. Podwórzec wawelski czy podwórzec zamków krzyżackich w dawnych Prusach Wschodnich stanowiły by mogły doskonałe tło do takich festiwali teatralnych, Ale to są rzeczy dalsze — przede wszystkim: trzeba zaś ustalić złofero turystycznego i zadbać o odpowiednią ilość rzetelnych hoteli, pensjonatów i gospód.

Zbigniew Grabowski

WSPOMNIENIE O WIESŁAWIE DĄBROWSKIM

2 maja 1965 zmarł w Paryżu po długiej i ciężkiej chorobie dawny radca Ambasady R. P. w stolicy Francji ś. p. Wiesław Dąbrowski.

Urodzony w roku 1894 w Warszawie, wychowany w rodzinie o wysokim poziomie kulturalnym, tak często spotykanym wśród polskich rodzin ziemiańskich przez los do miast skierowanych, ukończył gimnazjum w Warszawie i tamże rozpoczął studia na wydziale prawa. Wojna polsko-bolszewicka przerwała nauki, wziął w niej dzielnie udział. Po skończeniu wojny kończy studia w Warszawie i w Paryżu w roku 1926 Ecole des Sciences Politiques. Uczelnia ta przysporzyła szczególnie wielu wybitnych pracowników polskiemu Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Do tego Ministerstwa zgłosił się i ś. p. Wiesław Dąbrowski i pracował w jego składzie aż do końca istnienia w Paryżu Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej, posuwając się w stopniach służbowych, pracując oficjalnie, a podczas okupacji Francji nieoficjalnie, ukrywając się wówczas i wciąż zmieniając miejsce pobytu. Przypuszczam, że ci, którzy ten okres życia jego dokładnie znają, zechcą o nim napisać. Wiesław Dąbrowski przywiązał się do Francji tak szczerze, iż wołał kiedyś zrezygnować z awansu, byle Francji nie opuścić. Poznał kraj i ludzi, stworzył sobie przyjaciół, którzy w chwilach ciężkich ułatwiali mu spełnienie jego trudnych i niebezpiecznych funkcji. Narażał się wówczas tak, jak na wojnie. Ten zdawałoby się delikatny i nerwowy człowiek potrafił z największym spokojem działać gdy było najtrudniej.

Krzyż komandorski Polonia Restituta i krzyż Virtuti Militari dowiodły

śluszej oceny i uznania na jakie zasłużył i w służbie cywilnej i w Ruchu Oporu.

Ostatnie lata życia zbliżyły bardzo ś. p. Wiesława Dąbrowskiego do Tow. Historyczno—Literackiego i Biblioteki Polskiej przy 6 Quai d'Orleans w Paryżu, których stał się najczynniejszym członkiem, obrońcą umiejętnym i wytrwałym.

Z natury subtelny i delikatny, esteta, łączył świetną orientację w dziedzinie polskich zabytków, ze szczególnym uwzględnieniem drukarstwa i grafiki, z prawdziwie rzadką znajomością sztuki Dalekiego Wschodu. Porcelana chińska i brzozy tybetańskie były nie tylko jego „hobby“ ale i terenem wybitnego znanstwa. Oglądanie zabytków i ich podziwianie przynosiły Wiesławowi Dąbrowskiemu tak jak każdemu zbieraczowi-znawcy wypoczynek i rozrywkę. Z rad jego i szczodrobliwości korzystały i zbiory Tow. Historyczno-Literackiego w Paryżu i jego przyjaciele i zbieracze, do których i ja się zaliczałem.

Przywiązanie do piękna, doskonała pamięć, znajomość języka francuskiego na równi z polskim, szybkie nauczenie się języka włoskiego w ostatnich latach życia rozszerzały znajomość terenów i zasięg zainteresowań na Włochy. W tym wspomniałym kraju starał się Wiesław Dąbrowski spędzać swe wakacje, tu wracał na stare dobrze już znane miejsca, by wciąż odnajdywać coś pięknego, nowego, jeszcze Mu nieznanego. Widywaliśmy Go więc w ostatnich latach, co roku we Włoszech, dzieliliśmy nieraz wycieczki krajoznawcze. Ale mimo tysięcy kilometrów dzielących nas od Kraju rodzinnego mówiliśmy tu we Włoszech i o stolicy naszej, Wiesławowi Dąbrowskiemu szczególnie drogiej wobec wspomnień dzieciństwa i młodości tam spędzonej, i o Wołyniu i Podolu znanym Mu z kampanii wojennej, i o bliskim mnie województwie nowogródzkim, znanym gościowi z Paryża, jednym słowem o Rzeczypospolitej, jej przeszłości i przyszłości.

Nieoczekiwanie zbliżyła się choroba. Mimo najtroskliwszej opieki brata i siostr, mimo starań szeregu lekarzy, odszedł od nas ten gorący patriota, ten zasłużony dyplomata, ten dzielny obrońca rodaków i Sprawy, ten nasz przyjaciel.

Spoczął na cmentarzu w Montmorency, w ziemi francuskiej, do której się przywiązał, na której spędził tak wielką część swego życia. Zasłużony członek tej nowej, chyba największej emigracji, o którym pamiętać będą wszyscy ci, którzy Go znali i których los sprawy polskiej we Francji interesuje i interesować będzie.

Emeryk Czapski

„Sam fakt istnienia jest prawdziwym szczęściem“

Blaise Cendrars

JEST gdzieś w nas, czy może poza nami pojęcie, przeczcucie szczęścia, jego świadomość — towarzyszy nam przez całe życie. Myślę, że stanowi ós i sens całej naszej egzystencji.

Nie wierzę w pesymizm, nawet najbardziej filozoficzny i chrześcijański, nie wierzę, że życie jest tylko smutną sumą rozczarowań, trudów i przykrości. Razem z nieszczęściami, z plagami które nas chłoszczą, z wielkimi wzlotami i wielkimi upadkami, życie jest dość bogate, aby nas szczęścia nauczyć. Bo czy ktokolwiek mógłby sobie wyobrazić czyjąś całą, długą egzystencję złożoną z samych szczęśliwych przeżyć? „Dusza nuży się wszystkim co jednostajne, nawet doskonałym szczęściem“ — mówi Stendhal.

Czy rzeczywiście zresztą tak mało jest szczęścia na ziemi? Czy nie przeceniamy ogromnych upojeń, nie zważając zwykłej, małej — po prostu ludzkiej szczęśliwości? Czy nie zwodzi nas w tym literatura, poezja, czy wreszcie nasze własne ambicje wielkich przeżyć? Bo jak twierdzi Huxley: „...szczęśliwi nie mają literatury... poezja żywi się nieszczęściem i znika kiedy ludzkość stanie się szczęśliwa“. A poza tym czy nie zwodzimy się sami? Kto spytany wprost, czy jest szczęśliwy, odpowie: „Tak!“ ...Każdy boi się wtedy wyglądać na „pauvre innocent“, któremu nie wiele do szczęścia potrzeba.

„Nie ma szczęścia... Szczęście nie istnieje... Istnieją tylko momenty szczęścia“... — powiedział kiedyś Lew Tołstoj do młodego Iwana Bunina, kiedy ten przyjechał go odwiedzić w Jasnej Polanie.

„Zaszczyty, bogactwa, największa władza ...użyłem tego wszystkiego — pisał kalif Abdurrahman. — Szanując mnie i lekając się, współcześni mi księżęta zazdrościli mi szczęścia i sławy... W ciągu życia mego dokładnie liczyłem dni, w których doznałem szczęścia czystego i nieskażonego — przez dziesięć lat panowania doliczyłem się ich zaledwie czterem“.

Nie wiem czy kalif uważał swoje życie za szczęśliwe. Wiemy, że graf Tołstoj szarpał się ze swoim, ale myślę że dla momentów, dla kilkunastu dni całkowitego szczęścia warto całe życie przeżyć. Myślę, że te momenty pozostawiają na naszym istnieniu trwałe ślady. Czy tylko na naszym zresztą? Robert Louis Stevenson pisze gdzieś, że „człowiek szczęśliwy, mężczyzna czy kobieta jest promieniującym ogniskiem blasku... kiedy wchodzi do pokoju... jest jakby zapalone nowe światło“...



S P O K Ó J ?

Nie wierzę w pesymizm. Nie chcę tu dyskutować czy mówimy o szczęściu na ziemi czy poza ziemią, nie zmienia to dla mnie faktu, że człowiek jest do szczęścia stworzony, do szczęścia zmierz i dla szczęścia żyje. Gdzie, jak i w czym go szuka — to już jego własna rzecz i jego własne najgłębsze zagadnienie. Ani nikomu nie potrafimy stworzyć szczęścia, ani drogi do niego pokazać. Nawet najlepszy los nie może

nam go zapewnić — bo zależy ono także od nas samych. Francis Bacon twierdził, że forma szczęścia jest w nas, tylko metal do odlewu musimy sami znaleźć.

Trudno określić szczęście, ale myślę że jego momenty — to chwile najbliższego i głębokiego kontaktu z samą treścią istnienia.

Alina Cybulska

SADZĘ, że zagadnienie szczęścia da się sprowadzić do zagadnienia jeszcze jednego instynktu rządzącego człowiekiem, a w swym nasileniu może być przyrównany do dwóch najpotężniejszych instynktów, które nami rządzą, czyli: głodu i zachowania gatunku.

Jeżeli zastanowimy się nad tym, co nazwałabym „mechanizmem szczęścia“ stwierdzimy, że jest to przede wszystkim dążenie. Szczęście doznane trwa krótko, stan ekstazy, czy absolutnej ciszy, która jest momentem spełnienia i zaspokojenia każdego instynktu — zmienia się, tak jak w innych — w stan euforii, chwilowego oszołomienia doznaniem, a potem w zadowolenie, w kondycję długotrwałą, nie mającą już

napięciem pierwszego i jedynego momentu osiągnięcia. Stan taki (z wyjątkiem instynktu głodu, którego częstotliwość ze względów oczywistych jest najwyższa) może być długotrwały, prowadzący nieraz aż do kresu życia doznającego, nie jest już jednak szczęściem najczystszy, jest raczej jego wtórnym niejako objawem. Może jedynie mistycy, którzy doznawali wstrząsu przebywania ze swym Bogiem „twarzą w twarz“ wyłamywali się z reguł natury i trwali dłużej od innych w stanie szczęśliwości; starali się potem go opisać, czyniąc to jednak nieumiejętnie i niedokładnie, gdyż nikt nie potrafi opisać za pomocą mediów danych człowiekowi rzeczy ponadczłowiecznych (a każdy instynkt, nawet i te właśnie

TEMAT: Czym jest szczęście?

„przyziemne i nieuduchowione“ jak głód czy zaspokojenie seksualne, są niczym innym jak „płomieniem Bożym“, który w nas tkwi i jest tym perpetuum mobile — niekończącym się i zamkniętym w kręgu wieczności, dzięki któremu możemy wierzyć, że nie jesteśmy jedynie instynktem, ale i duchem. W tym właśnie leży paradoks i wielkość natury.

Poszukiwanie, czyli dążenie do zaspokojenia rządzących nam instynktów leży u samych podstaw naszych poczynań i jest usprawiedliwieniem naszego życia. Instynkt szczęścia posiada dynamiczną siłę, która się staje nieraz motorem dla zaspakajania innych instynktów. Człowiek, który nie pragnie szczęścia — nie chce żyć. Człowiek bez nadziei, czy nawet pewności, że szukając — znajdzie, prawdopodobnie nie będzie szukał zaspokojenia głodu, czy miłości. Znamy przecież wypadki, że ludzie umierali, gdy nie chcieli żyć. Dlaczego? Dlatego, że zawiódł ich jeden z przemożnych instynktów — instynkt szczęścia.

Mechanizm instynktu szczęścia jest taki sam jak innych, i rządzi nim te same prawa. Natura, którą tak gwałtownie chcemy sublimować z jej „naturalności“ na rzecz ducha, którego jest ona przecież nieodłącznym składnikiem — natura sama w sobie ma tylko jeden wzór dla wszystkich instynktów, którymi obdarzyła człowieka: *spełnienie*, a więc krótka chwila zachłyśnięcia się osiągniętym celem, moment uciszenia podobny momentowi śmierci — i potem już naprężona krzywa ludzkich uczuć zaczyna schodzić w dół. Zaczyna się nowe poszukiwanie, nowe dążenie do schwywania doskonałości momentu od nowa, potem jeszcze raz i jeszcze.

Shczęście możemy także określić i innym słowem, mianowicie nadzieją. W niepokoju poszukiwania szczęścia, a nie w szczęściu samym, znajdujemy bodziec aby eksperyment powtórzyć. Koło życia kręci się nieraz niezrozumiale dla żyjących, w istocie rzeczy jednak z żelazną konsekwencją nieodmienności.

W modlitwie i w akcie seksualnym najczęściej następuje moment dotknięcia żywego, pulsującego szczęścia, schwywania go niejako na gorącym uczynku. Jest to zaiste uczynek gorący, który wypala swój stygmat w duszy człowieka pobłogosławionego tym misterium. Wtedy to tylko duch ludzki, wraz z całym balastem „natury“ wydziera się ponad siebie samego i zachły-

stuje się swoim doznaniem na jeden transcendentny moment doznania. Po czym opada na ziemię i wie już dlaczego żyje: po to właśnie aby dążyć i szukać i zaspokajając znowu na chwilę, aby od jednego stanu absolutnego szczęścia do drugiego stanu absolutnego szczęścia móc żyć w tumanie zadowolenia i w pełni i aby wspomnieniem doznanego objawienia spajać nic swego życia. Jeżeli stany ekstazy, czyli po-

chwycenia szczęścia trwają długo to i my możemy płynąć długo na tej fali spokoju i odprężenia, czasami aż — jak napisałam na początku — do progu śmierci. Wówczas człowiek może powiedzieć z pokorą sobie i innym: rozumiem czym jest szczęście. Jest ono nadzieją i walką o moment, który rozdziera zastony wieczności.

Klara Evans

„SZCZĘŚCIE W NIESZCZĘŚCIU“

Z MYŚLI o szczęściu szczególnie trafną a mało znaną zawiera przysłowie chińskie: „Szukasz szczęścia nie wiedząc, że jesteś szczęśliwy“. Można je sobie dwojako tłumaczyć. Jest w nim najpierw wyrzut, że zwykle nie doceniaamy własnego błogostanu, „sami nie wiemy, co posiadamy“, goniąc za chimarami i mirażami nie umiemy się radować swoim przydziałem darów Bożych, gorączkowo szukając szczęścia, tylko się od niego oddalamy, bo szukamy daleko, gdy ono jest blisko. Starym schorowanym ludziom, wielkim szczęściem wydaje się zdrowie młodości. Lecz, gdy się nim „cieszyli“ — czyż naprawdę się cieszyli? — byliż wtedy szczęśliwi? Byli. Ale — z reguły — tego nie czuli. Czują dopiero z żalem w nostalgicznym wspomnieniu. A jak wielkim szczęściem jest sam dar życia! Ba, żeby go w pełni docenić, trzeba by być nieboszczykiem. Czy wtedy jednak nie będzie za późno?

Poza tą dość przyziemną mądrością praktyczną dopatruję się w przytoczo-

nym przysłowiu drugiego, głębszego, metafizycznego znaczenia. Tej mianowicie prawdy, którą w „Braciach Karamazow“ Dostojewskij wkłada w usta konającego na gruźlicę chłopca. Że „życie jest rajem“, że świat jest stale tak piękny, wspaniały dobry, zachwycający, aż dech zapiera, że powinniśmy żyć w nieustającej ekstazie, a jeśli jesteśmy do tego niezdolni, to z własnej winy, dobrowolnie się oślepiamy, byle tylko nie spojrzeć w oczy rzeczywistości. Jesteśmy w raju, ale nie chcemy tego wiedzieć. Na tym zapewne polega grzech pierworodny.

Wzniosła bzdura! — burzy się nasz sceptycyzm, nasze doświadczenie zła, brzydoty, ohydy w świecie. Lecz może to doświadczenie negatywne jest rodzajem złudzenia optycznego? Sądziło tak wielu mistyków, wielu pozostawiło w swych pismach ślady takiego właśnie „uszcześliwiającego widzenia“, o jakim mówi chłopiec z „Braci Karamazow“. Najpiękniej może opisał je w „Centuriach medytacyj“ siedemnastowieczny



SPEŁNIENIE?
(Reprodukcja obrazu Pablo Picasso)

poeta angielski Tomasz Traherne. Przejściowo, migawkowo dostępne jest ono najzwyczajszym ludziom. Zeznania takich ludzi zebrała niedawno pani Margharita Laski (nb. niewierząca osoba) w grubym tomie, pt. „Ekstaza“. Przebysk bezgranicznej afirmacji świata dają także niektóre narkotyki (pasjonował się nimi Aldous Huxley, a przed nim jeszcze nasz Witkacy) i wybranym odbiorcom — dzieła wielkiej sztuki.

Jeśli świat odtworzony w arcydziele sztuki daje nam szczęście, dlaczego nie — pierwowzór? Zdumiewał się nad tym już Pascal. Klucz do zagadki tkwi, jak się zdaje, w pojęciu bezinteresownej kontemplacji. Jest ona łatwiejsza wobec dzieła sztuki, niż wobec rzeczywistości. Wszystko, co się na rzeczywistość składa, rozpatrujemy zwykle w odniesieniu do siebie samego, do interesów naszego samolubnego „ja“. To jest to podstawowe złudzenie optyczne. Słońce, żywioły ognia i wody są przepiękne, ale nie wtedy gdy nas pieką, palą, topią, choć na dobrą sprawę w nich przecież nic się nie zmieniało, nic z ich piękna nie ubyło. Stąd — wyzbycie się własnego „ja“ (jako kompleksu pożądań i strachów), „wyjście z siebie“ (a to znaczy wyraz „ekstaza“ właśnie) — jest warunkiem „uszcześliwiającego widzenia“. Nie jest przypadkiem, że częściej niż innym przypada ono w udziale ludziom — po ludzku biorąc — nieszcześliwym (konający na gruźlicę chłopiec), powalonym ciosami losu lub ascezy.

Mówi się często, że każdy człowiek pragnie szczęścia, że jest ono najwyższym celem ludzkich dążeń. Nie zgodziłbym się z tym, a w każdym razie jestem przekonany, że nie jest ono najwyższą wartością. Proszę sobie wyobrazić po swojemu „szczyt szczęścia“, jakis absolutny błogostan. I że warunkiem jego dostąpienia byłby albo obłęd, albo dopuszczenie się jakiejś, choćby drobnej podłości? Obłęd — dla nas zupełnie niezauważalny, podłość — przez nas całkowicie zapomniana, nie mącać kupionego za jej cenę szczęścia. Kto z nas gotów byłby zapłacić taką cenę? Myślę, że nikt.

Jako chrześcijanin wreszcie, dla szczęścia — nie wyrzekłbym się nieszczęścia. Religia krzyża, religia, której centralną tajemnicą jest Męka, zna niezmierną, wyzwalającą, zbawiającą wartość cierpienia i nieszczęścia. Nie, nie dbam o wulgarny handelek — za nieszczęście doczesne szczęście wieczne. Szczęścia i nieszczęścia, wieczności i do-

czesności nie należy sobie wyobrażać przeciwnie, jak dzień i noc, jak pion i poziom. Nie są one obok siebie, czy jedno pod drugim. Przecinają się i przenikają. Punkt, w którym przecinają się poziome i pionowe ramiona krzyża nie jest ani poziomy, ani pionowy. Albo: i poziomy, i pionowy. Myślę, że zbawienie jest podobnym, choć niepojętym, ostatecznym rozwiązaniem wszystkich sprzeczności: pomiędzy szczęściem i nieszczęściem, pomiędzy doczesnością i wiecznością.

Dwie ostatnie myśli (jestem świadom nieuniknionej niejasności drugiej) mogą się wydać sprzeczne z tym, co mówiłem o „uszcześliwiającym widzeniu“. Najpierw chwaliłem szczęście, potem — nieszczęście. Najpierw pisałem o wyzbyciu się „ja“, a potem z przerażeniem myślałem o zatracie jego w obłędzie. Wydaje mi się jednak, że są to sprzeczności pozorne tylko, wynikające z wieloznaczności użytych określeń. Trzeba by może użyć całkiem nowych i paradoksalnych, w rodzaju: szczęście bezpodmiotowe“, „nieszczęście radośnie ukochane“, „złudna otoczka osobowości“ i „prawdziwy jej rdzeń“...

Na ankiety tego rodzaju zwykle się odpowiadać pół żartobliwie. Nie mogłem się do tego przymusić. Przepraszam. Temat jest dla mnie zbyt poważny.

Michał Chmielowiec

UMIĘJĘTNOŚĆ SZCZĘŚCIA

SZCZĘŚCIE jest sztuką, do której, jak do innych, potrzeba talentu. Przed jednym postawi się fortepian i zacznie w niego walić bez ładu i składu, ktoś inny na nim cudownie zagra. Podobnie z życiem — dwie osoby dostają taki sam los i każda może z niego zrobić co innego. Człowiek bez poczucia szczęścia będzie szukał w życiu i znajdował tylko złe strony, same czarne klawisze, podczas gdy drugi, w takich samych warunkach będzie szczęśliwy. Szczęście ma małe wymagania i wcale nie potrzebuje kosztownych akcesoriów. Najlepiej mnie o tym przekonała kiedyś pewna mądra i dobra starsza pani, która zaczęła tracić wzrok i nie mogła już sama wychodzić z domu. Mąż jej, sparaliżowany od lat, nie mógł być jej żadną pomocą i największym jej zmartwieniem było, że nie może chodzić do kościoła, co dotąd robiła codziennie przez całe życie. Znalazł się ktoś kto zaoferował się jej towarzyszyć i kiedyś, dziękując mu, powiedziała: „Jakie ja mam szczęście, że Pan Bóg mi ciebie zesłał!“. „Szczęście“ nie było w jej ustach pustym słowem. Z jej głosu i uśmiechu widać było, że jest naprawdę szczęśliwa.

Była to osoba na pograniczu świętości i jej stosunek do życia był czymś więcej niż talentem do szczęścia. Przejętny człowiek potrzebuje pewnego minimum pomyślnych zewnętrznych warunków: zdrowia, miłości, jakiego takiego spokoju materialnego. „Jaki taki“ czyli dach nad głową i pewność, że jutro będzie na obiad. Jeśli się ma na szampa i na własny jacht, nic to szczęściu nie zaszkodzi pod warunkiem że się zna jego smak i umie je ocenić.

Zdumiewające jak mało jest ludzi obdarzonych tą umiejętnością. Ilość narzekań i skarg, jakie się słyszy dokoła dowodzi, że wrażliwość na nieszczęścia i przykrości jest znacznie większa niż na to co dobrego człowieka spotyka. Może dlatego zło uważa się za niesprawiedliwość losu a dobro za to co się słusznie należy, choć nigdzie nie jest powiedziane, że człowiek ma prawo do szczęścia. Mężowi nie pamięta się dzieciątków lat oddania i miłości tylko parę drobnych przewinień; w luksusie, który pozwala na wszystkie przyjemności, narzeka się na kłopoty ze służbą; w chorobie zapomina się o latach kwitującego zdrowia; zamiast cieszyć się spokojem starszego wieku, tęskni się do przeżytej młodości.

Jedną z recept na szczęście jest odwrócić ten stosunek i być zadowolonym z tego co się ma i czym się jest teraz, w tej chwili, ocenić to nie po niewczasie jako wspomnienie ani zgóry jako marzenie, tylko na gorąco, jako coś realnego, niepowrotnego, z czego buduje się zapas szczęścia na czarną godzinę. Każdy rok życia ma swoje własne szczęście. W dzieciństwie ma ono głos dzwonka, którym aniołek oznajmia, że już przyszedł z choinką, potem są to kacerzice na mokrej łące, rozgrzana poręba pełna poziomek, woda z sokiem i chałwa w powrotnej drodze ze szkoły, ósemki na lodzie w takt walca. Za parę lat smaku szczęścia nabierają przeczytane książki, popołudniowe przedstawienia w teatrze, pierwsze wzruszenia miłości, pierwsze spacerowanie majowe w wieczornym cieniu kasztanów.

Każde życie ma takie chwile powzedniego szczęścia, byle je tylko złapać w porę, byle wiedzieć, czuć od razu że to jest właśnie to, że są najważniejsze, niezastąpione niczym co przyjdzie później. Sprawy duże i małe: burze dojrzałej miłości, kwiaty ułożone w wazonie, nowa książka w błyszczącej okładce, zapach ulubionych perfum, pomarańcze pierwszy raz zobaczone na

drzewie, Koncert Brandenburski Bacha, niebieskie morze, uśmiech dziecka, powodzenie na balu, niespodziewany list, czyjaś wdzięczność, czyjaś przysługa, puszysty śnieg pod nartami. Po latach, szczęściem staje się spokój miłości, wieczory w domu we dwoje, pierwsze siwe włosy, które zwalniają z przymusów, ulga że już można nie chodzić na bale, nie mieć powodzenia, nie jeździć na nartach. Po prostu szczęście to żyć w zgodzie ze swoim losem.

Z nauk, usłyszanych w młodości od starszych, które chwyta się jednym uchem a wypuszcza drugim, jedna mi jakoś utkwiała w pamięci. Ktoś mi tłumaczył że koło miłości, by trwała, trzeba chodzić, trzeba ją pielęgnować, chuchać na nią, nie pozwolić jej na zniszczenie. Myślę, że taką samą naukę można stosować do szczęścia. Wrodzona umiejętność cieszenia się tym co inni gotowi są przeoczyć, wyszukiwania w życiu tego co dobre i łatwego zapomnienia o tym co złe, to jeszcze nie wszystko. Gdy talentu do szczęścia nie rozwijać, można je zmarnować, jak nie-raz marnuje się miłość.

Stefania Kossowska



ZDROWIE, MŁODOŚĆ I HARMONIA?

(Zdjęcie przedstawia Natalię Kotównę mistrzynię Europy w pięcioboju)

O GÓRKI PARYSKIE

LIPIEC w Paryżu to miesiąc z którym nie zawsze wiadomo co robić. Oczywiście, nie dotyczy to wszystkich. Stateczny ojciec rodziny ma od dawną wypracowany plan i czeka lipca z niecierpliwością — zresztą nie tylko w Paryżu, bo w Londynie dzieje się prawdopodobnie to samo. Zastrzegam się, że prawdopodobnie, bo nie jestem zupełnie pewien czy Anglicy w swej ewolucji doszli już do tego stopnia rozwoju, co Paryżanie. Otóż ten paryski ojciec rodziny, dbający o jej zdrowie i wypoczynek, ładuje żonę z przychowkiem do pociągu i wysyła nad morze. Na dworcu czuła scena pożegnania, żona daje mu ostatnie rady kulinarne, jak robić jajecznicę, co jest w lodówce, które konserwy są na obiad, a jakie na kolacje itd. Mąż przestrzega ją, by była ostrożna nad morzem, nie pozwalała dzieciom oddalać się od brzegu, nie nadużywać słońca, bo to szkodzi na zdrowie itp. Każda strona czeka z niecierpliwością, by pociąg jak najszybciej odjechał. Mąż jeszcze tego samego wieczoru dzwoni do swojej „petite chérie“ i do północy wywija lekissima w przytulnej „boite“, a żoną też wie co robić. Każdy doświadczony kawaler, roznodnik czy wdowiec również bierze urlop w lipcu — bo wie, że na plażach Rivieri, Atlantyku czy Kanalu będzie buszować jak pasza w haremie. W sierpniu wszystko się zmienia, mężowie biorą swoje urlopy i dołączają do „stęsknionych“ rodzin, a lipcowi paszowie wracają do Paryża, by odpocząć po wyczerpujących wakacjach. Nikt nie żałuje, choć każdy doskonale zdaje sobie sprawę, co się w lipcu dzieje.

Tak się złożyło, że w tym lipcu poleciałem na chwilę do Nicei, ale niestety nie na wakacje, tylko w interesach. Muszę powiedzieć, że wróciłem nieco rozczarowany. Przede wszystkim na Rivierze wszyscy mają nosy i noski spuszczone na kwintę — bo jest o wiele mniej letników niż normalnie, podobno o 30 procent. Hotelarze i restauratorzy są w złych humorach i przypisują to kapryśnej tego roku pogodzie. Pogoda rzeczywiście jest kapryśna, ale są i inne, ważniejsze powody tej dezerecji. Po pierwsze Francuz nauczył się podróżować i widzi, że to nie jest wcale takie skomplikowane wyjechać na wakacje do Hiszpanii, Włoch, czy nawet Jugosławii. Jeszcze dziecięć, a nawet pięć lat temu za granicę jeździła tylko pewna warstwa Francuzów, natomiast przeciętny drobny mieszczuszek poza Francję nie ruszał się. Ale gdy teraz wreszcie się ruszył, to przekonał się, że te jego dotychczasowe wakacje na łonie ojczystych plaż są dość kosztowne i że gdzie indziej można je spędzić taniej, a nawet o wiele taniej (ostatnio z tego powodu zaczęła się wielka moda na Jugosławię). Samotne mamusie sprawdziły, że lipcowe uroki Rivieri mogą być jeszcze bardziej urocze na Costa Brava, a pogoda pewniejsza.

Francuscy hotelarze wszystko przypisują pogodzie, a dodatkowo podatkom. Bo oczywiście zdają sobie sprawę, że tutejsza polityka wielkości objęła wszystkie dziedziny, a więc i wysokość rachunków hotelowych, restauracyjnych i barowych. Francja pod tym względem rzeczywiście wybiła się na czoło w całej Europie europejskiej — od Atlantyku po Ural. Pod względem cen już nikt jej nie bije. Ale hotelarz francuski uważa, że tak być powinno, turyści mają do nich przyjeżdżać i te słone rachunki bulić. Nie nie szkodzi, że 90 procent hoteli francuskich wymaga poważnej modernizacji — zresztą te prymitywne „hostelleries“ mają swój urok (w oczach

właścicielu) a za urok też trzeba płacić, nawet jeżeli w pokoju nie ma bieżącej wody. Po drugie, kto Francji dorówna pod względem kuchni? Hiszpańska „paella“ czy włoskie spaghetti? Racja — hotele, te tańsze, lepiej nie mówić i dajmy im spokój, ale w kuchni Francuza nikt nie pobije i im jej pomieszczenie mniej zmodernizowane tym lepsze dania z niej wychodzą — te „plats mijotés“ jakich nigdzie indziej się nie znajdzie. Tylko niestety obyczaje i gusta się zmieniają. W Paryżu raz po raz jakaś znana i dobra restauracja zamyka się i w to miejsce powstają — jak grzyby po deszczu — obrzydliwe, samoobsługowe garkuchnie, fabrykujące seryjnie mizerne danka. Co raz mniej ludzi ma dwie godziny czasu na obiad, by go spokojnie, jak Pan Bóg przykazał spożyć. Niedługo będzie się jeść na stojąco z automatów — jak w Ameryce. Toteż tysiące małych restauratorów francuskich wciąż z zamiłowaniem pitrasi swe specjalności, jak za czasów babci w „belle époque“, często w pięknie wyczyszczonych miedzianych naczyniach, bo aluminium psuje smak, a co raz mniej ludzi na tym się zna i oczywiście nie ma zamiaru płacić ceny, jakiej taka kuchnia wymaga. Wakacyjne jedzenie zaczyna odgrywać drugorzędną rolę, najważniejszą jest niska ceną za byle co, murowane słońce, nowoczesny hotel nawet najbardziej tandetny, no i tłok. Plaże, hotele, bary, dancingi, autobusy, drogi, wszystko musi być zatłoczone, nabite, wypełnione po brzegi, dopiero to są prawdziwe wakacje. W nowoczesnym człowieku odezwał się jakiś atawistyczny instykt stada. Całe szczęście, że jeszcze miłość w większości wypadków uprawia się na osobności we dwójkę. Zaznaczam, że w większości wypadków, bo jest już pewna mniejszość, która i to robi wspólnie, w tłoku. Raz po raz wybuchają skandale różnych „ballets roses“ — właściwie to już nawet nie skandale, tylko zwyłe policyjne „faits divers“ — wypadki. Co prawda nie są one wynalazkiem obecnych lat, istniały zawsze, ale były zastrzeżoną, niemal opatentowaną domeną wysokiej arystokracji i burżuazyjnej śmietanki. Dziś i ta dziedzina się demokratyzuje i to podobno od Atlantyku po Ural. Jeszcze jeden przyczynek do tej wielkiej wspólnoty europejskiej...

* * *

Otóż wróciłem z Nicei rozczarowany, bo tam nie ma normalnego tłoku. Co prawda Nicea to nie cała Riviera, a niektórzy nawet mówią, że to już w ogóle nie Riviera, tylko duże, nadmorskie miasto, a Riviera to Cannes, Antibes, Saint-Tropez. Ale tam też nie jest za dobrze, może za wyjątkiem Saint-Tropez. Poza tym te plaże robią obecnie

zupełnie wrażenie obozu nudystów, a właściwie nudystek. Zastrzegam się z góry, że ja wcale nie jestem przeciwnikiem bikini w ich najbardziej zminiaturyzowanej formie, tylko wszystko zależy na kim... Jeżeli te trzy kieszonki nałoży syrenka o opływowej linii BB, to jest na co popatrzeć, przysunąć się i nawet ewentualnie zapytać się, czy ma wolny wieczór. Ale, gdy te same akcesoria odkrywają zwały tłuszczu na brzuchu i fałdy pod pośladkami, i gdy do tego właścicielka tego wszystkiego dopiero niedawno przyjechała i ma wygląd świeżo ugotowanego homara, to człowiek zaczyna patrzeć w niebo; gdy takich okazji jest pełno wokoło to wraca do hotelu — jeżeli nie do Paryża. To ciekawe, jak często kobieta o miłej buzi i zgrabnych nogach nie wie, że pewnych części anatomii pokazywać nie wolno, jeżeli nie są doskonałe. Inne znowu przechadzając się, opinają swe obfite kształty w ciasne spodnie i wyglądają jak worek nabity mięsem! Kiedyż wreszcie bąbki zrozumieją, że obcisłe spodnie, czy w ogóle ciasna toaleta podkreślają i uwydatniają otyłość, podczas gdy luźna sukienka ją maskuje.

* * *

Wróciłem z Nicei rozczarowany — rzeczywiście. Ale to nie wyklucza, że gdybym mógł, to bym tam chętnie pozostał. Bo jednak jest tam w razie potrzeby do czego się przytułić. Tymczasem w Paryżu, mimo lipca, nawet na to nie ma czasu. To taki wyjątkowy lipiec. W Brukseli Francuzi narobili bigosu z Wspólnym Rynkiem rolniczym i teraz sami są w strachu, co z tego wyjdzie. We Francji Amerykanie, dla przypiecętowania gorącej przyjaźni z de Gaullem, wysłali samolot rozpoznawczy nad Pierrelatte, fabrykę bomb atomowej (a w przyszłości wodorowej) francuskiej i ten sobie najspokojniej w świecie zrobił 175 zdjęć, mimo że to zona zakazana dla przelotu wszystkich samolotów. Przed kim jak przed kim, ale na pewno przed Amerykanami Francuzi specjalnie strzegą swe tajemnice atomowe. Pewien francuski przyjaciel, z którym na ten temat rozmawiałem, powiedział że wszystko rozumie za wyjątkiem jednej rzeczy, co robi słowo „inteligencja“ w nazwie instytucji „Central Intelligence Agency“?

Ale największy szum wywołała jedna z książek, która świeżo się ukazała, napisana przez Roger Peyrefitte, pt. „Les Juifs“ (Żydzi). Trzeba tu mieć na uwadze, że we Francji jest dwóch panów Peyrefitte, kuzynów zresztą. Młodszy, Alain, jest ministrem informacji obecnego rządu, pracuje więc w mitologii. Starszy Roger, dość dawno temu był zawodowym dyplomatą, później zo-

stał pisarzem. Jak widać po tytule ostatniego jego dzieła, on pracuje obecnie w semiotologii.

Roger Peyrefitte jest specjalistą od skandalizujących tematów. A więc kolejno pisał o służbie dyplomatycznej francuskiej, o stosunkach w Watykanie, o Zakonie Maltańskim o homoseksualistach, o masonerii i teraz o Żydach. Wszystko podane w sposób sensacyjny, byle wywołać skandal i to mu się zawsze udaje. Dochodzi nawet do procesów, co oczywiście przyczynia się w znakomity sposób do sprzedaży książki i autor zrobił już wielką fortunę.

Ostatnia jego książka „Żydzi“, tak jak poprzednie, też wywołała skandal i sprawę sądową, wniesioną przez potężnych Rothschildów. Peyrefitte twierdzi, że celem książki jest walka z antysemityzmem i to w ten sposób, że wykazuje on m. i. żydowską krew i koneksje w wielu znanych rodzinach, gdzie nigdy tego nie podejrzewano. W wielu wypadkach opiera to tylko na pochodzeniu nazwiska i w ten sposób obejmuje masę ludzi. W swym rozpędzie umieścił w tej książce nawet naszego niedawno zmarłego rodaka dra Pomian-Pożerskiego. Na czym to oparł — nikt nie wie. Obok tego według niego mają przodków pochodzenia żydowskiego: de Gaulle, królowa Elżbieta, kanclerz Adenauer, rodzina Kennedy, prezydent Johnson, Fidel Castro, Franco, Salazar i i. Czy książka przyczyni się do zwalczania antysemityzmu — wątpię. Wiem tylko jedno — że jest cholernie nudna w czytaniu i nikomu jako lektury bym jej nie zalecał.

Skoro już jesteście przy książkach, to trzeba tu wspomnieć, że jeżeli tak pójdzie dalej, to nasz de Gaulle pobije rekord książek, napisanych o nim. Do tej pory wyszło ich 26 (o Napoleonie po wojnie wyszło 67 książek, o Hitlerze — 39, a o Joannie d'Arc — 34). Jest to zresztą już nowa gałąź nauki — „gaullologia“ — w której specjalizuje się pewna ilość historyków współczesności i dziennikarzy. Lekturę jednej z nich specjalnie polecałbym tow. Gomulce, Kliszce, Motyce i spółce od polowania na pisarzy, którzy rzekomo „szkalują“ Polskę Ludową (oczywiście tu nie chodzi o Polskę, tylko o nich samych i resztę rządzącej klikki). Książka ta ma tytuł „Mauriac sous de Gaulle“ i autorem jest zdolny pisarz i dziennikarz Jacques Laurent. Jest to jedna z najostrzejszych krytyk, a miejscami napisać na de Gaulle'a, nawet moim tolerancyjnym zdaniem niedopuszczalnych, bo to już jest paszkwil, jaki! Książka ukazała się wiele miesięcy temu i dopiero niedawno prokurator wniósł skargę przeciw autorowi za obrazę głowy państwa, ale do wydania wyroku książka znajduje się w wolnej sprzedaży, na wystawach księgarni i każdy może ją



Panorama Champs Elysées w lipcu

kupić. Oczywiście, jak zawsze w takich wypadkach, to wystąpienie prokuratora spotęgowało na nią popyt, tym bardziej, że kilkudziesięciu wybitnych pisarzy, od prawicowych do bardzo lewicowych, publicznie zaprotestowało przeciw tej sprawie sądowej i stanęło w obronie autora. Wyobrażam sobie w Polsce Ludowej podobną książkę, np. o Gomułce... zakładając, że znalazł się tam prywatny wydawca z papierem. Ciekawe, że nikt nie ruszył tutaj tych co protestują, prasa ogłasza ich nazwiska, a Laurent przebywa na wolnej

stopie, bo sprawa jest dopiero w śledztwie. Jasne, de Gaulle to jest „quelqu'un, un grand monsieur“, jak mówią Francuzi, jest kimś, jest wielkim panem, a nasi samowładcy? Dwucalowe karły, pazurami, nogami i zębami trzymający się władzy, która nieuchronnie zaczyna się im wymykać z rąk. I wymknie, nawet jeżeli wszystkich pisarzy i dziennikarzy pozamykają, za rzekome „szkalowanie“ Polski Ludowej. Można by się zdrowo uśmieć, gdyby to nie było takie tragiczne.

Jan Claude

Ksiądz Piotr spieszył na zjazd. Samolot przeleciał kanał i gnał nad zbierającą zboże Francją. Była zielona i złota. Były trudności z miejscami tym bardziej, że odbywała się w Lyonie jedna z licznych wystaw międzynarodowych i bogaci kupcy zapelnili samolot. Pan Paweł, wierny towarzysz księdza Piotra, dostał miejsce w środku samolotu, gdy ksiądz na przodzie.

Pasażerowie pochylili głowy w stronę okien. Poniżej wiła się Sekwana z kropkami statków, aby wcisnąć się nagle w połyskującą szkłem gmachy. Wieża Eiffla okręciła się, robiąc pół obrotu. Nadbiegła jak kamienny kwiat katedra Notre-Dame, aby odskoczyć w bok. Masa domów straciła kształty zamieniając się na pola z rozrzuconymi jak zapalki kominami fabryk.

Odwracając głowę od okna ksiądz Piotr zauważył, że jeden z pasażerów obserwuje go ostro. Zresztą trwało to chwilkę i może by przeszło bez wrażenia, gdyby twarz ta nie wzbudziła wspomnień. Ksiądz znał tego pasażera, ale skąd? Nie mógł sobie przypomnieć. Wyjął z teczki jakąś książkę i włożył do niej kartkę na której napisał kilka słów. Następnie wstał i przechodząc przez środek samolotu podał ją Pawłowi.

Wracając odebrał książkę, i usiadłszy na swoim miejscu otworzył ją. Była w niej kartka, a na niej słowa: „To długi John, jeden z członków bandy Pitilego. Mam go na oku!“

Z bandą tą miał ksiądz kilkakrotnie do czynienia, przy czym pan Paweł jako dawny policjant, a obecnie kościelny, pomagał mu dzielnie. Tym razem nie ksiądz był ich celem, a chyba któryś z pasażerów, a może długi Johnjechał na wystawę w Lyonie, i tam zaczynał swe występy.

Motory grały, lekko drgał kadłub samolotu. Płynęli nad chmurami, które tworzyły jasne góry pod nimi, poprzedzielane kolorową siatką, pola, kępy drzew, nitki dróg.

Nagle poruszenie. Jedna z pasażerek zaczęła czegoś szukać na podłodze. Mężczyzna koło niej — zapewne mąż, pomagał jej w tym. Inni zainteresowali się również. Podeszła stewardesa. Jak się dowiedziano dama zgubiła diamentowy pierścień wartości kilku tysięcy funtów. Jeszcze niedawno miała go na palcu. Co ciekawe, że tak mocno sie-

dział, że go nigdy nie zdejmowała. Trzeba było nie mało starań by go zesunąć. A tu nagle, kiedy się lekko zdrzemnęła, ześliznął się sam.

Stewardesa, która już niejedno widziała, oglądnięta pasażerów, ale co mogła zrobić. Poszukiwania nie dały rezultatu.

Mąż pani, która zgubiła pierścień ogłosił, że za znalezienie da nagrodę dwieście funtów. Pasażerowie spoglądali jeden na drugiego, który to zabrał. Ale nikt nie nie mówił.

Gdy samolot uderzył kołami o lotnisko, potoczył się i stanął, wychodzących lustrowało dwu policjantów francuskich, a dalej jeszcze stojący komisarz policji, po cywilnemu, oglądał jakieś fotografie. Podeszedł też nagle do długiego Johna. Tak się jakoś złożyło, że tuż przy Johnie stał pan Paweł. Długi John jakby się zawahał czy ma przyjąć zaproszenie komisarza, zrobił krok w tył ocierając się o pana Pawła.

Członek bandy Pitilego odszedł wraz z komisarzem i policjantami. Innym pozwolono wyjść z lotniska. Poszkodowana szła na ostatku sznura pasażerów. Przybliżył się do niej pan Paweł wręczając jej zgubiony pierścień. Dziękowała mu serdecznie, a mąż wyjął książeczkę i wypisał na niej sumę dwustu funtów. Pan Paweł wręczył czek księdzu Piotrowi, mówiąc: — Połowa dla księdza, połowa dla mnie!

— Słusznie mi się należy — powiedział ksiądz.

— Obserwowałem jak długi John wrzucił go do pańskiej kieszeni. Tylko proszę mi powiedzieć, skąd komisarz wiedział, że ukradł długi John?

— Bo ja mu powiedziałem!

— Przecież nie zbliżał się pan do niego.

— Bo i po co? Powiedziałem stewardesie, a ta dalej dała znać radiem!

Ksiądz schował czek do portfela. Wyszli z lotniska, wsiadając do jednego z autobusów. Za chwilę pojawił się zziębnięty długi John. Siadł tuż za księdzem i panem Pawłem. Gdy autobus zatrzymał się na rynku i wysiadali, przycisnęła się do pana Pawła, wpuszczając błyskawicznie rękę do jego kieszeni. Wyjął ją — była pusta. Zdziwił się, a pan Paweł uśmiechnął się i pokazał mu palcami figę.

Gdy szli w stronę katedry ksiądz oddał czek Pawłowi mówiąc: — To pańskie pieniądze!

— Ale przyjmie je Matka Boska — powiedział pan Paweł. Damy je księdzu proboszczowi Janowi na schronisko sierót po polskich żołnierzach, pod wezwaniem Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej.

Stefan Legeżyński

SPRAWOZDANIE Z CYRKU LUDOWEGO — O CYRKACH OGÓLNI — CYWILNA BEATYFIKACJA HUBALA, NIEGDYŚ PRZEZ MELA CHWALONEGO

Choć raz mogę z czystym sumieniem donieść coś zdecydowanie pozytywnego, nienałganego i krzepiącego ducha na temat Polskiego Cyrku Ludowego. Nie chodzi mi oczywiście o którykolwiek z aspektów administracji „Priwisłenskiej Riepubliki Ludowej“ ale po prostu o cyrk. Tyle, że istniejący i rozwijający się w „Polsce Ludowej“.

Cyrk jest instytucją zbawienną przede wszystkim dlatego, iż iluzja w nim jest prawdą: tzn. magicy i prestidigitatorzy, twórcy iluzji są solidnymi fachowcami i technikami swojego zawodu.

W cyrku nie ma nawalania: aktor znajduje się na środku areny, czy trzech aren — tego dziwnego i odpychającego, zaatlantyckiego zбочenia szlachetnego widowiska, ryzykuje, bez bufonany, zdrowiem i, nierzadko życiem w pełnym oświetleniu, a treścią widowiska jest ta sama zagadka bytu, która leżała u podłoża najstarszej tragedii i opery greckiej: konflikt pomiędzy „martwymi“ siłami przyrody, a ludzką wolą — tryumf ducha nad materią. Wyrokiem może być siła przyciągania ziemi, albo refleks ludzkiego organizmu, albo tresowane zwierzę (...nawiasem mówiąc, to osławione „męczenie“ zwierząt w cyrku“ jest wierutną bzdurą: lwy np. są potwornymi kabotynami, podobnie jak psy i foki i kochają się w światłach kinkietów, muzyce, atmosferze podniecenia. Podobnie jak konie. Nie bardzo wiadomo, jedynie co myślą podbiegunowe niedźwiedzie ze względu na swoisty, nieruchomy układ „twarzowych“ partii pyska. I dlatego są tak niebezpieczne dla poskramiaczy...)

Może dlatego, iż w cyrku prawdziwy artyzm indywidualny, chociaż w ograniczonej skali wyrazu, jest zjawiskiem znacznie częstszym aniżeli w teatrze czy w filmie, aktorzy cyrkowi są z reguły ludźmi o ujmującej skromności i życzliwości. Purchawek, „gwiazd“, wśród nich jest bardzo mało. Pozostaje to jak się zdaje w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do osobistego wkładu w spektakl. Nie jest tajemnicą, iż na scenie czy na ekranie o wszystkim, w gruncie rzeczy, decyduje wszechmocny, i niewidzialny, reżyser. Reszta, to jest to nieodzowne i skromniutkie minimum dopomagające do zamiany owsa na ryż. I mimo to iluz aktorów i aktorek z czasem zaczyna brać siebie na serio, wygłaszać „opinie“, mieć czelność paradowania jako arbitrzy dobrego smaku. Świat anglosaski od 100 lat ciężko tu zawinił przed sądem historii. Francuzi są większymi realistami i huma-

nistami w tej dziedzinie, podobnie jak Włosi. I tak w Paryżu z jednej strony doroczne przedstawienie wszystkich gwiazd na cele dobroczynne „Le Gala des Artistes“ jest nieodmiennie prawdziwym przedstawieniem cyrkowym, a z drugiej strony przyjmuje się jak sprawę normalną zasadę, iż każda aktorka jest „k“, tym większą im wyżej stojącą na firmamencie teatralno-filmowym. I nikogo nic nie obchodzi co nawet tak dobrzy aktorzy jak Jean Gabin czy Jean Belmondo myślą, na przykład, o Szekspirze czy o ubezpieczeniach społecznych albo bimetalizmie. Oni są „les comedians“ — komedjanci, ich zadaniem jest „donnez des repliques“ — odstawianie partii. Za to są wspaniale płaćni. I na tym koniec. Pięciu owłosionych wyjwców na pewno nie zostałoby kawalerami Legii Honorowej. Może bardzo niewielkiej „Palmy Akademickiej“. Ale to jest niepewne.

Wstęp przydługi, ale wywiad „Świata“ (Nr 1.056 z 4 lipca 1965) z p. Zbigniewem Wąchałem, dyrektorem Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych zaciekał bardzo i to na wielu poziomach jednocześnie; coś tak jak z tymi trzema arenami cyrków amerykańskich. A swoją drogą protest przeciw nim zakładam uroczysty. Mam nadzieję, iż Wąchal podzieli moje zdanie: to przecież tylko rozpraszanie uwagi widza i utrudnianie pracy poważnym artystom.

Obecnie po raz pierwszy 39 polskich artystów cyrkowych bawi w Stanach. Wszystko ludzie młodzi, „roczniki 38-45“ trochę zanadto po wojskowemu podaje p. Wąchal, i wszystkich kategorii: trapeziści, akrobaci wszelkich podziałów, poskramiacze. Wielu pracuje w największym koncercie Ringling Bros, Barnum and Bailey. Do niedawna, przed letnimi wakacjami, występował on w Madison Square Gardens, największej hali widowiskowej w Nowym Jorku.

W Polsce artyści cyrkowi są szkoleni w bazie w Julinkach.

W Stanach dużym powodzeniem cieszyli się Metzner, Okpizówna i Gregoliński — świetni akrobaci parterowi i Adela Śmieja, pogromczynie siedmiu lwic i tygrysa. Nawiasem mówiąc jest to jeden z najtrudniejszych zespołów zwierzęcych, prawie tak niebezpieczny jak podbiegunowe niedźwiedzie. P. Wąchal w związku z tymi wrażeniami podał dużo ciekawych danych statystycznych na temat cyrku w Polsce — tego prawdziwego. I tak w roku 1964 w Polsce działało 11 cyrków o 22.400

miejscach; odwiedziło je 3.9 miliona widzów. Szereg polskich cyrkowców występuje w Europie na dłuższych kontraktach jak pogromca Basta w cyrku Sarasaniego we Włoszech, duet Moses w paryskiej „Olimpii“, zespół akrobatów Spyta, komicy Ostrowscy w Finlandii, Kordzimowie — wrotkarze w Szwecji, Jan Sitkiewicz — „żelazna ręka“ na Węgrzech. Cyrki polskie, zespołowo, odwiedziły już Sowiety, Węgry i Bułgarię. Ponurym i przynębiającym zgrzytem jest informacja, iż clown Dworakowski uzyskał III nagrodę na, pożał się Boże, Festiwalu Kłowniady w Pradze czeskiej. Aż się na nudności zbiera. Od towarzyszy poczucia śmieszności, a zwłaszcza własnej śmieszności wymagać nie należy, ale „Festiwal Kłowniady“. Doprawdy...

Bardzo interesujące natomiast są reakcje p. Wąchała i jego zespołu na warunki amerykańskie. Podzielał je zresztą z własnego doświadczenia całej ekipy. I tak zauważa, bardzo słusznie, iż tamtejsze cyrki rozwijają się w kierunku „jakiegoś wielkiego broadwayowskiego music-hall“. Zgoda — i szkoda. Innymi słowami ciężkim wysiłkiem osiągnięta iluzja, ewoluuje w disneyowskie nabieranie gości. Poza tym skomercjalizowanie widowisk stało się czymś tak natrętnym, iż gasi przyjemność odwiedzin cyrku. P. Wąchał ma stokrotnie rację, skarżąc się na hordy napastliwych sprzedawców wszelakiego chłamu, atakujących gości przeciskających się na swoje miejsca. Na nieprzyzwyczajonego robi to wrażenie, iż bezcelne mordy przejdą lada chwila do rękoczynów dla pokonania „oporności kupowania“ — sales resistance.

Polscy cyrkowcy przeszli przez gorączkę kupowania samochodów. Teraz są w fazie kupowania japońskich tranzistorów, telewizorów przenośnych oraz małych, ruchomych lodówek. To im też przejdzie. Tęsknią za domowym chlebem, kiebasą i kapustą. Jakże im współczuję i jakże rozumiem po zjedzeniu chyba dwudziestu porcji narodowego przysmaku amerykańskiego „Chicken à la King“ w ciągu około trzech miesięcy i po złożeniu uroczystego ślubowania, iż tego paskudztwa nigdy więcej w życiu nie tknę. Nawet pod alkoholowym znieczuleniem i nawet pod groźbą popełnienia nietaktu towarzyskiego. Wbrew pozorom, są jednak jakiegóż granice — nieprzekraczalne i ostateczne — upodlenia na znojnej drodze pątnika i emigranta. „Chicken à la King“ jest jedną z nich.

★

„Stolica“ (Nr 25/915, rok XII, 20 czerwca 1965), przynosi ostrożny komentarz wstępnej hagiografii na temat majora Henryka Dobrzańskiego, „Hu-

bala“. Jak wiadomo poległ on 30 kwietnia 1940 roku w opoczyńskim. Lepiej by „Stolica“ mileżała. Sam fakt, iż nieoceniony Mel Wańkowicz (...nieoceniony, owszem — ale w jakiej gotówce? — jak mawiał pewien wydawca Melowych książek...) poświęcił „Hubalowi“ książkę, musiał być dla „Stolicy“ ostrzeżeniem. Nawet teraz, kiedy stary spryciarz wykombinował się na dostojnego obrońcę wartości kulturalnych. Już sam fakt, iż Mel wywachał „Hubala“ świadczy, iż było w tym całym interesie coś nie zupełnie przyjemnego oraz ...możliwości zarobkowe, koniunkturalne. „Hubal“ nie „poddał“ się Niemcom. Bardzo to szlachetnie brzmi. Zorganizował „Wydzielony Oddział Kawalerii“ i prowadził partyzantkę wbrew zakazowi gen. Grota-Roweckiego, podówczas komendanta ZWZ.

Major Dobrzański i jego oficerowie nie zdjęli mundurów i długich butów a przyjeżdżając do Warszawy, np. po prostu nakładali na nie cywilne płaszcze. Nawet jako symbol, cokolwiek by nie pluskał Mel za pieniądze MON'u bodajże, na ten temat (...może wydał zresztą swoją książkę w PAX-ie. Wychodzi na jedno...) Było to mordercze błaźństwo tej klasy co, na szczęście bardzo rzadkie w Polskich Siłach Zbrojnych, mordowanie niemieckich jeńców przez „patriotycznych“ sadystów. Poza tym partyzantka „Hubala“ i moralnie i wojskowo bezsensowna, skrupiła się morderczymi represjami na ludności okolic gdzie działał. Tego rodzaju „nadawanie wydźwięku działalności partyzanckiej“ należało nawiasem mówiąc do znanych chwytów sowieckich od zawsze. Nie z powodu zbieżności taktyki, jednakże, wspomniała „Stolica“ smutnego i tragicznego warchoła. Ale oto jego oficer por. inż. Modest Iljin pozostawał w kontakcie z inż. Stanisławem Nowickim, członkiem Sztabu Głównego GL i AL. Szydło w worku jest. Od paru lat reżym znów nakręca uląską koniunkturę. Nie ma ataków na „bohaterszczyznę“ ale jest płk Załuski i ciepłe wzmianki o „naszych chłopcach powietrznych“ z Pomorskiej Dywizji Spadochronowej i o kandydacie na ludowego Włostka lat sześćdziesiątych płk Rozłuckim, ongiś kadecie Korpusu Kadetów Nr 2 we Lwowie, kawalerze autentycznego „Virtuti Militari“ za Powstanie Warszawskie i ex-członku AL. Miecio Moczarski przesadził w „narodowym komunizmie“ (...„wy jesteście biali, ja jestem czerwony. Nie ma trudności: polski sztandar jest biało-czerwony“. I pomyśleć, iż nawet dziś w Roku Pańskim 1965-tym, durnie idą na lep takich prymitywów...) i dostał od „nadziaratielej“ po karku, ale atmosfera jest. I „Hubal“, niestety, do niej pasuje.

STEFAN WÓYCICKI

ORGIA W OPERZE

REPREZENTACYJNA opera londyńska Covent Garden, która nigdy nie należała do bardzo przedsiębiorczych, jeśli chodziło o wystawianie utworów z ostatnich czterdziestu lat, zdobyła się ostatnio na pokazanie publiczności londyńskiej dzieła, które dotychczas miało opinię zupełnej niescenicznosci; mowa tu o „Mojżesz i Aaronie“ Schönberga. Trzeba przyznać, że kierownictwo Covent Garden dołożyło wszelkich starań, aby zapewnić swojemu wystawieniu „Mojżesza“ coś więcej, niż czysto teoretyczny sukces, jaki osiągnęły wystawienia tej opery w Zurychu i Berlinie. Cel ten został osiągnięty w zupełności: bilety na sześć przedstawień „Mojżesza“, przewidzianych na sezon obecny, zostały rozchwytywane i powtórzenie przedstawień w przyszłym sezonie zostało już zapewnione. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że sukces londyński „Mojżesza“ opierał się nie na nagłej popularności trudnej i surowej muzyki Schönberga, a wyłącznie na opróśnieniu posmakami skandalu reżyserii świętego reżysera Królewskiego Teatru w Stratfordzie, Piotra Hall'a.

Na kilka tygodni przed premierą uwagę publiczności zaczęły przykuwać wzmianki w prasie o kolosalnej scenie orgii, zajmującej niemal cały drugi akt opery, która rzekomo miała budzić duże zastrzeżenia cenzury. Specjalna próba z udziałem zaproszonych „Przyjaciół Covent Garden“ (członków rodzaju klubu, popierającego finansowo operę), wzbudziła wśród nich silne sprzeciw; przeważały głosy w rodzaju „Skandaliczne! Niesmaczne! Bezwstydne!“ Duże oburzenie podniosło się na skutek udziału „zwierząt ofiarnych“ na scenie; słowem zanosilo się na skandal i demonstracje na premierze. Władze policyjne, na wszelki wypadek, przydzieliły kilku członków dla ochrony porządku w gmachu. Bilety, rzecz jasna, zostały wyprzedane do ostatniego miejsca; starsi panowie przybyli na przedstawienie zaopatrzeni w potężne lornetki polowe. Dawno już Londyn nie miał takiej sensacji teatralnej przed premierą.

Niestety, bez względu na sukces finansowy (jeśli można o takim mówić w związku z imprezami operowymi), artystycznie przedstawienie nie spełniło pokładanych w nim oczekiwań. Trudno

(Dokończeniu na str. 46)

MIĘDZY PLOTKĄ I ANEGDOTĄ

Komu zawdzięczamy atmosferę uwielbienia i kornego szacunku w stosunku do ruchowo-słuchowego fenomenu znanego jako „popsy“?

Pytanie aktualne w całej Europie, choć źródło swe ma w Anglii, która jest świątynią główną i głównym legowiskiem beatli oryginalnych i naśladowczych.

Na pytanie to w pierwszym impulsive każdy odpowie: oczywiście zwiariowana młodzież. Ze szczególnym uwzględnieniem nowego gatunku ludzkiego, znanego pod mianem „teenagers“ czyli naścielatki.

Jest coś dziwnego w tym określeniu. Eliminuje w nazwie zjawisko płci. Teenagery, naścielatki, dzielą się na chłopców i dziewczęta dopiero przy bliższym poznaniu. Wówczas, gdy dochodzimy w badaniach do differencja specifica. Lecz w podziale zasadniczym współczesnej społeczności teenagery są grupą pozapciową. Tak jakby ludzkość dzieliła się na mężczyzn, kobiety i teenagerów.

Nie wiem czy to dobrze czy źle i czy wszędzie jest jednakowo pod tym względem. Wiem wszakże, że winę czy zasługę za panowanie i dyktaturę popsów nad naszym życiem ponoszą dorośli.

ZŁOTY CIELEC ELEKTRYCZNEJ GITARY

Ci sami dorośli, co przed trzema laty powitali ze zgrozą nową manierę w tańcu i porykiwaniu zastępującym śpiew. Zgroza ustąpiła rychło chęci „naukowego rozpracowania zjawiska“. Zabrali się do niego rażno ludzie tak różni pod względem upodobań i zawodów jak duchowni z jednej i fryzjerzy z drugiej strony. Najzwawiej, zacierając rączki z radości, koło zjawiska popowego zakreślił się socjolog, wzywając w sukurs pedagogów, lekarzy i przede wszystkim psychologów.

Jak wiadomo, do pomocy psychologów uciekamy się w drugiej połowie dwudziestego wieku, ilekroć nią dopisze rozsądek. Czyli bardzo często. Opinia psychologów spełnia w naszym życiu rolę kubek w kubek podobną do tej, którą przed tysiącami lat spełniała wroczenia delficka. Nic z niej zrozumieć nie można, ale brzmi bardzo przekonująco.

Zgodnym wysiłkiem stwierdzono więc, że popsy to nie muzyka (z tym można by się zgodzić) lecz styl życia naszej epoki. On poddyktuje przyszły kierunek rozwoju naszej kultury. Cała reszta kultury ma się popsem pokłonić a my, szarzy ludzie, mamy się też pokłonić błyszczącej gitarze elektrycznej jako uczynili Izraelici przed złotym cielec pod nieobecność Mojżesza.

POPSOWY STYL ŻYCIA

Może to i mądre a przynajmniej śmiałe jako pomysł. Przypadło nad wyraz do gustu producentom tychże gitar, tudzież płyt patefonowych. A także popowym kompozytorom i wykonawcom. Nigdy nie było takiej szansy dorobienia się sławy i forsy przy tak minimalnym nakładzie pracy. Wystarczą drgawki ciała i sztuka zawodzenia przez nos. Pieniądże tą drogą

zdobyte wystarczą rozsądniejszym kapłanom popsowym na spokojny byt do końca życia. Tego zdania są ojcowie popotwórcości czyli oryginalne beatlesy. Nie mają żadnych złudzeń co do trwałości swej kariery. Mądrzy chłopcy.

SPÓŹNIENI W ROZWOJU, JAK ZWYKLE DOROŚLI

Encyklopedia brytyjska opracowuje obecnie studium naukowe o kulturze popowej, które ma ozdobić jej następny „Book of the Year“. Radzę się śpieszyć, bo wiele przemawia za tym, że zanim uczeni kulturoanaliticy wykończą swe badania, sprawa będzie nieaktualna. Popsy zaczynają nudzić młodzież. Są „passé“. Trąca myślą. Już dziś młodzież chce zrozumiałych słów w piosenkach i o zgrozo największe powodzenie zaczynają mieć płyty, w których przy pewnej tolerancji można się dosłyszeć melodii. Co będzie za parę miesięcy?

Przemysł rozrywkowy już zwąchał pismo nosem. Przystaje odnawiać kontrakty ze spółow popsowych. Angażuje na ich miejsce normalne zespoły jazzowe lub specjalistów od pseudo-ludówek, udających balady.

Można być pewnym, że skoro tylko popsy zostaną przez uczonych awansowane definitywnie do rangi osiągnięcia kulturalnego młodzież definitywnie o nich zapomni.

A szkoda, że nie będzie popsów. Dwa lata się męczyłem by się do nich przyzwyczaić. Więc póki czas nastawiam głośnik ku ucieście mojej córki.

NASTOLATKI W AUREOLI

„Nie prawdą jest, że młodzież współczesna składa się z samych chuliganów, imbecyli, narkomanów i sex-maniaków“ — oświadcza coraz to który pedagog, publicysta, mąż stanu, biskup, lub dyrektor szpitala wariatów.

Ciesz się mnie to, bo zawsze byłem tego zdania.

Lecz bawi mnie nagła chęć wybielania wszystkiego co się do wczoraj najstaranniej oczerniało. Nożowniki, sex-maniaki, amatorzy marijuany i barbituratów, modsy, rockery i inne okazy uznano „za wyjątki“, którymi nie warto się interesować.

Warto natomiast zabrać się poważnie do studiów nad zachowaniem normalnej młodzieży. Zwłaszcza nad zachowaniem seksualnym. Co myślą, co wiedzą i czego chcą „w tym względzie“. Odkrycia są zdumiewające.

Na przykład taki program telewizyjny BBC zorganizowany przez Michała Schofielda, noszącego na dzisiaj nieco przydługi tytuł Dyrektora Ośrodka Badań przy Głównej Radzie Wychowania Zdrowotnego. Tytuł nie dodał powagi jego postaci ani wagi tym nielicznym uwagom, jakie udało mu się wtrącić w dyskusję pięciorga młodych chłopców i dziewcząt nad zagadnieniem życia płciowego.

Piątka zdała za to egzamin na piątkę. Z inteligencji ogólnej, ze swady, z umiejętności dyskusji, z... jakby to powiedzieć dogłębnej znajomości przedmiotu i przede wszystkim z bajecznego poczucia humoru, na którym niestety p. Schofield zgoła się nie poznał.

Z dyskusji pięknie ozdobionej scenami baletowymi wynika, że współczesne nastolatki wiedzą o płci tyle ile wiedzieć powinny, to znaczy tyle ile wiedzieć można. Interesuje ich w chwilach wolnych od innych zajęć i ujmują pod przewodem uczonego swe zainteresowania w statystyki.

Okazuje się, że większość dziewcząt „chciałaby i boi się“ zupełnie, jak za czasów Boya. Z tym wszakże, że 96 procent pragnie donieść swe dziewictwo przed ołtarz. Znużonych dziewictwem jest tylko dwa procent. (Nie mogą się doliczyć dwóch procent do pełnej setki). Natomiast tylko sześć procent dziewcząt życzy sobie by ich przyszli mężowie „nie zasnali innej przed nią“ mówiąc stylem biblijnym. To zestawienie spowodowało trafny raczej wniosek arytmetyczny wśród dyskutantów, że trudno będzie te życzenia ze sobą pogodzić jako z sobą sprzeczne. Bo niby jak? I na to dyskutująca młodzież znalazła odpowiedź, której wolę nie przytaczać.

„Nastolatki w aureoli“ skomentował program londyński „Daily Telegraph“

Bawi mnie ta kpina, bo ja też posypuję solą dane statystyczne i lubię je sprawdzać optyczną obserwacją życia.

Jedno jest pewne. Anglia wstydzi się dotychczasowej pruderii i chce za wszelką cenę przelicytować się z resztą Europy w odwrotnym kierunku. Gdybyż jeszcze pozbyła się hipokryzji... I gdyby swobodzie obcowania płci towarzyszyło nieco więcej wdzięku i odrobina „elan“, wówczas nie martwił bym się wcale o młode pokolenie wyspiarzy.

TUNEL POD ALPAMI

Odległość między Francją i Włochami skróciła się ze 120 na 15 kilometrów. Tunel pod Alpami ukończono i „uroczyście otwarto“, przy udziale prezydentów Francji i Włoch. Przedstawiciela Szwajcarii de Gaulle nie dopuścił do udziału w uroczystości z przyczyn sobie tylko wiadomych.

Dosyć kwaśno wypadło jego przemówienie z tej okazji. Widocznie nie w smak mu poszło przemówienie prezydenta Segni, który mówił o likwidacji granic, o jedności Europy i zanikaniu różnic między narodami. De Gaulle ograniczył swój entuzjazm do prawdziwego stwierdzenia, że łatwiej i wygodniej jechać tunelem niż przez zasypane śnieżne i że 15 kilometrów to niewątpliwie mniej niż 120.

13 NUMER MIESIĘCZNIKA „ORZEŁ BIAŁY“

Redakcja „Orla“ starannie unika samochwalstwa i różne drobne jubileusze pomija zwykle milczeniem. Nie wiem czy czyni słusznie, gdyż wiadomą jest rzeczą z obserwacji polityki redakcyjnej innych czasopism, że jak się sam nie będziesz chwalił, to cię inni także chwalić nie będą.

Przejrzałem za to dość spory stos listów z pochwałami od czytelników. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że bardzo przyjemnie je czytać, ale właściwie ogłaszać nie ma celu. Bo trochę to monotonne. Wolelibyśmy krytyki. To znaczy rzeczowe krytyki i wskazówki. Bo krytyki w rodzaju „za dużo do czytania, nie ma kiedy przeczytać“ albo „dlaczego nie wydajecie 120 stron, byłoby więcej do czytania“ są niestety mało przydatne.

Żart na stronę. Z ręką na sercu możemy się skromnie pochwalić, że udało się nam zrobić z „Orla“ miesięcznik w typie magazynu, z którego ludzie są na ogół zadowoleni. Nie było to łatwe. A oczywiście nie zrobiliśmy nawet połowy z tego na co mieliśmy ochotę. Z czego nie wypływa wniosek, że z zamierzeń zrezygnowaliśmy. Przeciwnie mamy nadzieję, że będziemy mogli dalej wzbogacać treść „Orla“, montując coraz to nowe tematy i doprowadzając go do stanu, w którym w pełni odpowiadając będzie słowu „współczesność“ w podtytule.

J. P. H.

POD SŁODKIMI KASZTANAMI

CZEKALI na nas wczesnym rankiem na dworcu w Awinionie. Jak co roku. Śliczna Germaine, ziewający Tadeusz, nieogolony Marceli. Na powitanie nie ma czasu. Od razu zjawia się spora lista rzeczy, które mamy kupić i duże, sznurkowe torby. Dopiero po godzinie wjeżdżamy na most na Rodanie.

Za nami zostaje miasto papieży. Z daleka patrzy na nas tajemnicza góra. Mont Ventoux. Petrarca, opisując swoje wrażenia z wycieczki na Wietrzną Górę, przytacza słowa św. Augustyna, które tam — na szczycie — przeczytał: „I chodzą ludzie podziwiać szczyty gór, i wzdęte fale morza, i szerokie nurty rzek, i przestwór oceanu, i kręgi gwiazdne, a siebie zaniedbują... Słowa te biegną po drodze za nami, jakby je niósł na swych skrzydłach wiatr. Może kiedyś, za parę lat, dotrą na szczyt Mont Ventoux. Na razie cieszę się samym dźwiękiem jej nazwy. Pamiętam z dzieciństwa opowiadanie. Nosiło tytuł: „Nad dalekim, cichym fiordem“. Nie chciałam tego opowiadania przeczytać. Bałam się, treść będzie niegodna tytułu. Może ten sam strach wstrzymuje mnie i teraz przed zwróceniem się w stronę tajemniczej góry i zdobyciem jej szczytu.

Śniadanie jemy obok Pont du Gard. Stoi sobie ten most od lat tysięcy, jak starzec z podwiniętymi do kolan spodniami, moczy nogi w rzece i przygląda się sobie w wodzie. Liczy w niej odbicia księżyca nocami i grzeje się w słońcu całymi dniami.

— Ten, na pewno, nie będzie miał lumbago! — wzdycha Adam.

Postawili Pont du Gard Rzymianie jako część akweduktu doprowadzającego wodę do picia do Nîmes. Ostał się olbrzym przez tyle wieków. Urodziwy i mocny.

— Cóż znaczymy my i naszych parę marnych lat na ziemi? — powiada Marceli. — Ten most coś widział i już się chyba niczemu nie dziwi. Uspokoił się w swojej doskonałości. A my? Ciągłe w pogoni za czymś... czego nie osiągniemy!

— Marceli, zjesz kanapkę z szynką czy chcesz kawałek kielbasy? Powąchaj! Polska. Z Londynu. — Tadeusz grzebie w koszyku wyjętym z samochodu.

Marceli wzdycha i wyciąga rękę po kanapkę z szynką.

W Nîmes zatrzymujemy się w ogrodzie de la Fontaine otaczającym rzymskie łaźienki. Jest gorąco. W kawiarence pod drzewami jemy lody. Pod nami, w labiryncie łaźienek, spuszczone wody

i robotnicy czyszczą dno. Gromadka łańdździ człapie niezadowolona po błocie. Ptaki syczą gniewnie: oddać nam wodę, oddać wodę! Wybieram sobie największy ze słomkowych kapeluszy, których zapas zawsze z sobą wozi Tadeusz, i ruszam w stronę Maison Carrée. Stoi na niewielkim placu otoczony domami. Gdy się tu przystaje — myśleć się musi o Atenach. Jakie to szczęście, że Colbert nie przeniósł tej świątyni do parku w Wersalu. Miał ponoć taki zamiar. Tomasz Jefferson, amerykański mąż stanu i prezydent Stanów Zjednoczonych, gdy pełnił funkcję ministra pełnomocnego przy Wersalu, odbył podróż po Francji i Włoszech, w latach osiemdziesiątych osiemnastego wieku. W liście z Nîmes nazywa zabytki tego miasta: „the most perfect remains of antiquity which exist on earth“. Zaś o Maison Carrée powiada: „Here I'm... gazing whole hours at the Maison carrée, like a lover at his mistress...“.

I można patrzeć na to dziwo godzinami. Nikt nie przeszkodzi. Czas w Nîmes płynnie powoli. W sklepiu na placu obok Maison można kupić śliczne „santons“. Małe figurki z szopki prowansalskiej. W zimie odbywa się specjalny jarmark na „santons“ w Marsylii przy ulicy Canebière, głównej ulicy miasta. Mówią mieszkańcy Marsylii, że „gdyby Paryż miał Canebière — mógłby być malutką Marsylią“.

Germaine odebrała czarnego pudelka, Jahlkę, od „fryzjerki“. Z „salonu piękności“ dla pudli. Piesek wita się z nami radośnie, a potem — zmęczony widąc wrażeniami — zasypia mi na kolanach nagle i niespodziewanie. Jedziemy dalej. Mijamy poważne cyprysy, otaczające opiekunczo uprawne płachetki ziemi. Pochylone pod uderzeniami wiatru, który szaleje często na ziemi prowansalskiej, wyglądają na tle niebieskiego nieba jak zielone wykrzykniki. Góry są coraz bliższe i bardziej niebieskie. Pomnie swej nazwy. Droga pnie się wyżej i wyżej. Otóż i wiszący niemal nad ziemią na zloczu zameczek z dwoma wieżyczkami, dalej miasteczko, nieporządknie wzdłuż paru uliczek rozrzucone i jesteśmy już prawie u kresu podróży.

Parę domków przycupnęło w górskiej dolinie. Wioseczka o dziwnie brzmiącym i pachnącej nazwie. Przerobiliśmy i przykleiliśmy — jak do słóiczka z konfiturami — swoją nazwę do tej wioszczki. Boże Kwiatki. Przejeżdżamy przez mostek na rzeczce. Nad tarasem farmy Tadeusza szumią słodkie kasztany. Pełno ich wokół domu. Lipa jest tylko jedna.

— I Kochanowskiego nie była ładniejsza! — mawia Tadeusz.

Nawet Marceli przyznaje, że ta lipa: „to piękność zakłeta w drzewo“. W drzwiach domu czeka na nas wuj Germaine'y. Nazywamy go wszyscy Mon Oncle. Ma ogromną, siwą czuprynę, białe wąsiska i ponad osiemdziesiąt lat. Nie wiem dlaczego zdaje mi się zawsze, że to Colas Breugnon we własnej osobie. Na kamiennej ławce pod oknem siedzi Ninon. Sjamka.

— Ona miauczy, bo jest głodna, A, nie dlatego, że was widzi — wyjaśnia szybko Tadeusz. — Chodźcie do domu. Zobaczycie jej dzieci. Mają trzy tygodnie.

Kociaki śpią w sieni na krześle. Istna piramidka. Jedno na drugim. Podobne są do siebie jak dwie — a raczej trzy — krople wody.

— Poznaje się je po ogonkach — wyjaśnia Germaine. — Jeden kociak ma ogonek prosty ze zgrubieniem na początku, drugi ogonek skręcony na końcu. A ten trzeci nazywa się Agaton, i ma ogonek skręcony w środku. Urodę odziedziczyły trochę po mamusi, trochę po tacie.

Ojcem kociej trójki jest duży sjamczyk, schłopiały i zezowaty. Odznacza się słodyczą charakteru i gadatliwością. Kiedy siedzi na stołku w kuchni, wystarczy pogłaskać go po głowie i poprosić:

— Powiedz coś, Maciusiu!

I Maciuś, głosem grubym jakby zakatarzonym, wymrukuje kocie płotki.

Farma, na której od szeregu lat gospodaruje Tadeusz, fundamentami rytymi w skałę, sięga dwunastego wieku. Miejscowa pogwarka łączy historię farmy z historią zamku na pobliskim wzgórzu. Ponoć przed wiekami, potężny seigneur zakochał się w wiejskiej dziewczynie. Nie mogąc ukochanej wprowadzić na zamkowe pokoje, zbudował dla niej u stóp zamkowego wzgórza dom i połączył go podziemnym przejściem z zamkiem. Z zamku zostały już dziś tylko ruiny. Mieszkają w nich węże i sowy. Farma ostała się. W jej podziemiach śpią snem wiecznym pochowani tam jej dawni mieszkańcy. Zgodnie z miejscowym obyczajem, datującym się od czasów wojen religijnych.

W sieni farmy, do której wchodzi się z tarasu, na ścianach wiszą rogi jelenie. Na kominku stoją garnki polewane i w szklanej skrzynce wypchany borsuk. W rogu sieni króluje stara, „wyprawna“, polska skrzynia. Mizdrzy się misternymi okuciami. Przywędrowała do Francji w tamtym stuleciu, razem z

jakąś polską rodziną szukającą pracy poza rodzinnym krajem. Tadeusz kupił ją za grosze w graciarni, dokąd trafiła po śmierci swych właścicieli. I dobrze. Niech się nie tuła wśród obcych. W sieni, w skrytce, mieści się też „piwniczka“ Tadeusza. Jego sławne koniaki. I nalewki. Mocne jak „sto diabłów“ — ale dobre. Zwłaszcza taka żółtawa w wielkim słoju. Pływa w niej jedna pomarańcza i kilka ziarenek kawy.

Po powstaniu warszawskim, Tadeusz postanowił ruszyć śladem dawnych pielgrzymów, na południe Francji. W góry. Zdała od wszystkiego co by mu przypominało wojnę, okupację, powstanie. Trafili sobie do serca: mała sewenńska wioseczka, stara farma pod słodkimi kasztanami i Tadeusz. Zamieszkał w domu. Ozdobił jego wnętrze, i wprowadził do tego wnętrza „kruszynek“ Polski. Za Tadeuszem przywędrowali do farmy pod słodkimi kasztanami i inni wojenni rozbitkowie. Germaine i Mon Oncle. Germaine była w Ravensbrück. Wyszła z obozu „w kawałeczkach“ — jak mówi Tadeusz. Musiała się na nowo uczyć żyć w normalnym świecie. Podczas jakiegoś przyjęcia, pewna markiza, stara i dystyngowana, zapytała słodko:

— Germaine, a jak was tam, chérie, karmili w tym obozie?

Markiza przeżyła wojnę w bezpiecznym miejscu i rozumiała się na niej tyle co „kura na pieprzu“. Po tej rozmowie, Germaine doszła do wniosku, że nie pasuje do tego całego „normalnego“ środowiska. Ruszyła w ślad za Tadeuszem na wieś, zabierając ze sobą wuja. Mon Oncle — jak i Germaine — za udział we francuskim podziemiu spędził parę lat w niemieckim więzieniu. Bito go i katowano. Nie stracił jednak swej pogody ducha i dobrego humoru. Wspaniałymi, marsylijskimi kawałami potrafił rozruszać nawet Marcelego.

Marceli zjawił się potem. Tadeusz zetknął się z nim w czasie wojny, potem w powstaniu. Zaprzyjaźnili się mimo różnicy wieku. Starszy Tadeusz traktował młodszego Marcelego po koleżeńsku. Od czasu do czasu prawił mu ojcowskie kazanie. Marceli znalazł się po wojnie w Paryżu. Biedował i kończył studia malarskie. O przeszłości i tym co przeżył nie chciał z nikim rozmawiać. Był sam i chciał być sam.

— Mówię wam, spotkałem go na ulicy. Mizerny i nędzny, jak ten kociak płaczący się po deszczu. Ledwom go poznał — narzekał Tadeusz. — Robił wróżenie lampy, w której zepsuła się żarówka. I zgasała.

Marceli, od tego spotkania z Tadeuszem, pracował przez siedem miesięcy w

roku w Paryżu. Ilustrował książki. Na wiosnę czyścił swą pracownię. Wynosił uczciwie wszystkie śmiecie, oddawał klucz gospodyni i wyruszył starą „cytrynką“ na farmę w Sewennach. Brał ze sobą farby, pędzle i stalugi. Całe lato malował i wędrował po Prowansji i Camargue. Na farmie mieszkał na piąterku. Wdrapywał się tam po drabinie z kuchni. Nie wadził nikomu. Sumiennie zmywał garnki, karmił kury i prowadził słowne pojedynki z Tadeuszem.

Na koniec, na farmie pod słodkimi kasztanami i jedną lipą, zjawiliśmy się i my. Przyjęto nas serdecznie i po prostu. Germaine zawiozła Adama do Marsylii, aby sobie obejrzał port, w którym przed laty wylądował w drodze do gromadzącej się we Francji armii polskiej.

— Ot, pognało nas po świecie! — gderał Tadeusz. — Tobie spieszyło się na wojenkę. Młody byleś, smarkacz można powiedzieć, a już rwało się to na front.

Tadeusz ma jedną wadę. Lubi gderać. Teraz w kuchni, po naszym przyjeździe, znowu zaczyna: gder, gder, gder. Wychodzę więc na taras. Coś ociera mi się o nogi. Potem odskakuje z głośnym: miauu, miauu. Pszit! Teraz uświadamiam sobie, że brakowało mi go w obrzędach powitalnych. Pszit, kocisko czarnobiałe, ma naderwany koniec ogona, postrzępione uszy, futro poniszczone i łapy jak grabie. Znalazła go Germaine opuszczonego nad rzeczką. Przyniosła na farmę i powiedziała:

— Zostanie!

— Nie zostanie — sprzeciwił się stanowczo Tadeusz.

Nakarmił kota, opatrzył i wyrzucił za drzwi. Germaine znalazła go znowu i przyniosła z powrotem.

— Zostanie!

— Nie zostanie!

W międzyczasie, wśród ciągłego „zostanie“ „nie zostanie“, kocisko rosło jak na drożdżach, pasło się w kuchni i przywiązało do swego imienia. Nie miał żalu za wyrzucenie za drzwi. Przyzwyczajony był do swobody i świeżego powietrza. Gdy nadeszła zima, zasmakował jednak w ciepłym palącym się dzień i noc pieca w jadalni i ukrywał się za nim w najciemniejszym miejscu. Jednego wieczora, na dworze szalał wiatr, Tadeusz zdrzemnął się na kanapie. Nagle uczył za plecami ciepłą poduszkę, drgającą równo: mrr, mrr, mrr. Pszit! Zakradł się w to niebezpieczne ale strategiczne miejsce. I wygrał sprawę. Obronił swą pozycję wśród domowników farmy i został. Jak dawniej kocha swobodę. Włóczy się całą wiosną i lato. W zimie śpi w kącie za piecem.

Miauk kota wywołuje z kuchni Tadeusza.

— Pszituś głodny?

— Miau! ...

Tadeusz, w pasiastym fartuchu, nie się sporą miskę z dziwaczną mieszanką: mięso, kartofle, chleb, mleko, jajko.

— Pszit gwizdże na jakość, dba tylko o ilość. Prawda Pszituś?

Z dachu kurnika dochodzi w odpowiedzi pracowite ciamkanie.

Rano wita nas słońce. Zagłada do naszego pokoju przez malusienkę okienka. Po śniadaniu idziemy nad strumyczek. Siadamy obok niewielkiego wodospadu. Opodał przycupnęła na plamie słonecznej żabka.

— Dobrze tej żabce! — Marceli obserwuje swą towarzyszkę leżącą na brzuchu na kamieniach. Mówimy, że mamy jedno życie. Mnie się wydaje, że mamy ich kilka. Czy to prawda, że biegaliśmy po polskich lasach i polach przed wojną i łapali żaby? Odgrywały w pewnym okresie wielką rolę w moim życiu. Po prostu żaby nie dawały mi spokoju. Najedłem się nawet na wakacjach u ciotki na obiad kijanek. Chciałem przeprowadzić doświadczenie: czy będę miał żaby w brzuchu. Ale i dostałem wtedy lanie! Od ciotki, od wuja, od babci. Retyl!... kiedy to było? Czy na prawdę było w moim życiu?

Zaczyna się śmiać. Teraz dopiero widać jaki ładny i miły jest śmiejący się Marceli.

— Ot powitać! — woła do nas krępy Wańcia z łączki nad strumykiem. Przyjdziecie do mnie?

— Przyjdziemy.

Po południu drapiemy się przez łąki pod górę. Wańcia mieszka wysoko. Za ruinami starego zamczyska. Dom Wańci jest duży a widok z niego piękny. Zaprasza nas do kuchni na koniak i czarną kawę. Mówi po polsku i po rosyjsku. Urodził się gdzieś w kijowskiej ziemi. Matka była Rosjanką, ojciec podobno Polakiem. Wańcia w czasie ostatniej wojny był w sowieckiej armii. Dostał się do niemieckiej niewoli i już do Rosji nie wrócił.

— Do niewoli to ja się dostałem przez jednego Polaka, inżyniera ze Lwowa. Porządny to był człowiek. Miał ładne dzieci. Pracował przy moście i chciał uciec. To go złapali i chcieli rozstrzelać. Wiadomo — wojna. Rozkazu trzeba słuchać. Ale ... Żal mi było człowieka. Ratować chciałem ... no i tak się dostałem do niewoli. Potem pracowałem w kopalni. Dobrzy ludzie poradzili tu dom kupić, aby na starość mieć dach nad głową. I tak sobie teraz tu żyję. Kraj ładny. Sąsiedzi nienajgorsi. Gazety polskie czytam.

— A „skuczno“ wam czasem? — pytam.

Wańcia zamyśla się i po chwili kiwa głową.

— Czasem ciężko samemu! — mówi

cichutko. — Wtedy tylko praca ratuje.

Oglądamy dom Wańci. W pokoju na piętrze, przez wyjedzone przez korniki dziury w drzwiach, wlatują i wylatują ptaszki.

— Ptaszki u was mieszkają.

— Tak i ja im nie przeszkadzam. Miejsca dosyć dla mnie i dla nich.

Wracamy obok zamku. Nad naszymi głowami przesuwa się nisko chmura. Przez chwilę padał deszcz a teraz wspinała tęcza łączą jakby pomostem wieżę zamkową i sąsiednie szczyty.

Wieczorem na tarasie Germaine opowiada o kłopotach sercowych Wańci. Wańcia ma dwie miłości. I sam nie wie co ma zrobić. Jednym słowem: „osiółkowi w żłobie dano...“. Jedna miła nazywa się Luba. Uciekła z Rumunii przed prześladowaniami sowieckimi. Rodzina jej była zamożna i znana. Ona sama studiowała w Paryżu na uniwersytecie. Pewnego dnia zdecydowała się nagle Paryż opuścić. Ubrała spodnie, męską koszulę i powędrowała w góry. Zamieszkała niedaleko Bożych Kwiatków, w opuszczonym pasterskim szałasie i zaczęła paść kozy. Pracowała ciężko, ale dziś już ma własną gromadkę kóz. Żyje jak się jej podoba. Panie z opieki społecznej próbowały ją „nawrócić“ i „przywrócić“ do porządnego życia. Nie wiele pomogły ich wizyty w szałasie na przelęczu. Za późno — stwierdziła ze smutkiem. Wojna i strach przed rosyjską policją widać coś tam w tej dziewczynie zmieniły. Nie chce znać ludzi, ani z nimi współżyć. Trzeba więc zostawić ją w spokoju. Wańcia zaglądał do szałasów Lubej. Podobała mu się. Chciał jej pomóc. Dał pieniądze na sukienkę. Za te pieniądze Luba kupiła kozom różne smakołyki.

— Po co mi sukienki? Zwierzętom i górcom i tak się podobam.

— Onaż niesamowita... — wzdychał Wańcia. — Rozum ma męski, nie boi się nikogo, a po deszczu biega bez żadnego przyodziewku i śpiewa, ale zrozumieć trudno.

Dzień kończymy na tarasie i zaczynamy go od śniadania pod lipą i kasztanami. Rano przychodzi a raczej przyjeżdża listonosz. Jahlha nie lubi go. Pilnujemy więc, aby mu nie zrobiła krzywdy. Niestety, udało się jej dopaść go jednego dnia. Dziura na spodniach pana listonosza wyraźnie świadczyła na niekorzyść Jahlki.

— Takaś ty! — rozeźlił się Tadeusz. — Za karę pójdziesz do komórki.

Podniósł psa do góry i powędrował w stronę kurnika, gdzie się owa komórka znajdowała. Sprawa psa i listonosza musiała go porządnie zdenerwować. Opuścił trzymane w ręce listy na ziemię. Jeden był już otwarty. Wysypały się z koperty fotografie. Nowe, robione niedawno. Inne poźółłke i zniszczone.

Na samym wierzchu znalazła się fotografia młodej dziewczyny. Była to jedna z tych starych i poźółłkich fotografii. Wiatr poruszył liśćmi kasztanu. Wydawało się nam, że drzewo jęknęło. A, może to nie drzewo a Marceli? Patrzył na fotografię z przerażeniem, jakby oczom nie wierzył. I, nie ruszał się z miejsca.

— Tego psa nauczę w końcu porządku! — Tadeusz wrócił i zaczął zbierać listy. — Swoją drogą, że nikt z was nie podniósł. A, temu co się stało?

Pytanie odnosiło się do Marcelego. Zerwał się nagle z miejsca i pobiegł w stronę garażu. Usłyszeliśmy po chwili jego auto na drodze.

— Moja kuzynka — wyjaśniał Tadeusz układając fotografie — przysłała mi te zdjęcia. Miała dwie córki. Jedna Malina wyszła teraz za mąż. Druga starsza, Anka, zginęła w powstaniu...

Patrzyliśmy w to miejsce, gdzie na ziemi pozostał ślad po listach i fotografiach. Agaton w pogoni za muchą przebiegł po piasku i ślad się zatarł.

Na kolację dostaliśmy kwaśne mleko i zapiekane kluski.

— Zostawcie porcję dla Marcelego i Pszita.

Zostawiliśmy. Sprawiedliwie. Przed zachodem słońca postanowiła Germaine zabrać nas na przelęcz w górach nad wiosieczką. Na przelęczu znajduje się grób żołnierzy francuskiej armii podziemnej, którzy tam w czasie wojny zginęli. Kiedy auto nasze wydrapało się na górę i przystanęło — dopiero wtedy zobaczyliśmy Marcelego. Siedział pod krzyżem i plótł wianek z górskich kwiatów. taki sam, jaki robią dzieci w czasie zabawy na łące. Kiedy spojrział na nas zrozumieliśmy, że dla niego w tej chwili czas cofnął się o lat dwadzieścia. Niebieskie oczy patrzyły na nas tak, jak musiały patrzeć na gruzy zasypanych zmarłych i żywych w czasie tamtych dni. Germaine podeszła szybko do Marcelego. Siadła obok niego i wzięła go za rękę. Tadeusz wrzucił bezradnie ramionami.

— Tak to jest! Wydaje się, że człowiek zapomni. Ale są rzeczy i sprawy silniejsze od nas i naszego zapomnienia. Nie da się oddzielić tego co było, od tego co jest...

Marceli położył niedokończony wianek na płycie grobowca. Patrzyliśmy teraz na zachód słońca. Wiatr nadciął od strony Pirenejów. Pogładził liście na drzewach, przeczesał trawę, musnął nas po twarzach i zbiegł w dół. W stronę farmy pod słodkimi kasztanami. Na płycie grobowca można było jeszcze odczytać słowa napisane przez Wiktora Hugo: „Ceux qui pieusement sont morts pour la Patrie. On droit qu'à leurs cerceuils la foule vient et prie...“

Barbara Mękarska

P. C. A.

PUBLICATIONS LTD.

PROWADZI WŁASNĄ

KSIĘGARNIĘ SPK

— bogato zaopatrzoną w prasę, wydawnictwa emigracyjne i krajowe,

— posiadającą skład główny (na zasadzie wyłączności) wszystkich wydawnictw: INSTYTUTU IM. GENERAŁA SIKORSKIEGO,

POLSKIEGO TOW. HISTORYCZNEGO W WIELKIEJ BRYTANII.

POLSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO,

— zaopatrzoną we wszystkie książki wszystkich wydawców emigracyjnych.

★

Kupując polskie książki i pisma:

— sprawiasz sobie dużą przyjemność,

— spełniasz obowiązek obywatelski,

— pomagasz autorowi, wydawcy i polskim instytucjom,

— krzewisz najlepiej polskie słowo na emigracji.

★

Polska książka w polskim domu

— to najlepszy i najwierniejszy przyjaciel,

— to kulturalna rozrywka i odpoczynek,

— to najważniejszy sposób pielęgnowania ojczystego języka!

★

WSZELKIE ZAMÓWIENIA
POCZTOWE
ZAŁATWIAMY ODWROTNIE

Adres:

**20, Queens Gate Terrace,
London, S. W. 7.**

Tel.: KNI 3500

SKRADZIONY

LORD Peabody spotkał Donałda McKeogh niemal że u progu Peabody Hall, wiejskiej rezydencji rodziny Peabody. Jego lordowska mość był bardzo podniecony.

— Pan McKeogh? Moja żona pragnie się natychmiast z panem widzieć. Simpson zanieś pana walizki do gościnnego pokoju i odstawia pana samochód do garażu. Niech pan pozwoli za mną.

Nie mając wyboru, Donald szybko podążył za gospodarzem. Po przejściu ogromnej sieni i trzech pokoiów w amfiladzie detektyw znalazł się oko w oko z dostojnie wyglądającą kobietą dobrze już po czterdziestce, ale ze śladami dużej niegdyś urody. Przypominając sobie przeczytaną pośpiesznie rano notatkę w „Who's who“ („Drużyna lady Peabody, aktorka“), skłonił głowę:

— Witam panią, lady Peabody.

— Pan mnie zna? — zapytała z mimicznym zdziwieniem dostojna pani.

— Oczywiście tylko z widzenia — skłamał Donald. — Niejednokrotnie widziałem pani fotografię — chyba w „Tatlerze“.

— Proszę, niech pan siada — uprzejmym gestem wskazała mu fotel, siadając na kanapie. — Pan się domyśla, dlaczego poleciłam pana tu wezwać?

— Nie zdążyłem jeszcze pana o niczym poinformować — wyjaśnił lord Peabody, ciągle jeszcze stojący przy fotelu Donałda.

Rzuciła mu groźne spojrzenie.

— Całe szczęście. — Lepiej zostaw tę całą sprawę mnie, Fryderyku. I siadaj; denerwujesz mnie, tak stercząc nad nami.

Lord Peabody posłusznie usiadł, a pani domu zwróciła się znowu do Donałda.

— Zdaję sobie sprawę, że nie mam powodu mieć przed panem sekretów — powiedziała. — Ostatecznie, aby nam

dopomóc, musi pan przecież wiedzieć, o co chodzi.

Na tak logiczną uwagę Donald mógł tylko skłonić potwierdzająco głowę.

— Stała się rzecz potworna, po prostu niesłychana — ciągnęła lady Peabody. — Portret pierwszego lorda Peabody, pędzła Romneya, został dziś w nocy ukradziony.

— Przypisywany Romneyowi — poprawił lord Peabody.

— Pędzła Romneya — powtórzyła z naciskiem jego żona, ignorując jego uwagę.

— Czy jest podejrzenie, że sprawcy mogli się dostać z zewnątrz? — zapytał Donald.

— Gdyby tak było, nie uciekalibyśmy się do pańskiej pomocy — odpowiedziała pani domu. — Niestety, to wydaje się być wykluczone. W nocy w ogrodzie biegają psy, a poza tym nie ma najmniejszych śladów włamania. To musiał zrobić ktoś, kto przebywa w tym domu.

— Nie przesadzajmy — zaproponował lord Peabody. — Obecni włamywacze potrafią śladu po sobie nie zostawić. Jeżeli ktoś mógł w biały dzień wynieść z muzeum Goyę...

— To nie znaczy, że mógł w nocy wynieść od nas Romneya — przesądziła sprawę lady Peabody.

— Kogo pani podejrzewa? — zapytał Donald.

— Bardzo trudne pytanie — wzruszyła ramionami pani domu. — Służba jest z nami od wielu lat, a poza tym mamy tylko trzy osoby z rodziny: ciotkę Fryderykę, którą ma obecnie siedemdziesiąt lat i jest kompletnie głucha, naszego siostrzeńca Dawida, studenta z Oksfordu, i dalekiego kuzyna męża, Sir Montague Boxhill-Peabody. Sam pan widzi, że sprawa nie jest łatwa.

— Czy są jakiegokolwiek poszlaki? — kontynuował swoją indagację Donald.

Lady Peabody zawahała się na sekundę.

— Widzi pan — powiedziała, pochylając się ku detektywowi — Dawid jest zamieszany w rozmaite polityczne ruchy. Wiem, że protestował maszerując i siedząc przeciwko eksplozjom atomowym. Ta historia z Goyą mogła mu nasunąć pomysły domagania się wykupu na tego rodzaju cele.

— Nonsens! — oburzył się lord Peabody — Dawid za dobrze zna się na sztuce, żeby wykraść tego rodzaju bohomaż bez wartości.

Lady Peabody majestatycznie podniosła się z kanapy.

— Proszę cię, Fryderyku, zachowuj

się przyzwoicie. Nie jesteś z przyjaciółmi w knajpie po polowaniu. Nawać portret pędzła Romneya bohomażem, może tylko człowiek pozbawiony kultury i klasy społecznej.

Audiencja była najwyraźniej skończona. Donald udał się do swego pokoju, aby ułożyć plan batalii. Po drodze dowiedział się od lorda Peabody szczegółów o tajemniczym zniknięciu portretu, który po prostu zniknął w przeciągu nocy.

— Jak kamień w wodę! — zakończył swoje opowiadanie gospodarz, wzruszając ramionami.

Sumując wieczorem zebrane informacje, Donald musiał przyznać, że nie przyniosły one ciekawego materiału. Butler Simpson i pokojówka Mary potwierdziły opowiadanie pana domu, kucharka oświadczyła, że ma wystarczająco dużo roboty w kuchni, żeby nie oglądać portretów rodziny Peabody (w rzeczywistości opatrzyła rodzinę Peabody soczystym epitetem, niezupełnie nadającym się do powtórzenia), ogrodnik ani rusz nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Rozmowy z członkami rodziny również nie posunęły sprawy naprzód: głucha ciotka istotnie okazała się głucha, jak pień, co jej nie przeszkodziło opowiedzieć Donaldowi długiej i skomplikowanej historii o nieszczęśliwym małżeństwie „kochanej Diany“, o której Donald ani przedtem, ani potem nie słyszał; Sir Montague Boxhill-Peabody lapidarnie stwierdził, że „wszystkie te głupie obrazy nadają się tylko na rozpalkę“, ale przestępcę, który ukradł Romneya, należałoby smagać batami; Dawid pogardliwie wyraził się o brakującym portrecie, że to kicz, i że gdyby nawet był to prawdziwy Romney, jakim bezwątpienia nie jest, nie zmieniłoby to w najmniejszym stopniu jego opinii.

Następnego dnia lady Peabody znowu wezwała Donałda na audiencję.

— Jest pan na tropie? — zapytała.

— Są pewne poszlaki, ale za wcześnie byłoby o tym mówić — skłamał Donald.

Odpowiedz tą najwyraźniej zadowolili jego rozmówczynię, bo pozwoliła mu się oddalić, przypominając mu o artystycznych i historycznych wartościach zaginionego portretu.

Sumując rezultaty swoich badań, Donald starał się zastosować swoją ulubioną metodę eliminacji, ale tym razem nie dawała ona zadawalającego wyniku. Skradziony portret wydawał się mieć niewielką wartość artystyczną i rynko-

BIBLIOTEKA „KULTURY“

Tom XCIX

Wincenty Witos

MOJE WSPOMNIENIA

*Dokument pisany ręką wielkiego
wodza chłopów polskich
i czołowego męża stanu Polski
współczesnej*

Trzy tomy o łącznej objętości
1.325 stron

Cena: £ 6.10.0, F. 87.00, \$ 18.00

W Wielkiej Brytanii do nabycia w
GRYFIE — 171, Battersea Church
Road, London, S. W. 11, oraz we
wszystkich księgarniach polskich

P R Z O D E K



wą; mimo uporczywego przypisywania go przez panią domu Romneyowi inni świadkowie, których opinia miała znaczenie, zgodnie odmawiali dziełu wartości. Kto u licha, mógłby się połazczyć na trzeciorzędne malowidło o wątpliwym autorstwie, kiedy w ubogiej zresztą galerii Peabody Hall wisiał jeden autentyczny Cotman i dwa Cromey? Donald wykluczał kradzież w celach zysku. W takim razie pozostawało tylko podejrzenie studenckiego kawału ze strony Dawida. Możliwe, że chłopak nie podejrzewał, że lady Peabody weźmie sprawę tak do serca (lord Peabody nie wydawał się specjalnie do portretu przywiązany) i wezwie prywatnego detektywa, a teraz boi się przyznać. W tym wypadku sytuacja się komplikowała, bo Peabody Hall był dużym budynkiem, pełnym zakamarków i schowków, i odszukanie sporego nawet portretu byłoby bardzo skomplikowanym zadaniem.

Na wszelki wypadek podzielił się swoimi podejrzeniami z lady Peabody, którą oświadczyła przy obiedzie, że czynając od następnego dnia, cały budynek zostanie przeszukany pod jej osobistym nadzorem. Oświadczenie to nie zrobiło na pozór żadnego wrażenia na Dawidzie, ale Donald postanowił w nocy czuwać. Nie było wykluczone, że sprawca kawału mógł starać się wynieść malowidło poza dom. Dawid znał psy, pilnujące domu w nocy, i nie potrzebował się ich obawiać.

Plan strategiczny Donalda polegał na obserwowaniu trzech możliwych wyjść, którymi mógł się posłużyć przestępca. Ze swej sypialni mógł obserwować oba wyjścia od strony ogrodu. Wyjście frontowe było zawsze co wieczór uroczyście zamykane przez Simpsona na sztaby i łańcuch i hałas, wywołany usiłowaniem jego otwarcia, musiały sprawdzić niepożądanych świadków. Zaopatrzone w mocną latarkę elektryczną, Donald po kolacji usiadł przy oknie w swoim pokoju, zgasiwszy światło. Według jego obliczeń, nie należało się spodziewać akcji nieprzyjaciela przed upływem dwóch godzin, kiedy cały dom będzie już pogrążony w głębokim śnie.

Musiałoby już być dobrze po pierwszej w nocy, kiedy Donald posłyszał przelotne skrzypnięcie stopnia schodów, z którymi łączył się korytarz, prowadzący do jego pokoju. Nadstawił uszu: tak, nie było najmniejszej wątpliwości — ktoś ostrożnie schodził po schodach. Nie namyślając się długo, detektyw wysunął się z pokoju i powoli posunął się w kierunku ciemnych schodów. Tajem-

niczy ktoś wyprzedził go i znajdował się już na dole. Donald wiedział, że jeżeli teraz skieruje światło swojej latarki w jego kierunku, bez trudu będzie mógł rozpoznać nocnego spacerowicza. Nacisnął guzik i w strumieniu światła zobaczył lorda Peabody w szlafroku, trzymającego pod pachą portret.

— To pan? — szepnął zdumiony.

Lord Peabody, oślepiiony, mrugał bezradnie oczami.

— Kto to? — zapytał niepewnie.

— Donald McKeogh — wyjaśnił detektyw.

— Niech pan przestanie na mnie świecić i zejście do mnie, to panu wszystko wytłumaczę — z rezygnacją powiedział niefortunny gospodarz.

Siedząc wygodnie w fotelu z kieliszkiem whisky w rękę i patrząc na podobiznę pierwszego lorda Peabody (przypisywaną Romneyowi), Donald słuchał żalostnej historii pana domu.

— Ten przeklęty portret do grobu mnie wpędzi — zalił się lord Peabody między jednym łykiem whisky, a drugim. — To już ta ostatnia kropla, która przelewa czarę.

Donald spojrział na niego pytająco.

— To długa historia, panie McKeogh — westchnął gospodarz. — Postaram się ją skrócić do minimum. Widzi pan, kiedy rozszedłem się z moją pierwszą żoną, postanowiłem za wszelką cenę trzymać się z daleka od życia towarzyskiego. Ja, proszę pana, mam gusty farmerskie: lubię gospodarstwo, polowanie, trzy kufle piwa ze sąsiadami w miejscowym lokalu. A moja pierwsza żona nic, tylko przyjęcia, wizyty, utytułowani goście, rodzina — myślałem, że zwiariuję, więc kiedy spotkałem moją obecną żonę, pomyślałem: no, z nią takich problemów nie będzie.

— Pańska małżonka była aktorką, prawda? — przerwał Donald.

Lord Peabody zachichotał w kieliszek.

— Można to i tak nazwać. Owszem, występowała w West Endzie — w Windmill, w jak najbardziej minimalnym kostiumie. Ach, panie McKeogh! Jaki ta kobieta miała biust! Marzenie!

— I ożenił się pan z nią — Donald niecierpliwiał się.

Lord Peabody spochmurniał.

— Ożeniłem się. W rodzinie trochę się krzywiono, ale przeszło. I co pan powie? Wpadłem zpod deszczu pod rynnę: Penelopa okazała się najbardziej lgnącą do tradycji, dbała o imię rodziny, o pozory i o nasze stanowisko towarzyskie w całym hrabstwie. Mało tego, że wydajemy wielkie przyjęcia; przy-

szło jej do głowy zostać mecenaską sztuki. Sprowadza do Peabody Hall artystów, którzy przed zaproszonymi gośćmi grają kwartety Bartoka — słyszy pan, Bartoka! — i śpiewają pieśni Schoenberga. Ostatnio przebąkują coś o festiwalu w Peabody Hall. Pan rozumie, jak wygląda moje życie? Tragedia!

— Ale co temu jest winien portret? — niecierpliwiał się Donald.

— Portret? To proste: żaden z Peabodych nie interesował się zbyt sztywką, więc, jak pan to mógł zauważyć, nasz zbiór obrazów jest ubożuchny. Mamy wprawdzie Cromey'a i Cotmana, ale kogo obchodzi szkoła z Norwich? Penelopę bolało to okropnie, więc wygrzebała gdzieś na strychu ten portret, kazała go odrestaurować i wmowiła w siebie, że to Romney. To nawet niegłupie, bo Romney sporo kiczów namalował, ale cóż, kiedy to nie Romney! Ale Penelopa się uparła i portret wisi w „Romney Room“ na honorowym miejscu, i tam właśnie grają te nieszcześnie kwartety. To już nad moje siły! Ja już dłużej nie mogę słuchać tej muzyki, patrząc równocześnie na ten bohomasz!

— No, ale co dalej? — zapytał Donald.

Lord Peabody wzruszył ramionami.

— Dalej? Ponieważ pan wykrył moją zbrodnię, trzeba będzie powiesić to poskudztwo nad kominkiem i cierpieć dalej w milczeniu. Chyba że... — tu spojrział błagalnie na Donalda.

— Że co? — zapytał Donald.

Lord Peabody przysunął się do niego.

— Panie McKeogh, niech pan mi pozwoli wynieść tę płamę na rodzinnym honorze poza dom. Przysięgam, że nikt się ode mnie nie dowie!

— Co pan chce zrobić z tym portretem?

— W końcu ogrodu jest stara studnia, zarosnięta i zniszczona. Jej dno, to idealne miejsce dla tego przedmiotu — z pogardą wskazał na portret. — Nikt go nigdy nie odnajdzie. Błagam pana!

— A mój honor zawodowy? — zaoponował Donald.

— Pan przecież wykrył przestępcę. Honor jest uratowany. Ja panu zapłacę podwójne, nie! potrójne honorarium. Niech pan nie odmawia!

Donald zawahał się.

— Pewien jest pan, że to nie Romney? — zapytał z powątpiewaniem, patrząc z odrazą na malowidło.

— Pewniejszy niż tego, że się nazywam Peabody!

— No, to idziemy do tej studni — powiedział Donald odstawiając kieliszek.

Wojciech Stefański

W CZERWCU 1940 r. 1 Dywizja Grenadierów, zorganizowana i wyszkolona w bretońskim obozie Coëtquidan, tam gdzie dziś znajduje się słynna francuska szkoła oficerska Saint-Cyr, weszła do akcji w Lotaryngii. Szczytowym punktem jej walk była obrona kanału Marna-Ren pod LAGARDE i VAUCOURT 17 i 18 czerwca, gdzie grenadierzy musieli szturmem i walką wręcz odrzucać niemieckie oddziały, którym udało się sforsować kanał. W czasie tej krótkiej kampanii Dywizja straciła ok. 900 zabitych i 4000 rannych — są to straty wyjątkowo ciężkie i świadczą dobitnie o zaciekłości walk.

25 lat później, przy pokojowym biciu w dzwony, 19 czerwca o godz. 16-ej grenadierzy spotkali się ponownie na placu przed merostwem Lagarde. Na ich czele gen. Bronisław Duch, b. dowódca Dywizji, w mundurze, a przy nim grupy przybyłe z różnych bliższych i dalszych stron. Z 21-osobową grupą z Wielkiej Brytanii przybył mjr. Stanisław Lis, prezes Związku Grenadierów oraz płk. dypl. O. Dunin-Borkowski, płk. dypl. J. Wawrzekiewicz, mjr. dypl. A. Kapis, mjr. A. Strzygowski, mjr. W. Nowak, kpt. dr W. Mayer, kpt. dr P. Niekraszewicz, kpt. dr J. Bryliński, por. B. Domański, por. J. Niedenthal, por. S. Radziwoń. Z grupą z Paryża dr Czesław Chowaniec prezes ich Koła we Francji.

Gen. Duchowi towarzyszy wiele osobistości francuskich cywilnych i wojskowych, reprezentujących prefekta, miasto, władze wojskowe i nawet miasto Nancy. Oddziały amerykańskie, stacjonujące w Lotaryngii reprezentuje płk. Burns.

Zebrani formują się w pochód ze sztandarami na czele. Pierwszy staje sztandar bojowy 2 Pułku Grenadierów, przywieziony z Instytutu gen. Sikorskiego w Londynie. Sztandarowym jest mjr. dypl. Bolechowski, a w poczcie mjr. Gwóźdź i kpt. Pierścianowski.

Pochód udaje się do kościoła, gdzie przy wejściu gen. Ducha wita miejscowy proboszcz. Po uroczystym nabożeństwie kompania honorowa wojska francuskiego oddaje honory sztandarowi 2 Pułku, gen. Duch przechodzi przed jej frontem i idzie przed pomnik poległych, gdzie ustawiono nową tablicę ku czci poległych grenadierów. Generał ją odsłania, ks. infułat K. Kwaśny, Rektor Polskiej Misji Katolickiej we Francji, poświęca i wygłasza krótkie przemówienie, w którym przypomina o jaką sprawę, o jakie ideały oddali życie ci, którzy w czerwcu 1940 r. walczyli pod Lagarde. Kolejno zabierają głos przedstawiciele władz francuskich i tematem ich przemówień jest jedno — oddanie hołdu żołnierzowi polskiemu. W specjal-



nie gorących słowach wyraża się płk. Giorgi, z-ca mera historycznego miasta Nancy, tak związanego z Polską przez Stanisława Leszczyńskiego. Na zakończenie w imieniu mera Nancy, dra Webera wręcza gen. Duchowi medal honorowy miasta. Ostatni przemawia gen. Duch. Zwracając się do płk. Giorgi generał prosi o przekazanie merowi Nancy podziękowania za otrzymaną przed chwilą medal tego miasta podkreślając, że uważa to za zaszczytne wyróżnienie żołnierzy 1 Dywizji Grenadierów. Kończąc przemówienie wręcza merowi Lagarde specjalnie artystycznie wykonaną odznakę 1 Dywizji Grenadierów i dyplom, prosząc, by je przechowywał wraz z historycznymi pamiątkami miasta.

Następnie przeniesiono odsłoniętą tablicę do kościoła, gdzie została ona przymurowana do jednej ze ścian. Figurę na niej po francusku następujący napis: „17 i 18 czerwca 1940 roku 1 Dywizja Polskich Grenadierów powstrzymała zaciekle ataki armii hitlerowskiej. Dla upamiętnienia tych sławnych i krwawych dni i dla oddania hołdu oficerom i żołnierzom poległym za Polskę i za Francję, ich koledzy, zebrani dla uczczenia tej bitwy, poświęcają tę tablicę pamiątkową“.

Po tej uroczystości mer i rada miejska Lagarde podejmowały grenadierów lampką wina w merostwie. Wieczorem tego dnia w Metz grenadierzy zebrali się na wspólną koleżeńską kolację.

„PIĘKNE WCZORAJ“ PIERWSZEJ DYWIZJI GRENADIERÓW

Nowo ufundowany
i poświęcony pomnik
na cmentarzu
w Dieuze.

DIEUZE

Główna uroczystość 25-lecia walk 1 Dywizji Grenadierów odbyła się najazutrz w Dieuze, podobnie jak to miało miejsce, co pięć lat od zakończenia wojny. Dieuze jest związane z grenadierami tym, że tutaj znajduje się ich cmentarz wojenny. Cmentarz tym droższy, że powstał on i został uporządkowany niemal całkowicie wysiłkiem Związku Grenadierów przy niezwykle ofiarnej pracy górników-kombatantów ze wschodniej Francji i młodzieży. Zwieziono tu ciała poległych, z całego szlaku walk Dywizji (obecnie spoczywa tu już ponad 250 poległych, ale prace i ekshumacje w terenie trwają), cmentarz pięknie udekorowano kwiatami i krzewami, teren nabyto na własność i obecnie postawiono w środku pomnik. Należy się za to uznanie.

Normalnie z biegiem czasu pamięć o walkach zamiera a 25 lat to długi okres. Toteż nic dziwnego, że organizatorzy uroczystości nie liczyli na zbyt tłumny udział rodaków. W okolicach Dieuze ich nie ma, wszyscy muszą przybyć z dalszych miejscowości. Tu spotkała jednak wszystkich niespodzianka — do Dieuze zjechało ponad 30 autobusów i kilkaset samochodów, ponad 3 tysiące rodaków — jeździ nie więcej. Ponad 90 sztandarów. Wzruszającym był obraz dziatwy i młodzieży w strojach narodowych — grupa za grupą przychodziły na plac przed kościołem, jak na konkurs, jak by każda miejsco-

LAGARDE- DIEUZE

wość chciała się specjalnie wyróżnić. Trudno było uwierzyć, że jest się we Francji.

Mszę św. w pięknym nowoczesnym kościele odprawił ks. infułat Kwaśny, a kazanie wygłosił O. Stolarek, b. kapelan grenadierów, kawaler Virtuti Militari. Po nabożeństwie rada miejska urządziła w merostwie przyjęcie dla grenadierów, w czasie którego, po przemówieniu powitalnym mera i odpowiedzi gen. Ducha, podobnie jak w Lagarde generał wręczył dla miasta, na ręce mera, odznakę i dyplom Dywizji.

Obiad koleżeński odbył się w kasynie oficerskim 13 pułku spadochroniarzy które dowódca tego pułku odstąpił gościnnie grenadierom. Po obiedzie uformował się pochód, który zatrzymał się pod pomnikiem poległych Francuzów. Tu D-ca 13 Pułku Spadochroniarzy płk. de Courson, reprezentujący władze wojskowe, odczytuje pismo Gubernatora Wojskowego VI Rejonu, znanego gen. Massu skierowane do gen. Ducia i grenadierów. Gen. Duch składa wieniec pod pomnikiem, oddział spadochroniarzy prezentuje broń. Udajemy się na cmentarz. Na czele pochodu sztandar 2 Pułku Grenadierów, któremu ustawiona przy wejściu na cmentarz kompania honorowa spadochroniarzy oddała honory wojskowe.

Ks. infułat Kwaśny odprawia modły, poświęca nową część cmentarza i świeżo postawiony pomnik.

Pierwszy zabrał głos mer i kończąc zarządził chwilę ciszy dla oddania hołdu poległym. Po nim przemawiał prezes „Union Nationale des Combattants“, jednego z najsilniejszych i najstarszych związków kombatanckich francuskich. Następnie doskonale przemówienie wygłosił prezes polskiej Federacji Obronców Ojczyzny Franciszek Kędzia i wreszcie gen. Duch. Rozpoczął od odczytania listu gen. Andersa skierowanego do grenadierów.

* * *

PRZEMÓWIENIE GEN. DUCHA

„Jestem wdzięczny Opatrzności Bożej za to, że mogę dzisiaj w tym zakątku wiekistej ciszy — wraz z Wami Koledzy Grenadierzy i wraz z Wami Drodzy Rodacy oddać hołd głęboki i cześć pamięci naszych Kolegów, którzy 25 lat temu w tragicznych dniach czerwca 1940 roku oddali swoje życie za Polskę i Francję w walce z najazdem hitlerowskim.

Zginęło wówczas w ciężkich walkach odwrotowych około 900 grenadierów. Tutaj na tym cmentarzu spoczywa ich ponad 250-ciu. Część poległych Kolegów znajduje się na innych, dobrze utrzymanych cmentarzach — ale największa ilość śpi snem wiecznym w nieznanych mogiłach i kurhanach, które już dawno dzikim zielskiem porosły — bo w tych walkach odwrotowych nie zawsze było rzeczą możliwą dla nas grzebać poległych Kolegów ze względu na odchodzenie z terenu, w którym toczyły się walki, zaś Niemcy chowali we wspólnych mogiłach, nie stawiając przeważnie nawet krzyża na grobach.

3-cia Dywizja Strzelców Karpackich, którą miałem zaszczyt później dowodzić miała 1021 poległych w ciągu 16-miesięcznej kampanii we Włoszech i trzeba wziąć pod uwagę, że 3-cia Dywizja Strzel. Karpackich miała znacznie więcej bitew. W cyfrze tej mieszczą się już najcięższe straty, jakie 3-cia Dyw. Strzelców Karpackich poniosła w najbardziej zaciętej i krwawej bitwie o Monte Cassino.

Porównanie czasu walk i strat w obu tych dywizjach świadczy o olbrzymim natężeniu walk, jakie prowadziły oddziały 1-szej Dywizji Grenadierów.

Największe napięcie tych walk miało miejsce niedaleko stąd pod miejscowością Lagarde-Vaucourt nad kanałem Marna-Ren, na odcinku obronnym 2-go pułku Grenadierów Wielkopolskich. Niemcy zachłyśnięci i zahypnotyzowani zwycięstwami w Belgii i północnej Francji i wzięciem Paryża — nacierali z furją, lekceważąc siebie przeciwnika.

Dnia 17-go czerwca parokrotnie wdzierali się na południe od kanału w

pozycje obronne 2 pułku Grenadierów i za każdym razem byli wyrzucani z taką samą furją przez oddziały odwodowe 2-go pułku Grenadierów.

Niemcy skoncentrowali swój wysiłek główny na południe od Lagarde i siły ich stale narastały, podczas gdy siły 2-go pułku grenadierów szybko się wyczerpywały i topniały. Wieczorem 17-go czerwca 2-gi pułk grenadierów zużył już wszystkie swoje odwody w przeciwnatarciach, a Niemcy wdarli się głęboko w jego pozycję obronną.

Położenie stało się niebezpieczne, bo pozostawienie Niemców na południe od kanału przez noc groziło rozbiciem dywizji w dniu następnym i załamaniem się całej linii obrony 20-go Korpusu, w skład którego dywizja wchodziła. Uratować sytuację mogło tylko wyrzucenie Niemców na północ od kanału jeszcze tej samej nocy.

Nakazałem telefonicznie jednemu odwodowi dywizji — Oddziałowi Rozpoznawczemu stanąć w gotowości bojowej i sam udałem się natychmiast na linię bojową, gdzie wydałem wszystkie rozkazy do przeciwnatarcia i dopilnowałem jego organizacji i wykonania.

Oddział rozpoznawczy Dywizji wraz z oddziałami 2-go pułku grenadierów ruszył do przeciwnatarcia już po zapadnięciu zmroku i w zaciętej walce wręcz Niemcy zostali całkowicie wyrzuceni na północ od kanału. Przeciwnatarcie to bardzo skutecznie wspierały obydwa pułki artylerji dywizyjnej koncentrując ogień na przeprawie i na północ od Lagarde.

Już po wojnie dowiedzieliśmy się, że przeciwnatarcie polskie pod Lagarde wprowadziło u Niemców duże zamieszanie



Lagarde — na czele pochodu sztandar 2 Pułku Grenadierów Wielkopolskich

nie i że d-ca niemieckiej dywizji gen. Straube został odznaczony przez Hitlera jednym z najwyższych orderów za „oprowadzenie kryzysu bitwy pod Lagarde nad kanałem Marna-Ren“. Od tej chwili Niemcy z wielkim respektem posuwali się przed frontem polskiej dywizji.

W kilka dni później nastąpiła katastrofa — tragiczna kapitulacja Francji i kapitulacja wojsk francuskich na terenie walk — ale 1-sza Dywizja Grenadierów nie skapitulowała i to jest nasze polskie zwycięstwo w tej tragedii francuskiej, polegające na tym, żeśmy dochowali wierności żołnierskiej na polu bitwy do ostatniej chwili i nie złożyliśmy broni.

Nakazałem rozsadzić działa, zniszczyć ciężki sprzęt, zakopać akta i sztandary i przedzierać się drobnymi grupkami do nieokupowanej Francji w ogólnym kierunku Tuluza-Bordeaux i później do Wielkiej Brytanii.

Na jednym ze Zjazdów Legionowych Marszałek Piłsudski, mówiąc o wartościach żołnierza legionowego wypowiedział taką myśl „Szanujcie i bądźcie dumni z waszej przeszłości — kochajcie waszą żołnierską tradycję i to wasze „piękne wczoraj“ wyrosłe na polach walk — ono da wam siły na dzisiaj i na jutro“.

Jeżeliśmy się dzisiaj tak licznie zgromadzili, to właśnie to „piękne wczoraj“ nas tutaj ściągnęło. W rzeczywistości to „piękne wczoraj“ nie było wcale takie piękne — było koszmarnie — przyniatające i zatykające dech w piersiach — ale równocześnie — jakżeż wielkie swoją ofiarą i czynem — i dlatego pozostanie ono dla nas zawsze jako „piękne wczoraj“.

Należy ono nie tylko do nas żyjących grenadierów, ale również do ojców i matek, do braci i sióstr poległych grenadierów i do całej Polonii francuskiej, bo żołnierze 1-szej Dywizji Grenadierów niemal w całości to Wasi Synowie. Wysoko nieśli oni sztandar Polski walczącej i okryli chwałą żołnierską całą Polonię francuską na pokolenia.

My grenadierzy, którzyśmy wyszli cało z tej wojny i cała Polonia we Francji jesteście dłużnikami poległych grenadierów, bo żyjemy Ich stawą, którą oni życiem opłacili. Dług ten spłacić możemy wobec Opatrzności Bożej i wobec poległych, pracując ile sił nam starczy dla sprawy wolności i pełnej niepodległości Polski. To nie jest pusty frazes — proszę pomyśleć ile razy każdego z nas mógł ten sam los spotkać w okresie wojny — który spotkał tych kolegów, którym dziś oddajemy hołd i cześć.

Rzucam myśl ufundowania skromnego pomnika na polu bitwy w rejonie Vaucourt-Lagarde. Może to być duża



Na cmentarzu w Dieuze — Ks. Infułat K. Kwaśny odprawia modły. W tyle, od prawej: gen. B. Duch w towarzystwie mera m. Dieuze p. R. Husson, mjrna S. Lisa — prezeasa Związku Grenadierów i inż. J. Szczeniowskiego — przewodniczącego Komitetu „Souvenir Polonais“.

była granitu czy marmuru z odpowiednim napisem. Chodzi o to, by uwiecznić tę wielką ofiarę, którą złożyła 1-sza Dywizja Grenadierów na polach Lotaryngii za Polskę i Francję.

* * *

Od pewnego czasu emigracja nasza, a zwłaszcza organizacje kombatanckie są przedmiotem specjalnych zabiegów ze strony czynników reżimowych z szefem bezpieczeństwa p. Moczarem na czele. Chodzi im o sprowadzenie naszych organizacji emigracyjnych na ich podwórko. Zapominają Ci panowie o tym, że myśmy świadomie pozostali poza granicami Kraju, aby głosić pełną prawdę o wielkiej krzywdzie, jaką Polsce wyrządzono, narzucając jej rządy oparte o wojskową potęgę Rosji.

Panowie ci między innymi czynią wysiłki zmierzające do objęcia opieki nad cmentarzami poza granicami Kraju i chcieliby wraz z nami wspólnie organizować rocznicowe uroczystości i wspólnie oddawać hołd poległym. Od tego chcą zacząć.

Czy nie uważa p. Moczar, że byłoby znacznie pożyteczniejszą rzeczą, żeby energię, którą on i jego wtyczki wkładają w rozbijanie solidarnej postawy emigracji — zużyć na zorganizowanie cmentarzy na polach Katynia — gdzie zostało zamordowanych przez Rosjan kilkanaście tysięcy naszych żołnierzy polskich i w innych miejscach kaźni na ogromnych przestrzeniach Rosji, gdzie też zginęło wiele dziesiątków tysięcy polskich żołnierzy. Ogromne te ofiary domagają się choćby najprostszego uczczenia w postaci skromnych

pomników na terenie Rosji i na terenie Polski.

Zajmijcie się też repatriacją tych wielu tysięcy Polaków, którzy dotychczas pracują jako niewolnicy w licznych kopalniach i obozach sowieckich.

Nasz emigracyjny chleb nie jest ani słodki ani lekki. Myśmy dobrowolnie 20-cia lat temu wybrali ten tułaczy los, bo walkę o wolność i pełną niepodległość naszego narodu uważamy za nasz najważniejszy obowiązek“.

Kończąc przemówienie gen. Duch dziękuje przedstawicielom władz francuskich państwowych, wojskowych i samorządowych za pomoc okazaną organizatorom uroczystości i za przybycie oraz wszystkim organizacjom polskim i osobom, które w ten czy inny sposób przyczyniły się do urządzenia cmentarza, postawienia pomnika i zorganizowania obchodu.

* * *

Obie uroczystości, w Lagarde i w Dieuze, zrobiły wielkie wrażenie na uczestnikach i na ludności francuskiej. Organizatorom należą się wyrazy uznania, a więc mrowi Lisowi, prezesowi Związku Grenadierów, drowi Chowańcowi, prezesowi Koła we Francji, a na miejscu inż. Szczeniowskiemu z Metzu i komitetowi „Souvenir Polonais“, któremu on przewodniczy, organizacjom kombatanckim we wschodniej Francji oraz tym osobom, które mimo trudności wytrwały do końca wykazując dbałość o doprowadzenie cmentarza do pięknego wyglądu i utrzymania poważnego przebiegu obchodu.

(m. cz.)

Czy Polsce grozi nadmiar wyższego wykształcenia?

W OKRESIE ostatnich dwóch miesięcy, wyższe uczelnie w Polsce zaroily się młodzieżą. Tysiące tegorocznych maturzystów zasiadło do egzaminów wstępnych. Po krótkiej stosunkowo radości, po zdanej maturze, kandydaci na pierwszy rok studiów wyższych przeżywali nowy okres psychicznego napięcia. Każdy z nich orientował się dobrze, że wynik egzaminu może być trojaki: zdał i został przyjęty, zdał ale z braku miejsca musi czekać rok, a może dłużej, albo wreszcie, nie zdał, co równa się wejściu do dziś już licznej warstwy, bezrobotnych maturzystów.

Maturzyści zdawali sobie ponadto sprawę z faktu, że na niektórych wydziałach stosunek wolnych miejsc do kandydatów w roku bieżącym jeszcze się pogorszył. Stan ten przedstawił w „Życiu Warszawy“, Jan Mariański. Piśze on, że już w roku ubiegłym na jedno wolne miejsce przypało 2,1 ubiegających się, w roku bieżącym zaś cyfra ta wzrosła do 2,4. Ale równocześnie, już w ubiegłym roku procent tych, którzy egzamin wstępny zdali ale nie zostali przyjęci z braku miejsca wzrósł do 12,3, co równa się 8.500 kandydatom. Ale już wtedy były wydziały, piśze Mariański, na których liczba ubiegających się przewyższała 8 do 10-krotnie ilość wolnych miejsc.

W czasie gdy kandydaci, którym odroczone przyjęcie w roku ubiegłym czekają na przyjęcie, do egzaminów zgłasza się nowa fala. Według „Trybuny Ludu“ z 28 czerwca br. w samych tylko liceach ogólnokształcących było w tym roku 79 tysięcy maturzystów, a praktyka uczy, że przeciętnie około 65 procent ubiega się o przyjęcie na wyższe uczelnie.

MASOWA PRODUKCJA LUDZI Z WYŻSZYM WYKSZTAŁCENIEM PRZEDMIOTEM PROPAGANDY KOMUNISTYCZNEJ

Nie da się zaprzeczyć, że zmiana struktury gospodarczej kraju wymagała i wymaga zwiększenia liczby ludzi z wyższym wykształceniem. Jednak bez zwracania uwagi na ilość i pojemność uczelni, a wyłącznie dla propagandy, reżim rozbudował szkolnictwo średnie „na wyrost“. Pociągnęło to za sobą konieczność przyjmowania na wyższe uczelnie coraz to większej ilości kandydatów, dla których nie ma dostatecznej ilości sal wykładowych, laboratoriów i pracowni eksperymentalnych. Nie ma tam ponadto dostatecznej ilości domów akademickich, a tam gdzie są, studenci

mają do swej dyspozycji tylko łóżko. Brak jest tam bowiem nawet stołów i osobnych szaf, nie mówiąc o salach, w których studenci mogliby spokojnie pracować.

Ale nie ma też prawie żadnej broszury, która by nie zawierała takich cyfr:

„W roku 1938/39 było w Polsce ogółem 32 instytucji na poziomie szkolnictwa wyższego. W roku 1953 było ich już 82, a w tym samym okresie liczba studentów wzrosła z 49,500 w 1939 r., do 139,000 w 1953, a 212,000 w 1964 r.“

Takie broszury wysyła się masami do krajów afrykańskich i azjatyckich. Nie ma w nich oczywiście żadnej wzmianki o warunkach, w jakich żyją polscy studenci, o ich niskich stypendiach, wynoszących np. na pierwszym roku tylko 1/3 stypendium, płaconego studentom afrykańskim z funduszu Lumumby, zebranego przez ludność polską. Brak jest również w tych broszurach takich szczegółów jak cyfr o polskiej stopie życiowej i zarobkach absolwentów wyższych uczelni, np. lekarza-asystenta, który zarabia 1,200 zł. miesięcznie i po długich latach osiąga 2,500 zł. Chodzi jednak tylko o to by zawracać głowę, głównie murzynom o cudach jakich dokonała Polska ludowa.

EGZAMINY WSTĘPNE

Przed 1956 r. „biblią“, którą kandydat zasiadający do egzaminu wstępnego musiał znać prawie na pamięć była książka pt. „Nauka o Polsce i świecie współczesnym“, napisana przez pięciu autorów, m. in. przez Mariańskiego, który teraz ujawniać zaczyna braki tej masowej produkcji ludzi z wyższym wykształceniem. Książka zawierała tendencyjnie przedstawione fakty i cyfry z przeszłości, całkowite przekreślenie dorobku kraju w okresie międzywojennym i uwielbianie Stalina, któremu Polska ma do zawdzięczenia dzisiejszą wolność i niepodległość. Kandydaci do egzaminu wstępnego przechodzili przez filtr wojewódzkich komisji kwalifikacyjnych; gdzie przynależność do ZMP była warunkiem rekomendacji do egzaminu wstępnego.

Jednak już z końcem 1955 r., gdy kierownictwo partii zaczęło tracić wpływ na różne dziedziny życia publicznego, niektórzy egzaminatorzy nie zawahali się ujawnić niskiego poziomu intelektualnego kandydatów. Tak np. profesor Sawicki, z wydziału prawa uniwersytetu warszawskiego ogłosił swoje spostrzeżenia w „Głosie Nauczycielskim“

z 13 listopada 1955 r. Kandydaci, piśze prof. Sawicki, nie byli zdolni do sformułowania swych myśli, operowali tylko sloganami i frazeologią „wykutą“ na pamięć. Ich znajomość historii była słaba, łaciny katastrofalna. A to są przecież młodzi ludzie, którzy w przyszłości mają prowadzić samodzielne badania naukowe. Postanowienia konstytucji znali na pamięć, ale nic nie potrafili wytłumaczyć.

Podobnie przedstawiło przebieg egzaminu wstępnego „Życie Literackie“ z 16 listopada 1956 r. Na pytanie egzaminatora, kim był ZEUS, kilku z 25 kandydatów odpowiedziało, że był to bóg lasów. Gdzie leży góra Olimp? Kilku kandydatów odpowiedziało, że jest to góra szklana z bajki. Kto napisał Iliadę? Kilku kandydatów nigdy nie słyszało nazwiska Homera.

Za to na pytanie, by określić sytuację gospodarczą kraju, odpowiedź była krótka i szybka: wykonaliśmy zwycięsko plan sześćioletni.

Uwagi egzaminatorów rzuciły światło na niski stan nauki w szkołach średnich i na poziom egzaminów maturalnych.

Zachodzi jednak pytanie skąd, mimo, że liczba szkół średnich wzrastała w raczej wolnym tempie, bierze się tak ogromna liczba kandydatów na wyższe studia? Należy tu przypomnieć, że obok normalnych szkół stworzono specjalne szkoły średnie dla pracujących, w których pierwszeństwo, zgodnie z założeniami komunistów miała tylko młodzież robotnicza i chłopska. A podobne zasady stosowano na wyższych uczelniach, gdzie zorganizowano kursy wieczorowe i korespondencyjne. Według ogłoszonych w „Roczniku statystycznym cyfr“, w roku 1953 liczba uczestników na kursach wieczorowych wynosiła już 12,000, na kursach korespondencyjnych 18,000. Do tego roku wydano uczestnikom samych kursów korespondencyjnych 500 dyplomów inżynierskich, nie licząc dyplomów wydanych przez inne uczelnie.

SPADEK LICZBY STUDENTÓW POCHODZENIA ROBOTNICZO-CHŁOPSKIEGO I REFORMA EGZAMINÓW WSTĘPNYCH

Mimo tych wszystkich wysiłków i udogodnień dla kandydatów pochodzenia robotniczo-chłopskiego, liczba kandydatów z tych dwóch warstw ludu pracującego zaczęła w ostatnich latach spa-

dać. Jeszcze w 1953 r. wynosiła ona 60 procent, zaś w 1965 spadła do 43,6 procent. Propaganda została zagrożona i stąd trzeba było wymyślić zmiany w systemie egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie, by przywrócić stosunek sprzed kilku lat.

Nowy system wymyślił rzeczywiście minister szkolnictwa wyższego Golański, który w dniu 15 czerwca zwołał do gmachu KC. partii, przedstawicieli prasy, radia i telewizji, gdzie ich zapoznał z reformą egzaminów wstępnych.

W przyszłości, zdający egzamin otrzyma z każdego przedmiotu 1 do 5 punktów. Jednak kandydaci pochodzenia robotniczo-chłopskiego otrzymają z tytułu swego pochodzenia 1 do 3 punktów dodatkowych bo, jak wspomniał Golański, „nie może być obojętne dla naszego kraju budującego socjalizm, społeczne pogarszanie się składu socjalnego przyjmowanych na pierwszy rok studiów. Nie wolno bowiem zapominać, że w środowiskach robotniczych i chłopskich, odmienne jest zaplecze kulturowe, młodzież ma tam większe trudności w zdobywaniu wykształcenia. Trzeba jej zatem ułatwić start.“

Według nowych zasad komisje egzaminacyjne mają rozdzielić 90 procent wolnych miejsc, zaś 10 procent zatrzymać dla wypadków wymagających szczególnego rozpatrzenia.

GŁOSY PROTESTU

Zaledwie czytelnicy prasy partyjnej zdążyli przeczytać reformę Golańskiego, a już zaczęły się w tej prasie pojawiać protesty, a co najdziwniejsze w „Sztandarze Młodych“, naczelnym organie Związku Młodzieży socjalistycznej. W numerze z 16 czerwca pojawił się artykuł I. Iwaszkiewicza pt. „Punktowa rewolucja“, w którym autor odmawia słuszności ministrowi.

Jak to możliwe, pisze Iwaszkiewicz, aby syn wykwalifikowanego włókniarza z Łodzi, hutnika ze Śląska lub stoczniciwa z Gdańska, pisząc w odpowiedniej rubryce swego podania „pochodzenia robotniczego“ miał otrzymać z tego tytułu trzy dodatkowe punkty, a syn technika-włókniarza, wiejskiego nauczyciela czy agronoma z PGR'u ma ich być pozbawiony?

Ale autor sięgnął tylko do tych kilku profesji. Nie wspominał natomiast o tych tysiącach sekretarzy partii i związków zawodowych oraz tych którzy dzisiaj zajmują wysokie stanowiska rządowe, jedynie z tytułu ich pochodzenia, głównie pochodzenia robotniczego i za usługi położone dla partii. Jest to ta nowa klasa, o której pisał w swojej książce Dżilas, klasa nowej „komunistycznej inteligencji“, ludzie bez wykształcenia, rządzący dziś na różnych

szczeblach administracji. Teraz, gdy ich syn lub córka ubiegają się o przyjęcie na wyższe studia i powołują się na pochodzenie robotnicze ojca, Golański uważa ich za młodzież pochodzenia inteligenckiego, a tym nowym inteligentom wydawało się, że jeszcze ich wnuki będą się mogły powoływać, że pradziad był robotnikiem.

Jednak, jak wynika już z artykułu Iwaszkiewicza, nowy system egzaminów wywołał nie tylko w samych szeregach ZMS, ale w ogóle w szeregach partyjnych duże niezadowolenie. ZMS obawia się, że przyływ młodzieży do organizacji spadnie, zaś w kołach działaczy partyjnych zaczyna się kotłować. Jedyną nadzieją, jeśli Golański nie zmieni tymczasem swego nowego systemu, są jeszcze te 10 procent miejsc, które komisje egzaminacyjne mają do dyspozycji dla szczególnie uzasadnionych wypadków.

„NABIERANIE“ KANDYDATÓW NA WYŻSZE STUDIA

Ten sam „Sztandar Młodych“, ujął dwa dni później bo 18 czerwca, jak to Związek Młodzieży socjalistycznej, Związek Młodzieży Wiejskiej i Stowarzyszenia Studentów Polskich organizują co roku specjalne kursy dla kandydatów, stojących u progu egzaminów wstępnych. Kursy te nazwane „Akademiami“, prowadzone są przez asystentów wyższych uczelni, którzy za taki dwutygodniowy kurs pobierają od młodzieży od 300 do 500 złotych. Uczestnikom kursów najczęściej trudno jest zdobyć taką kwotę, ale organizatorzy potrafiли dotychczas wywołać wśród nich wrażenie, że ukończenie takiego kursu zapewnia uczestnikowi wejście na wyższą uczelnię. „Sztandar Młodych“ nazywa te kursy korsarskimi, bo są one zupełnie bezwartościowe i stanowią zwyczajne nabieranie i wyciąganie od młodzieży pieniędzy. Kursy korsarskie, jak zresztą przyznał „Sztandar Młodych“, prowadzone są pod egidą związku, reprezentowanego przez to pismo. Skąd więc to oburzenie? Widocznie nabrano już z wielu członków ZMS, którym wykładowcy „Akademii“ nie pomogli przy egzaminach wstępnych, a którzy z tego powodu opuścili szeregi Związku.

Przedstawione fakty nie wymagają żadnych dalszych komentarzy. Stanowią one przyczynek do dzisiejszej rzeczywistości w Polsce ludowej.

Jan Adamski

Czytaj polską książkę

Z ŻYCIA POLSKIEGO W ŚWIECIE

ZJAZD ŚWIATOWY SPK W MAJU 1966

Komitet Zarządu Federacji podaje, że VIII Światowy Zjazd SPK odbędzie się w Londynie w okresie od 21 do 24 maja 1966. 20 maja zbierze się Rada Główna SPK.

W tym samym czasie przewiduje się główne uroczystości milenijne. Powołano już Komitet VIII Zjazdu, do którego obowiązków m. in. należeć będzie przygotowanie projektów uchwał.

NOWY ZARZĄD SPK W ARGENTYNIE

30 maja odbył się w Buenos Aires Zjazd Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Argentynie, na którym powołano nowe władze w składzie: Prezes — Z. Biały, wiceprezesi — T. Czarnobrywy oraz A. Kafliński, sekretarz — A. Bogusławewicz, zast. sekr. — R. Ficek, skarbnik — A. Bukiet, zast. skarb. — K. Radzki, gospodarz — Z. Lipiński, członkowie zarządu — T. Pawulski, A. Grynkiewicz, P. Przybyłko, zastępcy — A. Protasewicz i A. Żeromski.

W roku bieżącym przypada 35 rocznica istnienia w Argentynie polskiego związku kombatantkiego. Powstał on w r. 1930 pod nazwą Związku b. Wojskowych i Obrońców Ojczyzny, a po drugiej wojnie przekształcił się w Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Z ŻYCIA KOŁA SPK W RIO

Młode, istniejące zaledwie dziewięć miesięcy, Koło SPK w Rio de Janeiro stara się zadokumentować swe istnienie ożywioną działalnością społeczną. W ciągu tego krótkiego okresu koledzy nasi zorganizowali obchody świąt narodowych, poświęcili własny sztandar, wzięli udział w imprezach urządzonych przez kombatantów innych narodowości, zebrali się kilkakrotnie na wieczorach towarzyskich.

Szczególnie podniosły charakter miała uroczystość poświęcenia sztandaru Koła. Wzięli w niej udział: marszałek Mascarenhas de Moraes, były dowódca Brazylijskiego Korpusu Ekspedycyjnego we Włoszech, prezes kombatantów brazylijskich Joaquim Caetano, przedstawiciele kombatantów angielskich, belgijskich, francuskich, portugalskich, R. Skowroński prezes Stowarzyszenia „Po-

(Dokończenie obok)

Orzeł Biały, sierpień 1965

OBRADY NAJSTARSZEGO OGNIWA S. P. K.

W kombatanckich księgach metrykalnych stoi czarno na białym, że SPK w W. Brytanii można nie bez słuszności nazywać najstarszym ogniwem. Jako datę jego urodzenia, zgodnie z tym, co mówią annały, należy przyjąć 24 maja 1946 roku, „kiedy to w Londynie zebrał się I walny zjazd delegatów SPK... Terytorialnie Stowarzyszenie obejmowało właściwie jedynie W. Brytanię“.

Od tego czasu zjazdy stały się dorocznym wydarzeniem w życiu tego ognia i było ich w sumie dziewiętnaście. Ostatni, tegoroczny zwołany został do Rugby w dniach 10-11 maja. Praktyka odbywania zjazdów poza Londynem należy do rzadkości. Jedynie dwakroć dotychczas, zdarzyło się, że Londyn ustąpił miejsca innemu miastu. Kilka lat temu przywilej gospodarza zjazdu otrzymał Manchester, a w roku bieżącym Rugby. Społeczność polska w Rugby dokonała ostatnio nie byle jakiego czynu, mianowicie wysiłkiem własnym i z pomocą władz centralnych SPK zbudowała piękny Dom Kombatanta, w którym będzie się koncentrować jej życie społeczne. Przyjazd blisko setki delegatów z innych kół był dla kolegów z Rugby znakomitą dowodem uznania dla ich wielkiego wysiłku, był zarazem próbą ich zdolności organizacyjnej, z której wywiązali się bez zarzutu. Szczególnie ciepłe słowa należą się panom z Rugby za talent i niezwykłą sprawność w rozwiązywaniu problemów żołądkowych delegatów.

Zjazd rozpoczął się od wejścia pocztu sztandarowego i odczytania modlitwy-inwokacji, której autorem jest ks. Rafał Gogoliński-Elston. Z kolei słowo wstępne wygłosił prezes krajowego SPK kol. S. Soboniewski, a po nim przemówienia powitalne wypowiedzieli: w zastępstwie gen. Andersa, gen. K. Glabisz, ks. Infułat B. Michalski, naczelny kapelan SPK, gen. K. Ziemiński, prezes Federacji Światowej SPK, kol. Paluch im. Stow. Lotników Pol. oraz red. Hęciak, prezes Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii. Część inauguracyjną zakończono odczytaniem depech od ogniw

lonia“ w Rio de Janeiro oraz wszyscy członkowie SPK z rodzinami.

Dowodem uznania dla pracy dotychczasowego Zarządu Koła był ponowny jego wybór na następną kadencję. W skład Zarządu wchodzi: Janusz Pawełkiewicz — prezes, Karol Nowina-Szczerbiński i Adam M. Kozłowski — wiceprezesi, Adam Wajs — skarbnik oraz Anna Halina Borowska — sekretarka.

krajowych SPK, innych organizacji społecznych oraz licznych osobistości. Delegaci z zainteresowaniem wysłuchali relacji prezesa Ziemińskiego o pobycie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Przekazując pozdrowienia od naszych kolegów zza oceanu, mówca w nast. słowach ujął swe wrażenia z świeżo zakończonej wizyty: „SPK w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych są silnymi, doskonale zorganizowanymi, o wielkim ciężarze gatunkowym formacjami społecznymi. Kolejdy ci zaczęli przed 20 laty od niczego, a dziś już mają dorobek, z którego mogą być dumni. Dziela ich od nas olbrzymia przestrzeń, warunki i styl życia, ale w sprawach dla Polaków zasadniczych przemawiają jednym głosem z całym naszym Stowarzyszeniem w świecie“.

Zjazdy odbywają się według utartego szablonu, który w żargonie życia organizacyjnego nazywa się porządkiem obrad. Jest on może nieco monotony, ale nieodzowny przy dosyć częstych skłonnościach ludzkich do wymykania się poza opłotki dyscypliny myślowej. W tym roku po raz niewiadomo który ster obrad spoczywał w rękach wypróbowanego przewodniczącego zjazdów kol. J. Żaby. Właściwie ster ten nie spoczywał, a był ciągle w ruchu przez kilkanaście godzin. W prezydium ponadto zasiadali: kol. Moszczyńska (Londyn), Mglej (Edinburgh), Kipp (Bradford), Czuloński (Londyn), Dziurman (Halifax), Wawrzynowicz (Worcester).

Pierwszych kilka punktów porządku dziennego, jak przyjęcie toku obrad, uchwalenie regulaminu zjazdu, wybór komisji odwoławczej i przyjęcie protokołu z poprzedniego zjazdu mija prawie niespostrzeżenie. Są to jakby uwerturny do pierwszego aktu, na którego treść składają się sprawozdania władz oraz następujące po nich pytania i dyskusja. Właściwą pożywką dla tej dyskusji jest ogłoszone wcześniej kilkudziesięciostronicowe sprawozdanie, uzupełniane pokrótce przez prezesa i innych członków zarządu krajowego. Oto parę najistotniejszych informacji zaczerpniętych ze wspomnianej broszury: SPK w W. Brytanii liczy 6.519 członków (w poprz. roku 6343) w 97 kołach. Przewadzą one 50 szkół przedmiotów ojczytych, do których uczęszcza 2.500 dzieci, uczy 180 nauczycieli. Czynnych bibliotek jest 48 z 43 tys. książek. 26 zespołów kultywuje pracę artystyczną poprzez teatr, taniec i muzykę. Przy zarządzie krajowym rozwija działalność Związek Klubów Sportowych, który zrzesza 46 klubów różnych gałęzi spor-

tu. Około 2 tys. młodzieży uprawia sport w „barwach polskich“. Szczególnie dobre wyniki daje akcja tworzenia drużyn młodzików. Domów Kombatanta — 29.

W dyskusji nad sprawozdaniami przemawiało 20 mówców. Streszczenie jej wydłużyłoby nadmiernie niniejsze uwagi, wypadnie więc tylko zauważyć, iż w świetle tej debaty obejmującej całą gamę zagadnień interesujących delegatów kół, od spraw gospodarczych do tematów ideowych, działalność Zarządu krajowego w ubiegłej kadencji oceniono pozytywnie i przyjęto sprawozdanie, udzielając Zarządowi absolutorium z podziękowaniem. Resztę pierwszego dnia obrad aż do późnego wieczoru poświęcono pracy w komisjach: programowej, oświatowo-szkolnej, finansowej i statutowej.

Drugi dzień obrad przyniósł sprawozdania z poszczególnych komisji i przyjęcie uchwał oraz rezolucyj, z których główniejsze zamieszczone są w niniejszym numerze „Orła“. Z obowiązku kronikarskiego należy może wymienić tytuł uchwał z braku miejsca nie objętych publikacją. (Niektóre z nich dotyczą ważnych spraw polskiego życia społecznego w W. Brytanii: poparcia dla inicjatywy budowy ośrodka harcerskiego, korzystania z prac Instytutu Badań Zagadnień Krajowych, czytelnictwa czasopisma kombatantckiego, zachęty do kupowania książek polskich, nauki religii w szkołach przez świeckich katechetów, skutecznego utrzymywania polskości na emigracji, zespołów artystycznych, filmów polskich, podniesienie składki członkowskiej i wreszcie apelu do kół, by inwestowały swe kwoty na rzecz budowy nowych domów kombatanta.

Dwa zagadnienia zdecydowanie dominiowały nad innymi w tegorocznych obradach Zjazdu: wysokość składki członkowskiej oraz projekt uzupełnienia dotychczasowej nazwy Stowarzyszenia. W pierwszym wypadku po gorącej dyskusji zwyciężył pogląd, że opłatę członkowską należy podwyższyć o 6 pensów z przeznaczeniem całej podwyżki na cele młodzieżowe. Nowa składka w wysokości 2/6 miesięcznie będzie obowiązywać od października br.

Projekt uzupełnienia dotychczasowej nazwy Stowarzyszenia przez dodanie słów „Związek Wolnych Polaków“ został przyjęty nieznaną większością głosów na komisji, natomiast upadł na plenum.

Nielatwe zadanie kierowania ogniwem brytyjskim przez najbliższy rok powierzono nowemu Zarządowi w składzie:

S. Soboniewski — prezes, J. Wawrzki-
wicz i S. Brewka — wiceprezesa, T. Kra-
soń — sekretarz, M. Siewiński — skar-
bnik, Cz. Czapliński, S. Kaczmarczyk,
J. Kowalski oraz R. Zakrzewski.

14 delegatów będzie reprezentować
W. Brytanię na VIII Zjeździe świato-
wym w maju przyszłego roku: M. Bro-
dziński, S. Brewka, W. Chodorowski,
T. Krasoń, S. Kaczmarczyk, W. Kipp,
S. Mglej, S. Soboniewski, Z. Szadkow-
ski, J. Śniechowski, J. Wawrzkiwicz,
S. Wąsik, S. Wisłocki, J. Żaba.

W niedzielę w godzinach południo-
wych uczestnicy Zjazdu udali się w
zwartym szeregach ze Sztandarem SPK
na nabożeństwo, które odprawił nacz.
kapelan Stowarzyszenia ks. Infulat B.
Michalski w asyście proboszcza Coven-
try i Rugby ks. C. Sowińskiego.

Ostatnie akordy Zjazdu dobiegają
kresu, wokół gościnnego Domu Kom-
batanta w Rugby zaczynają pracować
silniki samochodów, które zawiozą zja-
zdowiczów do domowych pieleszy po
dwa dniach pracowitego głowienia się
nad wieloma sprawami, które w koń-
cowym rachunku sprowadzają się do je-
dnej: jest nią wzorowe pulsowanie me-
chanizmu polskiego życia zbiorowego na
wyspach brytyjskich.

Antoni Czuliowski

Główne Uchwały Zjazdu SPK w Wielkiej Brytanii

TYSIĄCLECIE

W związku ze zbliżającymi się obcho-
dami Tysiąclecia Polski Chrześcijań-
skiej, Zjazd wezwał wszystkie Koła
SPK, by:

a) włączyły się do prac lokalnych ko-
mitetów milennijnych o ile dotąd tego
nie uczyniły,

b) miały na względzie, aby uroczysto-
ści lokalne odbywały się w terminach
przed i po 22 maja 1966,

c) organizowały wyjazdy i wycieczki
dorosłych i młodzieży na uroczystości
centralne w Londynie w dniu 22 maja
z uwagi na wyjątkowy charakter ob-
chodu dla Polaków oraz jego wartość
propagandową wobec społeczeństwa bry-
tyjskiego.

O UZNANIE GRANICY NA ODRZE I NYSIE

XIX Zjazd delegatów Kół Stowarzy-
nia Polskich Kombatantów w W. Bry-
tanii podkreśla swe solidarne stanowisko
ze społeczeństwem w Kraju i na uchodź-
stwie w traktowaniu granicy na Odrze
i Nysie jako ostatecznej granicy pol-
skiej na zachodzie.

Uznanie tej granicy po 20 latach od
zakończenia wojny przez wolne narody

świata zapobiegnie odradzeniu się rewi-
zjonizmu niemieckiego, a zarazem stwo-
rzy łatwiejsze warunki dla narodu pol-
skiego do uniezależnienia się od Rosji,
która pod pozorem jedyne gwaranta
polskich granic zachodnich prowadzi w
stosunku do Polski i krajów Europy
środkowej politykę uzależnienia ich po-
litycznie, gospodarczo, a zarazem trzy-
ma je siłą w orbicie obcego im ustroju
komunistycznego.

NARÓD POLSKI NIE WYRZEKNIE SIĘ NIGDY ZIEM WSCHODNICH

XIX Zjazd delegatów Kół Stowarzy-
szenia Polskich Kombatantów w W. Bry-
tanii przypomina, iż naród polski nie
wyrzeknie się nigdy swoich ziem na
wschodzie z Lwowem i Wilnem, zgra-
bionych przez Rosję Sowiecką w chwili,
gdy była w sojuszu z Hitlerem.

My byli żołnierze polscy drugiej woj-
ny światowej zachowamy w pamięci ha-
niebną rolę jaką Rosja odegrała w sto-
sunku do naszego narodu w chwili śmier-
telnego niebezpieczeństwa, napadając na
Polskę, niszcząc jej siłę biologiczną w
najokrutniejszy sposób i pozbawiając ją
1/3 własnego terytorium.

Stwierdzamy równocześnie, że Rosja
podała rządowi terroru i masowym
zrywkom nie tylko ludność polską, ale
także ukraińską, białoruską i litewską,
dokonując zaboru ziem wschodnich Rzecz-
ypospolitej pod pozorem rzekomego
wyzwolenia tych narodów.

O AKCJI INFILTRACYJNEJ

Zarząd Federacji Światowej Stowa-
rzyszenia Polskich Kombatantów w swo-
im ostrzeżeniu z marca bieżącego roku
przed nową próbą dywersji komunistycz-
nej zwrócił uwagę na akcję, jaką podjął
reżymowy „Związek Bojowników o Wol-
ność i Demokrację“ w stosunku do kom-
batantów przebywających na Zachodzie.

Nawiązując do żołnierskiej przeszłości
Polaków w Kraju i na uchodźstwie
„ZBoWiD“ zaapelował ostatnio do pol-
skich kombatantów poza granicami
Kraju o „współpracę“, albowiem krew
przelana w ostatniej wojnie za Polskę
jest „jednej barwy“.

Nie wierzymy w szczerść takich po-
czyniań. „ZBoWiD“ uważamy za narzę-
dzie Moskwy i reżymu komunistyczne-
go w Warszawie.

Najpierw niech „ZBoWiD“ upomi-
nie się o uwolnienie i powrót do Kraju sta-
le jeszcze przebywających na terenie
Związku Sowieckiego żołnierzy AK i
wywiezionych Polaków. Niech potępi
morderców żołnierzy polskich w Katy-
niu i innych obozach jenieckich w cza-
sie drugiej wojny światowej. To są za-

dana, które w oparciu o „przyjaźń“
sowiecką chyba są możliwe do zreali-
zowania dla komunistycznej organiza-
cji.

Zjazd wyraża głębokie przekonanie,
że polskie społeczeństwo na uchodź-
stwie, w szczególności jego masy komba-
tanckie są szczerze patriotyczne i swój
patriotyzm dokumentują ofiarnym przy-
wiązaniem do narodu, jego tysiącletniej
kultury i historii — i że potrafią uszczę-
śliwić przed wszelkimi poczynaniami czyn-
ników komunistycznych, którym pomimo
tyloletnich prób nie udało się pozyskać
uchodźstwa dla swoich celów politycz-
nych.

Wystawa powołań kapłańskich

Czy tylko wskutek stałego poganie-
nia W. Brytanii, czy także dla innych
przyczyn, w ostatnich latach katolicy
angielscy narzekają na gwałtowny spa-
dek powołań kapłańskich i zakonnych.
Dochodzi do tego, że niedługo szereg
zakonów nie będzie w stanie wykonać
podjętych przez siebie dzieł.

W związku z tym na przełomie czer-
wca i lipca zorganizowano w hali wy-
stawowej Earls Court w Londynie wy-
stawę powołań. Wystawę otworzył Ar-
cybiskup Westminsteru, Kardynał John
Heenan, który koncelebrował Mszę św.
wraz z 8 młodymi kapłanami przy ołtar-
zu, ustawionym na środku hali, pod
dużym, zdaleka widniejącym krzyżem.

Dokoła hali ustawiono szereg stoisk:
Duchowieństwa świeckiego, zakonów:
Franciszkanów, Dominikanów, Jezuitów,
Pallotyńców i innych, w liczbie około 150
zgrupowań męskich i żeńskich.

Na stoisku duchowieństwa świeckiego
każda diecezja w Anglii i Walii po-
dała ile ma duchowieństwa, kleryków,
seminariów itd. i ilu musi obsłużyć
przy różnej ilości wiernych, z ar-
chidiecezją Westminsteru przodującą.
Pod tymi liczbami umieszczono jedno-
brzmienne podpisy, że diecezje składają
się ze świętych i grzeszników, których
życie duchowe jest wyzwaniem i powo-
łaniem dla chcących służyć Bogu.

Stoiska zakonne są naogół estetycznie
i pomysłowo urządzone, raczej przez
wyselekcjonowanie zdjęć i obrazów,
niż przez ich nadmiar. Doskonałe tech-
nicznie zdjęcia obrazują sceny z życia
zakonnego i pracę. Oczywiście w tym
zakresie dominuje pielęgnowanie rho-
rych, z szarytkami na czele i praca wy-
chowawcza. W szeregu stoisk można
obejrzeć było szkoły katolickie, które
jak wiadomo należą w W. Brytanii do

najlepszych pod względem pedagogicznym.

Są stoiska wyglądające dość egzotycznie: Biali Bracia z Afryki Północnej w białych, czerwonej szarfą przepasanych habitach i w fezach, inne wybijające się zdjęciami z życia afrykańskiego lub indyjskiego. Stoisko Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej wygląda dla odmiany „biegunowo“. Główny motyw to zaprzęg z saniami.

Na wielu stoiskach są filmy ilustrujące pracę i zadania zgromadzenia. Mimo jednolitości tematu są one różne: od udzielania chorym Wiatyku i spieszania na pomoc ofiarom wypadków, po odwiedziny domów i pracę w szkołach.

Polskie oko zauważa parę małych braków. Tak np. na stoisku C 8 u Sióstr Boskiego Zbawiciela (Sisters of Divine Saviour) wywieszono mapę, na której granicę polsko-niemiecką zaznaczono według stanu z 1939 r., widocznie posługując się starą jakąś mapą. Recenzent oczywiście nie omisszał zwrócić na to uwagę dyżurnej siostry, która z miłym uśmiechem potwierdziła błąd, ale dodała, że Siostry mają w Polsce (na Śląsku i koło Krakowa) około 30 sióstr ze swego zgromadzenia. Na innym stoisku jest poważniejszy błąd: oto wywieszono mapę Europy ze schematycznie zaznaczonymi obszarami zamieszkałymi przez katolików, protestantów i prawosławnych. Schematyczność nie może być zbyt ścisła, ale obszar Polski, niezaznaczonej zresztą granicami, określono dość fantastycznie, ze zwartą ludnością protestancką na całym Pomorzu, odcinając tym zupełnie katolickość od Bałtyku. Tu recenzent już dość nieprzyjemnie zwrócił pocziwym siostrzyczkom uwagę, że krzywdzą całkowicie katolicki naród, ale gdy po kilku dniach powrócił do tego stoiska znalazł błąd niepoprawiony:

Stoisko Jezuitów ładnie i mądrze rozplanowane: najciekawsza jest może lista męczenników z tego zakonu: przoduje Portugalia, ten wspaniały, choć dziś tak oczerniany przez wszystkich komunizujących, kraj katolicki z 278 męczennikami, potem idzie Hiszpania ze 129 i Francja 127. Anglia ma tylko 74, po Włoszech 76, Polska 41, a Niemcy 40. Inne kraje mają mniejszą ilość męczenników Jezuitów. Warto tylko uprzytomnić tu sobie, że męczennicy angielscy to przeważnie ofiary prześladowania w domu, gdy męczennicy polscy, jak św. Andrzej Bobola i inni, to ofiary wrogów Kościoła i narodu polskiego. Czynie taką uwagę do obecnego na stoisku Jezuita, ale zgadzamy się, że trudno byłoby optycznie to rozdzielać.

Jest jednak na wystawie męczennik polski: Sługa Boży Ojciec Maksymi-

lian Kolbe. Jego męczeństwo przedstawiono na stoisku Krucjaty Niepokalanej, które opracował o. Burdyszek z manchesterskiego Niepokalanowa. O. Burdyszek, który był uczniem O. Maksymiliana, mówi o swoim Niepokalanowie tak gorąco, jak zapewne uczył tego jego mistrz. Jest podnoszącym na duchu znaleźć obraz tego wielkiego męczennika miłości na tej angielskiej wystawie. Lecz nie obeszło się bez „ale“. Kto właściwie zamordował o. Maksymiliana, trudno się dowiedzieć nie tylko dlatego, że rysunki są raczej brzydkie (coś na miarę oświęcimską), ale także że oprawcy są jacyś beznarodowi. Jest to niewątpliwie dodatkowa krzywda dla męczennika, który kochał także Polskę — królestwo Niepokalanej. Ale to na pewno nie wina o. Burdyszka.

Przez wystawę przeciągają liczne rzeźby, wśród których dominuje młodzież dla której głównie wystawę uczyniono. Na stoiskach witają się dyskretnie i mile uśmiechnięte twarze sióstr i ojców. Jaki pływ na powołanie może mieć taka wystawa, dowiemy się dopiero za kilka lat. Ale niewątpliwie wpływ mieć musi, bo po prostu chwilami ogarnia wzruszenie, gdy się widzi ile pracy i poświęcenia ludzie dają ze siebie — dla Boga.

Na ołtarzu wystawowym codziennie inny biskup odprawia uroczystą Mszę św. Oprócz tego istnieje kaplica, gdzie można adorować Najświętszy Sakrament. Przez całą wystawę czuje się powiew nowoczesności życia Kościoła.

Józef Płoski

WIENIEC
NA
GROBIE
BOLESŁAWA
ŚMIAŁEGO
W
OSSIAKU



W dniu 7 czerwca br. delegacja Stowarzyszenia Polskiej Kultury w Wiedniu udała się do miejscowości Ossiaku w Karyntii, gdzie złożyła wieniec pod płytą pamiątkową, poświęconą pamięci króla-wygnancy, wielkiego wojownika i władcy Polski, Bolesława Śmiałego. Jak wiadomo pamiątkowa płyta została ufundowana przez żołnierzy II Korpusu w roku 1946. Dzięki staraniom mieszkańców Krakowa i ówczesnego burmistrza Weiglera, w roku 1873 obok płyty został wmurowany obraz z napisem. Niestety trudnym dziś do odczytania. Klasztor w Ossiaku, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa spoczywają zwłoki Bolesława Śmiałego, należy do najstarszych klasztorów w Środkowej Europie. Został założony przez Benedyktynów w roku 689. Klasztor odbudował król Leopold I w roku 1689. (ACh)

DO NASZEGO PRZEDSTAWICIELA W PARYŻU WPLACILI NA LEKARSTWA DO KRAJU:

6954 L. S. Ln.. Det. (ppłk. A. Potoczek) Fr. 71,00, 4013 L. S. Co. (kpt. J. Jaworski) Fr. 40,00, 4085 L. S. Co. (kpt. F. Iwański) Fr. 41,00, 4505 L. S. Plat (kpt. St. Borkowski) Fr. 73,00, 4096 L. S. Co. (Mr. Normark) Fr. 35,00, 4507 L. S. Co. (Mjr. T. Kroja-Kopeć) Fr. 100,00.

W lipcu: 4096 L. S. Co. (por. Normark) Fr. 32,00, 4088 L. S. Co. (por. St. Kozłowski) Fr. 55,00, 4013 L. S. Co. (kpt. J. Jaworski) Fr. 31,88, 4085 L. S. Co. (kpt. F. Iwański) Fr. 42,00, 4158 L. S. Co. (kpt. St. Madej) Fr: 108,00, 6954 L. S. Ln. Det. (ppłk. A. Potoczek) Fr: 66,00.

Serdecznie dziękujemy!

(Dokończenie na str. 31)

o to winię artystów, którzy włożyli kolosalną pracę w trwające przez kilka miesięcy przygotowania; orkiestra, chóry i soliści wywiązali się ze swych zadań doskonale, chociaż Mojżeszowi zabrakło zdecydowanie potęgi Mojżesza Michała Anioła, jakim chciał go widzieć sam Schönberg; Hall dokonał istnych cudów w operowaniu tłumami, wypełniającymi scenę Covent Garden; ale znakomite wykonanie dzieła Schönberga potwierdziło opinię o jego niescenicznosci.

„Mojżesz i Aaron“ jest właściwie oratorium, opartym o dialogi Mojżesza (rola mówiona), reprezentującego surowy idealistyczny pogląd na Boga i Aarona (rola śpiewana), przedstawiającego ludzkie, antropomorficzne podejście do boskości. Trzecim czynnikiem jest chór Izraelitów, idących za Aaronem, którego wypowiedzi rozumieją i przez którego perswazje są podbici w przeciwieństwie do odstraszących ich bezkompromisowych ujęć Mojżesza, pozabawionego daru słowa. Trudna i skomplikowana muzyka Schönberga o charakterze wybitnie „mózgowym“, oparta na systemie „dwunastotonowym“, doskonale pasuje do filozoficznych dialogów, ale najzupełniej chybja cel w długiej orgii, mimo niezrównanej pomysłowości Hall'a w przedstawianiu rytualnych i seksualnych rozbestwień (oczywiście, w trykotach, bo inaczej cenzura by nie puściła!) Nie pomaga leżąca się kulekami sceniczna krew zwierzęca i ludzka, nie pomagają przerzucane z rąk do rąk rozbebeszone kadłuby ofiarnych koźląt i owiec, ani rytualnie obnażane i mordowane dziewice; nie pomaga przydługa ekstaza seksualna wielu parna scenie, ani malowniczo porzucane mniej lub więcej porzobierane ciała. Muzyka Schönberga wymaga jak najdalej posuniętej stylizacji, Hall daje nam krańcowy naturalizm; widowiskowy sukces „Mojżesza“ jest jego klęską artystyczną.

Reakcja publiczności premierowej była dość ciekawa: chłodna na parterze, cieplejsza na balkonie, entuzjastyczna w amfiteatrze i na galerii, gdzie, oczywiście, przeważała młodzież. Nie wątpię, że taki sam entuzjazm towarzyszył i towarzyszyć będzie dalszym przedstawieniom „Mojżesza“ w Covent Garden, ale obawiam się, że mała w tym zasługa muzyki Schönberga. Nie wiem, czy należy tego bardzo żałować: „Mojżesz“ wydaje mi się dziełem, w samym założeniu niezgodnym z formą, w jakiej twórca zamierzał je przedstawić, a więc chybionym. A że, na dodatek Schönberg nie skończył swej opery (trzeci akt nie

został nigdy napisany) i kończy się ona w obecnej postaci triumfem życiowo sprytnego Aarona w przeciwieństwie do ostatecznych zamierzeń autora, więc chyba pozostanie ona na zawsze tylko ciekawostką historyczną. W takim razie taka czy inna interpretacja nie ma wielkiego znaczenia; a to, że niejedyn widz przy okazji oglądania orgii Hall'a zapozna się z schönbergowską muzyką, na pewno mu nie zaszkodzi:

Stefan Wóycicki

TADEUSZ BORNHOLTZ

„OD WIEDNIA DO MACIEJOWIC“

JEDNYM z dość rozpowszechnionych przesądów jest przekonanie, że naukowe prace historyczne przeznaczone są wyłącznie dla specjalistów. W rezultacie nawet ci, którzy aktywnie interesują się historią stronią od tego typu prac. Przekonanie to oparte jest na dwu przesłankach: mylnym założeniu niektórych historyków-naukowców i smutnym dowiedczeniu czytelników.

Posiadanie własnej historii różni człowieka od innych stworzeń na tym świecie. Aby być jednak człowiekiem nie wystarczy się nim urodzić, ale trzeba się nim stać. Aby się nim stać — nie wystarczy mieć historię, lecz trzeba ją znać i to możliwie z pierwszej ręki, a więc naukowców-historyków. Jedną z podstawowych racji bytu historii, jako nauki jest to, że jej dorobek winien się stać własnością jak najszerszego ogółu. Stary spór, czy historia jest tylko nauką, czy też tylko sztuką, choć może nie zakończony ostatecznie, zdaje się przechylać ku rozwiązaniu że powinna być jednym i drugim jednocześnie. Byli jednak i są w dalszym ciągu historycy, którzy takiego rozwiązania nie uznają. Pisząc swe prace — jeśli w ogóle myślą o czytelniku, to tylko o specjalistcie, który musi tę pracę przeczytać, a nie o tych rzeszach, które chciały by to zrobić. Ci ostatni próbując przebić się przez mur „naukowości i ścisłości“ rezygnują.

A przecież historia jest w tym szczęśliwym położeniu, w porównaniu do innych dziedzin naukowego dorobku ludzkości, że do zapoznania się z jej wynikami nie trzeba mieć specjalnego przygotowania fachowego. Czytelnik zaś to jedno z najwdzięczniejszych stworzeń na świecie. Ma naturalne zainteresowanie w tym kierunku i wystarczy choć

trochę wyjść mu naprzeciw, aby go w pełni pozyskać.

Rozważania te — być może będące wyważaniem otwartych drzwi — nasunęły mi się pod pióro w związku z wydaniem przez Polską Fundację Kulturową tomu studiów i szkiców historycznych gen. Mariana Kukiela p. t. „Od Wiednia do Maciejowic“. Pomyślany w ramach obchodu jubileuszowego osiemdziesięciolecia urodzin Autora, tom ten zawiera sześć prac wydanych w latach 1928-38.

Podwójnie dobrze się stało, że zbiór ten został wydany. Nie tylko bowiem pozwala niektórym przypomnieć sobie, a niektórym zapoznać się z dawniejszymi pracami znakomitego historyka, które mimo upływu tylu lat nie straciły nic ze swej wartości naukowej, ale również pokazuje, jak można w praktyce zrealizować postulat traktowania historii, jako nauki i sztuki jednocześnie. Kukiel dba o czytelnika i wychodzi mu więcej, niż trochę naprzeciw nie obniżając w najmniejszym nawet stopniu naukowości swych wywodów.

Najlepiej to można zilustrować na przykładzie rozprawy „Maciejowice“ Osiemdziesiąt stron tekstu poświęcone jednej bitwie — wydawać by się mogło, że monografia tego typu może zainteresować tylko specjalistów i to w wąskim ujęciu tego określenia. Tymczasem te 80 stron trzyma każdego czytelnika w napięciu, aż do ostatniego momentu, gdy w „Posłowniu“ Autor zabiera głos w dyskusji na temat oceny zdolności militarnych Najwyższego Naczelnika Siły Zbrojnej Narodowej. Trzeba bowiem pamiętać, że rozprawa pisana była w trakcie rozgorzałego sporu na ten temat. Kościuszko — jeden z galerii narodowych świętych w opinii publicznej — jest do dnia dzisiejszego postacią kontrowersyjną w historiografii polskiej. Można się z Autorem rozprawy o Maciejowicach zgadzać lub nie w jego ostatecznej ocenie, ale nie można zakwestionować ani literki w faktycznym przedstawieniu przebiegu wydarzeń, ani też zlekceważyć jego argumentów w obronie Kościuszki, mimo że — jak sam przyznaje — „pisał tę rzecz z czcią i miłością dla pamięci Najwyższego Naczelnika i jego żołnierzy“.

Wracając jeszcze na chwilę do tematu poprzedniego, a mianowicie trzymania czytelnika w napięciu, mógł by ktoś powiedzieć, że sam temat ostatniej klęski pieczętującej upadek wolnego państwa polskiego jest pasjonujący i wywołujący w nas fale uczuć. To racja — ale temat to nie wszystko. Przysłowio- wy lwi pazur pisarza polega nie tylko na tym aby temat „nieciekawym“ uczynić ciekawym, ale i na tym również, aby tematowi interesującemu dać godną oprawę słowną.

Pozostałe rozprawy skupione są wokół dwu tematów: króla Jana Sobieskiego i jego wyprawy na Wiedeń oraz wojna polskiego w początkach 18 wieku. Ich znaczenie w pełni uwypukla „Słowo Wstępne“ A. Sawczyńskiego. Całość tomu poprzedza wstęp pióra Oskara Haleckiego dający ogólny zarys wszechstronnej działalności gen. Kukiela. Biorąc pod uwagę jubileuszowy charakter wydanej książki nie mogą inaczej zakończyć tej skromnej wzmianki o niej, jak tylko przyłączeniem się do życzeń autora wstępu: „Toteż Kukielowi należy życzyć przede wszystkim, aby Bóg mu dał dożyć chwili, gdy... będzie mógł stwierdzić... że Drugie Tysiąclecie Polski zaczyna się lepiej, niż się skończyło pierwsze.“

Tadeusz Bornholtz

KOMPUTER I OBSESJA

O

„KOSMOSIE“

GOMBROWICZA

Nowa książka Witolda Gombrowicza *) określona jest w zapowiedzi wydawniczej Biblioteki „Kultury“ jako „powieść prawie kryminalna“. Zbliżenie do powieści kryminalnej stwarza zabawa w detektywów, którą uprawiają dwaj bohaterowie opowieści, starając się na podstawie znaków i spostrzeżeń rozwiązać zagadkę domu państwa Wojtysów. A może raczej rodziny Wojtysów złożonej z taty „eks-bankowca i brydżysty“, mamy wiecznie narzekającej mieszczanki, córki, która dla Gombrowicza składa się właściwie z jednej nogi, jednej ręki i ust, kuzynki Katasi, tajemniczej mimo swej prostoty, okaleczonej służącej do wszystkiego i zięcia, człowieka najnormalniejszego z nich wszystkich.

Zbrodnia, jaka ma się dokonać w tym gronie, nie jest zapisana w żadnym kodeksie kryminalnym. Ślady i znaki, jakimi postępują naprzód w swym śledztwie dwaj przygodni detektywi-amatorzy, również nie są elementami, którymi posługiwał się Sherlock Holmes, ani jego następcy. Ptak powieszony na drucie, strzałka na suficie, złamany dyzszel, patyk — oto znaki, po których kroczy śledztwo. Mało powiedzieć kroczy: kręci się wokół nich. Powraca uporczywie, dręczy powtarzaniem, powoduje obsesję, która z bohatera opo-

wiadania przerzuca się na czytelnika. W końcu czytelnik ma dość tego powtarzania, natręctwa, dręczenia i zaczyna cały problem rodziny Wojtysów i samego Gombrowicza nienawidzić. Chciałby się tego pozbyć jak najprędzej. Jak choroby męczącej maligną i przewidzianiami.

Wojtysowie też nie mogą znieść atmosfery swego domu i wyjeżdżają na wycieczkę do Doliny Kościeliskiej. Bo cała rzecz dzieje się w Zakopanem. Nastrój letniska, pensjonat, próżniactwa, dążenie do wypoczynku i zapomnienia o normalnych zmartwieniach potrzebny jest autorowi, aby wprowadzić problemy zmartwienia innego rządu — wakacyjnego.

Na wycieczce, w schronisku w Kościeliskiej, w nocy następuje rozwiązanie dramatu, który rozgrywał się w tym gombrowiczowsko-wojtysowskim „kosmosie“. I jak każdy dramat rządu astronomicznego całkowitego rozwiązania zagadki nie przynosi. Pozostawia to czytelnikowi.

Czytelnik, niestety, jest już bardzo zmęczony. Za wiele przeżył podnieceń, za wiele zagadek pobocznych musiał rozwiązywać po drodze.

Bo Gombrowicz z wiekiem nie staje się łatwiejszy. Przeciwnie, dojrzewa w nim złośliwość w stosunku do czytelnika. Albo kpi sobie z klienta albo rzuca w niego pociskami najwyższego kalibru literackiego.

Znamy dobrze gombrowiczowski styl. Archaizowanie, przedstawienia w składni, dziwaczne słowotwórstwo, metafory na każdym kroku. Gombrowicz nie tylko z własnych myśli wybudował swój odrębny świat, ale i swym stylem stworzył namiot, w którym chroni się przed innymi. Naturalnie w tym namiocie dosięgają go raz po raz naśladowcy, bałwochwalcy usiłującego powtarzaniem i imitacją dojść do tego do czego mistrz doszedł indywidualnym talentem, lekceważeniem wszelkich utartych dróg.

Styl w tej książce jest nowym osiągnięciem Gombrowicza. Miejscami obniża się aż do konwencjonalnego stylu epickiego, to znów — na dłuższe pewnie byłoby to za trudne i dla czytelnika i dla autora — sięga po aparaturę najbardziej nowoczesną. Pisze tak jakby pisał mózg elektrotonowy, computer załadowany elementami słownymi przez mistrza polskiego języka. Elementy to nagromadzone wedle kategorii w odpowiednich kanałach. Wystarczy przycisnąć odpowiedni guzik, aby posypały się bezładnie, ale rzeczowo. Dokładnie dopasowane do zapotrzebowania.

Na przykład na stronie 75 dochodzimy do sytuacji, gdy potrzebny jest

opis jazdy wózkami do Kościelisk. Naciskamy odpowiedni guzik:

„Wynurzyliśmy się na szosę i zapadli w otwierający kraj, jedziemy. Powolne kłusowanie koni. Drzewo. Zbliża się, mija, przepada. Płot i dom. Półko czymś zasadzone. Pochyłe łąki i okrągłe wzgórki. Wóz drabiniasty. Szyld na becze. Samochód mija, rozpędzony. Jazdę wypełniało trzęsienie, skrzypienie, kołysanie, kłus, zady końskie i ogony, góral z batem, a nad tym niebo wczesnego poranka i słońce, już nudne, już zaczynające szczypać w szyję.“

Na pierwszej stronie tekstu potrzebny nam jest marsz we dwoje drogą zakopiańską. Naciskamy guzik komputera:

„Pot. Fuks, ja za nim, nogawki, obcasy, piach, wlecemy, ziemia, koleiny, gruda, błyski ze szklitych kamyczków, blask, upał brzęczy, gorąco drgające, czarno od słońca, domki, płoty, pola, lasy, ta droga, ten marsz, skąd, jak, dużo by gadać...“

I dalej autor przechodzi w refleksję i objaśnienie sytuacji poza zjawiskiem marszu i poza otoczeniem.

Między computerem a Gombrowiczem różnica jest ta, że Gombrowicz w szereg zimno, mechanicznie wiązanych słów wskazuje nagle z błyskiem prawdziwej poezji jak np. to „słońce już nudne, już zaczynające szczypać w szyję.“

Tematem opowieści jest obsesja erotyczna. Bohater i jego otoczenie żyje w świecie pełnym niepokoju erotycznego, a w niektórych wypadkach erotycznych schorzeń.

Choć bohaterowie nie miewają snów koszmarnych i ich urazy nie sięgają wieku niemowlęctwa, przecież nachylając się do Nirwany nad tą gromadką, nad tym „kosmosem“ staruszek Freud zaciera ręce z uciechy.

Snów nie ma, ale rzeczywistość ulega takim zniekształceniom, że przechodzi w senne majaczenie, aby co chwila wynurzać się ostrym realnym obrazem.

Erotyzm tu jest grzechem, obciążeniem, błędem. Brak mu radości i uniesienia. Przeżycie seksualne nazwane symbolicznie „berg“ poniża bohaterów, prowadzi do katastrofy. Jest lepkie i nikczemne, tymbardziej że dzieje się w ciemności: „Nikt nie mógł dojrzeć co i jak.“

Książka Gombrowicza nie jest ładna ani przyjemna, ale trudno nie ulec jej gorączce, opętaniu. Szuka się rozwiązań z bohaterem. Przygląda się gromadce ludzi z przerażeniem i zaciekawieniem. Przez styl i słowotwórstwo Gombrowicza brnie się ze złością i umiłowaniem. Tak jak człowiek idący

*) Witold Gombrowicz, Kosmos; Instytut Literacki; Paryż 1965. Biblioteka „Kultury“ tom CXII.

pod górę. Przeklinający zmęczenie a wierzący, że cuda zastanie na szczycie.

Gombrowicza można nie lubić, można odmawiać mu miejsca w szeregu rzecznych, spokojnych, rzeczowych ziemniaków, ale zawsze go się podziwia. Na każdym zakręcie, gdy jest się złym na niego i wzburzonym, można napotkać na otwarcie nieba, tak jak to się stało w zakończeniu „Kosmosu“, gdy:

„Lunęło. Luźne, gęste krople, podnosimy głowy, lunęło, woda zaczęła walić, wiatr się zerwał, popłoch, każdy pędzi pod najbliższe drzewo, ale chojary przeciekają, ociekają, kapie, woda, woda, włosy mokre, plecy, uda a tuż przed nami w ciemności ciemnej, przerywanej tylko błyskami zropczonych latarek, ściana prostopadła wody spadającej i wtedy, w świetle tych latarek widziało się jak leje, spada, i strumienie, kaskady, jeziora, ciurka, sika, chlupie, jeziora, morza, prądy wody bulgoczącej i słomka, patyk, liść, niesiona wodą, znikające, łączenie się strumieni, powstawanie rzek, wysepki, przeszkody, zatory i esy floresy, a górą z góry w górze potop, leci, leci, a dołem pędzący liść, znikający kawałek kory...“

Computer mieszający pojęcia i kategorie słów i mistrz, który pozornie chaotycznie uderzając w czytelnika, prowadzi go aż ku uniesieniu, trwodze i wypełnieniu się przeznaczenia człowieka-kawałka kory.

Główną postacią „kosmosu“ okazuje się — niespodziewanie zresztą — ów „Jam bridżysta, panoczkowie moi, ex-bankowiec, obecnie bridżysta“ pater familias, Leon Wojtys. „Błyszcząca okrągłość jego tysej bani z doczepioną u dołu twarzą, z doczepionymi pincez unosiła się nad stołem jak balon —“. Z pozoru dobroduszny sypiący anegdotalami starszy pan, który „dziwolił się ze słowotworem“ („Grażynaś ty moja, kwiecie, ojcio moja graża!“) w istocie jest wspaniałym egzemplarzem hedonisty „dośrodkowego“. Leon Wojtys przeżywa cały świat w sobie, dla niego radość z robienia kulek z chleba, ra-

dość z zabawy w zniekształcanie słów, radość z jedzenia, picia, siedzenia przy stole, jednym słowem z każdej czynności jest ukrytym przeżyciem seksualnym. Rozkosz płynąca z drobnych czynności, zamknięcie w sobie tajemnicy jakiegoś arcyarcyństwa, odgradzanie się od innych dziwactwem i „słowotwórstwem“ — to cechy nie tylko Leona Wojtysa, osoby centralnej „Kosmosu“, ale odnajdziemy je także u samego Gombrowicza. Od początku od Ferdurke widać chęć zmylenia czytelnika — a może i więcej niż czytelnika? — skierowania uwagi na inne płaszczyzny, po to aby samemu rozkoszować się drobnymi czynnościami z pozoru nieważnymi.

Wycieczka do Doliny Kościeliskiej kończy się symbolicznie. Spróbujmy zastanowić się, czy w tym zakończeniu nie jest zawarta zagadka nie tylko Leona Wojtysa, ale i Witolda Gombrowicza. Oto przez cały czas Leon prowadzi wycieczkę ku kulminacji: obiecuje wszystkim pokazać cudowny widok, jakiś nadzwyczajny krajobraz doliny.

W rzeczywistości kieruje on tak wycieczką swej rodziny i bliskich, że zamienia się ona na jego osobistą pielgrzymkę do miejsca, gdzie niegdyś doznał jedynego ważnego przeżycia.

Zebrał ich wreszcie w ciemności i kazał im czekać na objawienie tego, co, zdawało się, będzie nadzwyczajnym widokiem na góry.

„Czekaliśmy aż skończy. Czas upłynął.“

„Niespodziewanie oświecił latarką własną twarz. Binokle, łysina, usta, wszystko. Zamknięte oczy. Lubieżnik. Męczennik. Powiedział.

„— Innych widoków nie ma.“

Każdy kto czyta książki Gombrowicza — a tym bardziej ten, kto je próbuje naśladować — powinien zapamiętać tę metaforę. Innych widoków nie ma.

W „Ferdurke“, w „Dzienniku“, w „Pornografii“, w „Ślubie“ czy w „Kosmosie“ Gombrowicz zwodzi czytelnika obiecując mu widowisko na miarę epi-

ka. Daje nam tylko zawsze obraz samego siebie. Swoje własne przeżycie, dla którego my jesteśmy mu potrzebni tylko jako bierni widzowie.

Na zakończenie jedna uwaga: Gombrowicz objawia się nam często jako wróg konwencji, konformizmu, klisz i tradycji. Z zaciętością walczy z naszymi cechami narodowymi, z naszym szowinizmem i zaściankowością. Czasem zdaje się, że odwraca się plecami do wszystkiego co polskie.

I oto kiedykolwiek czyta się Gombrowicza trzeba na nowo stwierdzać, że pławi w polszczyźnie. Jest mocno związany słowem polskim. Pełen jest tej polszczyzny, która gorącym pulsowaniem łączy nas wszystkich na wszystkich kontynentach życia i myśli.

Czesław Dobek

UWAGI PRZYDROŻNE

*Wielkie poważanie dla czyjegós ro-
zumu i zastóg nie powinno być powo-
dem wiary w jego nieomylnóść.*

* * *

*Przebiegła chytróść jest bronią
glupców, a wierząca naiwnóść jest
piętą achillesową twórców.*

* * *

*Cokolwiek powie się ludziom o so-
bie, powie się zawsze za dużo.*

* * *

*Tylko taki człowiek jest w pełni
szczęśliwy, któremu nawet na myśl
nie przyjdzie, że mógłby coś zrobić
źle.*

* * *

*Najbardziej maksymalne programy
głoszą ci, którzy nie mają ani siły ani
możliwości, żeby je urzeczywistnić.*

* * *

*Dyktatura nie jest nigdy przyczyną,
ale zawsze skutkiem. Atom*

Adres WYDAWNICTWA: PCA Publications Ltd., 20, Queens Gate Terrace, London, S.W.7, gdzie mieści się także adres redakcji. Korespondencję z Redaktorem Naczelnym kierować można na: 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11 (telefon: BAT 0879 lub BAT 1445). Adres ADMINISTRACJI: „Gryf“ — 171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. Tel. BAT 1445. Przedstawicielstwo we FRANCJI: „Syrena-Elka“ — 20, rue Legendre, Paris, 17-e. Tel. WAG 0045, oraz na pld. Francję — S. Horodyski, Ecole des Filles, La Penne s/Huveaune (B. du Rh.). Przedstawicielstwo w MIDLANDACH angielskich: T. Podgórski — 19, Park View Road, Bradford 9. W BELGII: J. Korab-Brzozowska-Csaky, 116 rue Joseph II, Bruxelles 4, konto poczt. 7315.20; w NIEMCZECH: S. Mikiciuk, Muenchen, 45, Gablonzerstr. 7/I; w NORWEGII: Narvesens Kiosk Komp. POBox 115, Oslo; w SZWAJCARII: Association des Combattants Polonais en Suisse, Biel-Bienne 4, Gurzelen. Case postale 2; w SZWECJI: Polski Kom. Pomocy, Jungfrugatan 30/II, Stockholm; we WŁOSZACH: W. Zahorski, Ass. Comb. Polacchi, Via Licia 19, Roma; w ARGENTynie: „Libreria Polaca“, Serrano 2076, Buenos Aires; w AUSTRALII: „Vistula (Australia) Pty Ltd.“, Daking House, Rawson Place, Sydney; w KANADZIE: T. Krychowski, 101, Islington Ave South, Toronto 18, Ont. lub „Gryf“, Londyn; w STANACH ZJEDN.: J. Bieńkowski, 627, Tracy St., Utica, N.Y.; Polish-American Book Co., 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; „Księgarnia Ludowa“, L. Żukowski, 5347 Chene St., Detroit 11, Mich. ORAZ OGNIWA S.P.K. w POSZCZEGÓLNYCH KRAJACH. Egzemplarz pojedynczy: 3/6, \$ 0.50, Fr 2.50. PRENUMERATA — kwartalnie: £ 0.10.6, \$ 2.00, Fr 7.00; półrocznie: £ 1.1.0, \$ 4.00, Fr 14.00; rocznie: £ 2.2.0, \$ 8.00, Fr 26.00 — względnie według przeliczenia waluty miejscowej. Dopłata za przesyłkę lotniczą według taryfy. Przedstawicielstwo w Wiedniu: Stowarzyszenie Polskiej Kultury, Fr. Schmidplatz 4, Wien VIII.

DOBRE JEST! (Polityczne rozważania na czasie)

W Indochinach bez przerwy się biją;
Ameryka wysyła żołnierzy,
Ale mimo takiego poparcia
Rząd w Sajgonie nie stoi, a leży.

W Waszyngtonie krytyka się wzmaga,
Bo nie widać, co z tego wyniknie;
Trudno bardzo na kimś się opierać,
Kto przy lada popchnięciu, fiknie.

A prezydent krytyki nie lubi,
Więc powiedział, że nie ma wyboru.
Bo to sprawa już nie polityki,
A po prostu, rzecz można, honoru.

Ale konflikt ten ma dwie strony
I honoru Chińczyków dotyka.
Ci chcą walczyć do ostatniego
(Naturalnie — Indochińczyka!).

Bardzo przejął się tym premier Wilson,
Co z opinią ogromnie się liczy,
I powiedział: Brytyjska Wspólnota,
Z nim na czele, zapośredniczy.

Pośredniczyć w sprawie pokoju
Rzecz szlachetna i godna pochwały.
Ale jak tu skłonić dwie strony,
By z rozjemcą się dogadały?

Próżno Davies się fatygował
Do Hanoi (a potem z powrotem);
Ho Chi Minh nie miał czasu z nim mówić,
Bo zajęty miał nawet sobotę.

Bardzo zmartwił się tym premier Wilson,
Choć, rzecz jasna, sam się nie przyzna,
Bo tu w Anglii, można powiedzieć,
Kryzys rządowi żadna pierwszozna.

Ceny w górę wspinają się ciągle,
Baza funta jakoś nie krzepnie,
Import, ouszem, w miejscu się trzyma,
Ale eksport w górę się nie pnie.

W Atlantyckim Sojuszu kłopoty:
Francja grozi że się wycofa,
Anglia mówi, że nie ma pieniędzy,
Niemcy płaczą, że nikt ich nie kocha.

W Polsce kiepsko z zaopatrzeniem
(No, wiadomo, już po wyborach);
Literaci pragną swobody,
Reżym mówi: „Teraz nie pora!”

W Grecji kryzys parlamentarny,
W Belgii kłótnie co do języka,
W San Domingo wciąż rewolucja,
A co mówić o Algierczykach?

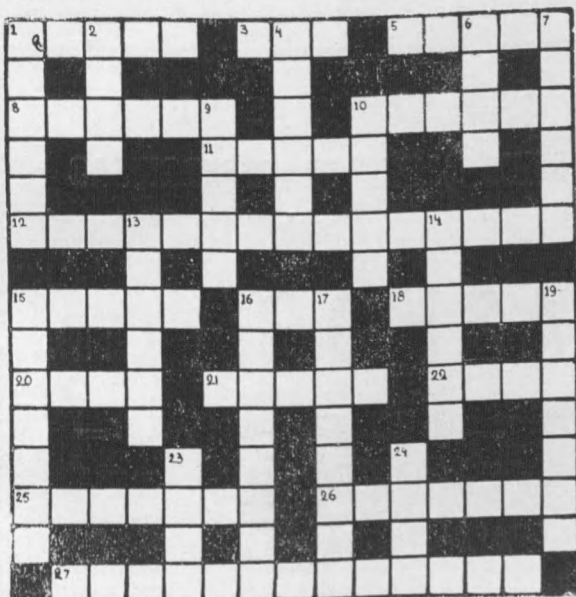
Na Kongresie Pokoju, jak zwykle,
O pokoju nie było i mowy,
Bo Chińczycy przeciw Rosjanom
Front tworzyli propagandowy.

Zjednoczone Narody obeszły
Jubileusz swego powstania,
Jak zgrzybiały staruszek, co ledwo
O dwóch kijach na nogach się stania.

Tak, że biorąc wszystko na oko,
Do uciechy powodu nie ma
I na temat bliskiej przyszłości
Może lekka chwytać nas trema.

Ale, mówiąc po światłym namyśle,
Sytuacja niech nas nie trwoży;
Nigdy jeszcze tak źle nie było,
Żeby jednak nie mogło być gorzej!

RAWICZ



Nr 574/65

KRZYŻÓWKA

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome: 1) i 5) na sukni lub twarzy, z bogiem wojny? 3) i 16) szereg, granica; 8) skała-monstrum, przed którą szczęśliwie uszedł Odyseusz; 10) ptak tropikalny; 11) burda; 12) dajmy na to; 15) żwawy; 18) plama lub dziura (wspak); 20 i 22) wir naprzeciw 6) poziomo; 21) dawna stolica cesarstwa niemieckiego; 25) zgłęb. dawniej cyrk; 26) przedstawienie; 27) „Podobno ile razy mężczyzna patrzy na kobietę, szatan mu je zakłada“ (Prus), (6, 7).

Pionowe: 1) legion; 2) znane na cały świat miasto w Umbrii; 4) jednostka życia, z jednego tysiące? (wspak); 6) proreżymowe ugrupowanie polityczne! 7) nie prosto, jasno, otwarcie, ale bokiem, dwuznacznie i pośrednio działają na słuchacza; 9) sztuka Szekspira (wspak); 10) mieszek; 13) to, co 5) poziomo, ale głębsze (lm. wspak); 14) chodzić w nim, to czuć zależność od obowiązku (wspak); 15) liczenie na co, nadzieja; 16) na próżno; 17) zawsze dużymi literami; 19) żyją padliną; 23) imię żeńskie (wspak); 24) miasto w Polsce (wspak).

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Nr 573/65

Poziome: 1) i 5) sowizdrzał, 3) i 16) Łańcut, 8) cienie, 10) Kujawy (wspak), 11) teren, 12) prawda w oczy kole, 15) i 18) pędziwiatr, 20) wiew, 21) pasza, 22) znój (wspak), 25) jednaki (wspak), 26) analiza, 27) kłamka zapadła.

Pionowe: 1) szczep, 2) i 6) wierzeje, 4) obrona (wspak), 7) łaknie, 9) Dante (wspak), 10) czyni (wspak), 13) wrzawa, 14) knieja, 15) piwonია, 16) ciamajda, 17) Trzciana, 19) rozbrat, 23) moda (wspak), 24) fama.

BILETY

KOLEJOWE,
SAMOLOTOWE,
OKRĘTOWE

Formalności związane
ze sprowadzaniem rodzin
z Kraju
oraz wyjazdy do Polski.

Szybko, sprawnie, tanio

z a ł a t w i a

TAZAB TRAVEL LTD

273, Old Brompton Road,
LONDON, S.W. 5

Tel. FRE 1186

MANCHESTER 16
47, Gt. Western St.

Tel. Moss Side 4683

BIRMINGHAM 2
39, Corporation Street
Tel. MID 1526

KSIEGARNIA I DOM
WYDAWNICZY



GRYF

169-171, Battersea Church Road,
LONDON, S.W. 11. Tel. BAT 1445

POLECA WIELKI
WYBÓR KSIĄŻEK
POLSKICH

Przedstawicielstwo na Wielką
Brytanię

MIESIĘCZNIKA
KULTURA

Administracja miesięcznika
ORZEŁ BIAŁY

LWÓW

1782

WIEN

J. A. BACZEWSKI

GATUNKOWE WÓDKI i LIKIERY
NAJWYŻSZEJ JAKOŚCI!

Jarzębiak	Malinowa	Tea-Rum
Kontuszkówka	Starka	Wiśniówka
Krupnik	St. Bernhard	Wiśniak

Przedstawiciel

J. A. BRUCE & CO.

9, LENTHALL PLACE, LONDON, S.W. 7.

Tel. FRE 5808

(Kolo stacji kolejki podz. Gloucester Road)



— POPIERAJ FIRMY POLSKIE —

Dla wyjeżdżających na urlop do Włoch
polecamy przewodnik

POLAK W RZYMIE

W. Zahorskiego z ilustr. Samuela Tyszkiewicza. Str. 125 — Cena 10/-

NOWOŚCI WYDAWNICZE:

DAVID FLOYD

RUMUNIA — Intryga czy wyzwanie?

Znany dziennikarz angielski analizuje przyczyny i skutki schizmy
rumuńskiej w bloku komunistycznym. Str. 151 — Cena 15/-

POLEMIKI — Zeszyt III.

A. Bregman, A. Ciołkosz, J. Łobodowski, S. Korboński, J. Krok-Paszko-
wski i J. Pomian polemizują z autorami krajowymi na tematy dotyczące
najnowszej historii Polski. Str. 125 — Cena 8/6

Pewna ilość Zeszytu II jeszcze do nabycia.

Poleca: POLONIA BOOK FUND LTD. — 10, Queen Anne's Gdns.,
LONDON, W. 4, tel. CHI 4723, oraz księgarnie polskie.

SZYBKIE PRZEKAZY PIENIĘŻNE

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU TRANSFEROWEGO

Przesyłki Wolne od Cła

Paczki „Do Wyboru“



HASKOBA LTD.

81, Cromwell Rd., London, S.W. 7. —

Tel. FRE 7888

Biuro Podróży: ANGLOPOL TRAVEL, 38, Thurloe Pl., London, S.W. 7.